

KULISY UTRĄCANIA TYTUŁU PROFESORSKIEGO

Uczelniana kasta kontra
Andrzej Zybertowicz



TYGODNIK LISICKIEGO

DO RZECZY

NR 28/381 6-12 LIPCA 2020

CENA 7,90 zł (W TYM 8% VAT)

Bruksela kocha samorządy
- ale tylko te, które są za LGBT

CO TYDZIEŃ W „DO RZECZY”
„LATO Z WOJCIECHEM CEJROWSKIM”



Wielka afera finansowa
w Niemczech

Prezydent Andrzej Duda
w rozmowie z „Do Rzeczy”:

JEŚLI WYGRAM, MOJA DRUGA KADENCJA BĘDZIE INNA



ISSN 2299-8500

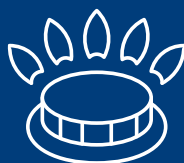
Nr indeksu 288829



Nakład: 58 000 egzemplarzy

eprasa.pl c79f7f0b1f

Jesteśmy blisko Ciebie



**Dbamy
o bezpieczeństwo
energetyczne
Polaków**



**Zapewniamy
niskie ceny gazu
dla gospodarstw
domowych**



DOBRA ENERGIA
TANI GAZ



PAWEŁ LISICKI

W RZECZY SAMEJ

Polski matrix ma się dobrze

Jaki będzie wynik drugiej tury wyborów prezydenckich? Sondaże wskazują na niewielką przewagę Andrzeja Dudy nad Rafałem Trzaskowskim. Wiadomo jednak, że sondażom ufać nie można. Podobnie zawodne mogą się okazać analizy elektoratów, ich przepływów i sympatii. Mimo to zaryzykuję i powiem, że zwycięstwo obecnego prezydenta jest coraz bardziej prawdopodobne.

Dla mnie takim czytelnym znakiem, który pokazuje, że kampania Andrzeja Dudy zmierza do szczęśliwego końca, jest coraz bardziej oszalała akcja propagandzistów z Czerskiej. Do tej pory mechanizm ten działał nieomylnie: wystarczyło przed wyborami zbadać poziom gorączki panującej w mediach Agory i można było mieć pewność, jakie będzie rozstrzygnięcie. Pierwszą oznaką, że z kampanią obecnego prezydenta nie jest źle, była fala tekstów dotyczących „ułaskawienia przez prezydenta pedofila”. Głupiej zaatakować Andrzeja Dudy się nie dało. Różne bowiem rzeczy można u obecnej głowy państwa krytykować, ale próba przypisania mu tolerancji lub wręcz wspierania pedofilii – no, coś takiego mogli wymyślić tylko szaleńcy. Albo ludzie przebywający w emocjonalnym matriksie. Rozumiem, że

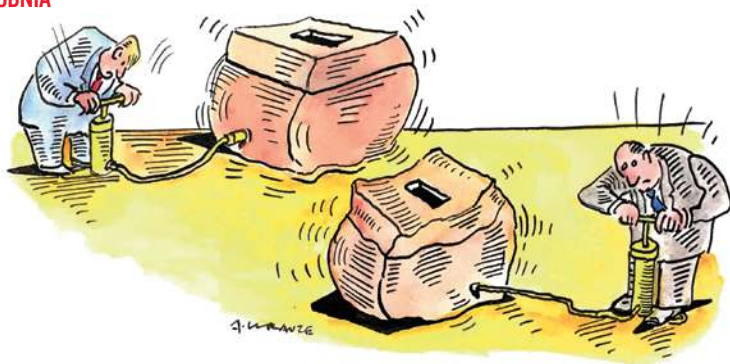
radość, którą im sprawiała krótka chwila rozkoszowania się poniżaniem prezydenta – zadowolenie czerpane z epatowania tytułem „Andrzej Duda ułaskawił pedofila” lub wariacjami na ten temat – warta była każdej ceny. Nie zauważyli tylko, bo w ferworze podniecenia nie są w stanie, że tak grubymi nićmi szyta opowieść o prezydencie jako zwolenniku pedofilii nikogo poza nimi samymi nie porusza. Jest bowiem niedorzeczna.

Tego samego dnia przeczytałem, również na wielkim opozycyjnym portalu, że PiS i Duda rozpętali nazistowską nagonkę na homoseksualistów. Wprawdzie autorką tekstu z tą tezą była pani z „Wysokich Obcasów”, co samo w sobie powinno być wystarczającą wskazówką, że będziemy mieli do czynienia z kabaretem – te panie inaczej pisać nie umieją, a charakterystyczny dla nich sekciarski sposób myślenia jest czymś nie do podrobienia – ale cóż, tytuł z „nazistowską nagonką” przedostał się na pierwszą stronę wyborcza.pl. Ktoś go tam zatem umieścił i uznał, że tak jest dobrze. Wyobrażają sobie państwo, co trzeba mieć w głowie, żeby na poważnie przypisywać PiS-owi nazizm? To jednak poziom oszołomstwa, który zasługuje na lekarza.

Oczywiście, tego rodzaju wyskoki to dzieło nielicznych, najbardziej zaangażowanych. Ogół mediów wspierających Rafała Trzaskowskiego tak daleko się nie posuwa. Chociaż też jest się nad czym zadumać. Mnie najbardziej uderzyło jedno – konsekwentna próba przedstawiania przez liberalne media prezydenta Warszawy jako kandydata niezależnego, który będzie władzę kontrolował. Ponieważ slogan ten słyszałem z ust całkiem prominentnych zwolenników kontrkandydata obecnej głowy państwa, to znaczy, że najwyraźniej tezę tę sobie na poważnie przyswoili. A przecież to humbug. Zwycięstwo Rafała Trzaskowskiego nie byłoby żadnym sukcesem niezależnego kandydata, ale pierwszym krokiem do odzyskania pełni władzy przez Platformę Obywatelską. Nie kontrolowałby on władzy, ale próbował doprowadzić do jej zastąpienia swoją. Gdyby teza mówiąca o Trzaskowskim jako o kandydacie niezależnym, kontrolującym władzę była prawdziwa, należałoby oczekiwać samorozwiązania się Platformy i powszechnej rezygnacji jej posłów z Sejmu. W rzeczywistości pan Trzaskowski próbuje zdobyć w imieniu PO drugi, po Senacie, przyczółek. Ma do tego prawo, bo na tym polega demokracja. Jednak nazywanie tego walką o niezależność i przedstawianie go jako kontrolera władzy – no, naprawdę, kto kupi takie mydlenie oczu?

Czytam te wszystkie analizy i komentarze propagandzistów poprzebieranych w szaty publicystów i nawet, szczerze mówiąc, ogarnia mnie współczucie. Co oni zrobią, jeśli Polska ich kandydata odrzuci? Jak przyjmą tę kolejną niewdzięczność narodu? Naprawdę, trzeba się o nich troszczyć. Oby sobie tylko krzywdy nie zrobili. ©©

RYСУNEK TYGODNIA





TEMAT TYGODNIA

14 ROZMOWA Z PREZYDENTEM POLSKI
ANDRZEM DUDĄ
DOTRZYMAŁEM OBIETNIC
Mogę spojrzeć ludziom w oczy

KRAJ

20 PIOTR SEMKA
**WMW, CZYLI WZMOŻENIE
MIĘDZY WYBORAMI**
Zjawiska, które dziś rządzą polską polityką

22 RAFAŁ A. ZIEMKIEWICZ
PRZED DRUGĄ TURĄ

24 ROZMOWA Z PROF. ANTONIM DUDKIEM
**DLA DUDY KLUCZEM
BĘDZIE POLITYKA SPOŁECZNA**

26 TOMASZ ROWIŃSKI
**SAMORZĄDY
POD TĘCZOWYM OSTRZAŁEM**

28 ROZMOWA
Z DR ALEKSANDRĄ PIOTROWSKĄ
PANDEMIA ZBLIŻYŁA RODZINY?

30 RADOŚLAW WOJTAŚ
HOŁD CODZIENNOŚCI

32 AGNIESZKA NIEWIŃSKA
ENTUZJAŚCI MIODOBRAŃIA

KULTURA

34 JERZY MIZIOŁEK
KAPŁAN SZTUKI
Arcydzieła Prymasa Tysiąclecia

38 PIOTR GOCIEK
WAKACYJNE PRZEBJOJE NETFLIXA

NIE PRZEGAP

40 NASZ PRZEWODNIK
FILMY, KSIĄŻKI, PŁYTY, GRA

OPINIE

46 ŁUKASZ WARZECHA
POLITYCZNA ZEMSTA NA ZYBERTOWICZU
Kulisy utracenia profesury

48 ROZMOWA
Z KS. TADEUSZEM ISAKOWICZEM-ZALESKIM

**SAMYMI SŁOWAMI
NIE DA SIĘ ZMIEŃCI KOŚCIOŁA**

50 ROZMOWA Z ARKADIUSZEM STELMACHEM
UJAWNIONY CEL

HISTORIA

52 PIOTR KOŚCIŃSKI
ŁATWY ŁUP NIEMIEC
Dania i Norwegia wracają
do drugiej wojny światowej

54 ROZMOWA Z WOJCIECHEM PRZYLIPIAKIEM
TRZEPAK Z PRL

ŚWIAT

60 KRZYSZTOF TYSZKA-DROZDOWSKI
TAJWAN, NOWY DONBAS?
Wielkie mocarstwa prężą muskuły

62 PIOTR WŁOCZYK
NEOMARKSIZM KONTRA ENGEL

EKONOMIA

64 JAKUB WOZINSKI
**NOWY CIT,
ALE CZY NA PEWNO ESTOŃSKI?**
Polskim przedsiębiorcom brakuje
kompleksowych ułatwień

66 JACEK PRZYBYLSKI
MILIARDY, KTÓRYCH NIE BYŁO

LATO Z WOJCIECHEM CEJROWSKIM

70 WOJCIECH
CEJROWSKI
**BARDZO DOBRY
POCZĄTEK
WYPRAWY**
Gujana – jeden
z krajów
najbiedniejszych



STYL

72 JOANNA
BOJAŃCZYK
PRZYKRE SKUTKI SPADKU
Walka o miliony euro

O ZDROWIU

74 ROZMOWA Z PROF. SEBASTIANEM GIEBELEM
TO JEST ŻYWY LEK
Grant ABM na polskie komórki CAR-T

FELIETONY: SEMKA (6), ZIEMKIEWICZ (7), KOWALCZUK (8), GMYZ, GOCIEK (9), ZYCHOWICZ, KOPER (56), PRZYBYLSKI (58), GABRYEL, WARZECHA (68), KOMUDA (76), ZALEWSKI, MAKOWSKI (81), SIEDLECKA (82)

Drodzy Czytelnicy!

W tym tygodniu m.in. list otwarty w sprawie profesury dr. hab. Andrzeja Zybortowicza (odsłamy także do tekstu Łukasza Warzechy na str. 46). Zachęcamy do przesyłania listów do redakcji, przypominając, aby korespondencję elektroniczną kierować na adres: listy@dorzczy.pl.

Warszawa-Toruń, 1 lipca 2018 r.

JE Prezydent Rzeczypospolitej Polskiej
Andrzej Duda

List otwarty w sprawie odmowy nadania tytułu profesorskiego Andrzejowi Zybortowiczowi

Wielce Szanowny Panie Prezydencie Informacja o tym, że Prezydium Centralnej Komisji do spraw Stopni i Tytułów odmówiło przedstawienia JE Prezydentowi RP dr. hab. Andrzeja Zybortowicza do tytułu profesora, wstrząsnęła nami. W ten sposób wyrządzono krzywdę jednemu z najwybitniejszych i najbardziej oryginalnych polskich myślicieli w dziedzinie nauk społecznych. Skrzywdzono znakomitego naukowca, dydaktyka, człowieka czynnie angażującego się w pracę dla Polski. Uczy-

„Mickiewicz wciąż pisze”, Krzysztof Masłoń, „DRz” 26/2020

W znakomitym (jak zawsze) felietonie/ recenzji Autor cytuje Piotra Wierzbickiego z jego obroną „poetyckiej niedoróbki” w szóstem wersie „Śmierci pułkownika”.

A ja myślę, Panowie, że to nie jest żadna niedoróbka, tylko zwyczajny „czeski błąd”, być może nawet nie popełniony przez Wieszcza, ale przez drukarza (choć to nie ma większego znaczenia). Wystarczy przestawić dwa wyrazy w tymże wersie: „Wódz to był wielkiej mocy i sławy” – „Wódz to wielkiej był mocy i sławy” – i „zgrzytają-

cy” szósty wers staje się idealnym dziesięciozłotkowcem z nienagannie rozłożonym trójkącentem.

Pozdrawiam
Marek Skrzyński

PS Natomiast bezczelną, acz kuszącą ingerencją w dzieło Mistrza wydaje się lekka zmiana ostatniego wyrazu ósmego wersu; ale jak miło by było zamienić „ciekawie” na „ciekawy”.



ADRES: TYGODNIK DO RZECZY
Batory Office Building II
Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa
tel.: +48 22 529 12 00, fax: +48 22 529 12 01
e-mail: listy@dorzczy.pl, www.DORZECZY.PL

REDAKCJA: Redaktor naczelny: **Paweł Lisicki**
I zastępca redaktora naczelnego: **Piotr Gabryel**
Zastępca redaktora naczelnego: **Piotr Zychowicz**
Sekretariat redakcji: **Jacek Przybylski** (I sekretarz redakcji),
Łukasz Zboralski (II sekretarz redakcji), **Radosław Wojtas**

Kolegium komentatorów:
Cezary Gmyz, Piotr Gociak, Krzysztof Masłoń, Piotr Semka,
Łukasz Warzecha, Rafał A. Ziemiękiewicz

Stali współpracownicy i felietoniści:
Kamila Baranowska, Olivier Bault, Joanna Bojańczyk, Grzegorz Brzozowicz,
Sławomir Cenciewicz, Wiesław Chelminiak, Dominika Cioś (Bruksela),
Tomasz Cukiernik, Krzysztof Czabański, Piotr Gursztyn, Jacek Komuda,
Sławomir Koper, Piotr Kowalczyk (Rzym), Grzegorz Kucharczyk,
Tomasz Lenczewski, Piotr Litka, Łukasz Majchrzyk, Marcin Makowski,
Monika Małkowska, Karolina Marchlewska-Trzmiel, Gabriel Michalik,
Agnieszka Niewińska, Andrzej Nowak, Maciej Pieczyński,
Katarzyna Pinkosz, Witold Repetowicz, Wojciech Roszkowski, Agnieszka
Rybak, Joanna Siedlecka, Teresa Stylińska, Artur Szeremeta,
Tomasz P. Terlikowski, Błażej Torasiński, Szwach Weiss, Piotr Włoczyk,
Marcin Wolski, Jakub Wozniński, Tomasz Wróblewski, Igor Zalewski,
Tomasz Zbigniew Zapert

PORTAL DORZECZY.PL redaguje **Karol Gac** z zespołem: **Zofia Magdziak**
(zastępca), **Antoni Trzmiel** (zastępca, także dziennikarz Telewizji Polskiej),
Zuzanna Dąbrowska (także Radio Maryja), **Anna M. Piotrowska,**
Małgorzata Puzyr, Sandra Skibniewska, Damian Cygan,
Jan Fiedorczuk, Przemysław Harczuk (także „Super Express”).

Studio graficzne: **Wojciech Niedziello** (szef studia), **Jakub Tański,**
Jacek Nadratowski, Włodzimierz Zakrzewski
Fotoredakcja: **Edyta Bortnowska, Przemysław Trzacyk**
Korekta: **Jadwiga Marculewicz-Olaś, Anna Zalewska, Marzena Dobosz,**
Agnieszka Wasilewska
Rysownicy: **Andrzej Krauze, Cezary Krystopa**
Okładka: **Robert Bajski/REPORTER**

WYDAWCA: **Orle Pióro sp. z o.o.**
Batory Office Building II, Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa
tel.: +48 22 347 50 00, fax: +48 22 347 50 01
Wydawca tytułu, spółka Orle Pióro, wchodzi w skład Grupy
Kapitałowej PMPG Polskie Media SA, notowanej na GPW



Zarząd PMPG Polskie Media SA:

Piotr Piaszczyk, Robert Pstrokoński, Ewa Rylkaczewska

Zarząd Spółki Orle Pióro:

Katarzyna Gintrowska, Paweł Lisicki

BIURO REKLAMY: reklama@dorzczy.pl; tel. 500 112 386

PUBLIC RELATIONS: (PR manager), pr@mpmg.pl

DYSTRYBUCCJA I PRODUKCJA:

Adam Borzęcki (kolportaż); **Joanna Nowakowska** (prenumerata wydawnicza),
prenumerata@mpmg.pl; tel.: +48 22 529 12 10

ISSN 2299-8500

Nr indeksu 288829

Nakład 58 tys. egzemplarzy

DRUK: WALSTEAD CENTRAL EUROPE

Sprzedaż egzemplarzy aktualnych i archiwalnych po cenie innej niż cena
detałniczna ustalona przez wydawcę jest zabroniona i grozi odpowiedzialnością
karną.

PRENUMERATA:

Prenumerata realizowana przez RUCH SA:

Zamówienia na prenumeratę w wersji papierowej i na e-wydania można
składać bezpośrednio na stronie www.prenumerata.ruch.com.pl

Ewentualne pytania prosimy kierować na adres

e-mail: prenumerata@ruch.com.pl lub kontaktując się z Centrum Obsługi
Klienta „RUCH” pod numerami: 22 693 70 00 lub 801 800 803 – czynne
w dni robocze w godzinach 7–17. Koszt połączenia wg taryfy operatora.

Redakcja nie odpowiada za treść ogłoszeń ani nie zwraca materiałów
niezamówionych. Zastrzegamy sobie prawo do skracania i adiustacji
tekstów oraz zmiany ich tytułów. Na podstawie art. 25 ust. 1 pkt 1b prawa
autorskiego wydawca wyraźnie zastrzega, iż dalsze rozpowszechnianie
materiałów opublikowanych w tygodniku „Do Rzeczy” jest zabronione.

© © Wszystkie materiały w tygodniku chronione są prawem
autorskim. Wszelkie prawa zastrzeżone. Dalsze rozpowszechnianie
artykułu tylko za zgodą wydawcy. Regulamin i warunki licencjonowania
materiałów prasowych na www.dorzczy.pl/regulamin/

„czajka” dla wszystkich!



ce 2 2 4 7 2 4 3 2 0 2

niono to, mimo że część recenzji w prze-
wodzie kwalifikacyjnym nie spełniała
wymogów normalnych recenzji nauko-
wych. Można nie zgadzać się z poglądami
Andrzeja Zybortowicza, ale nie można
podważać faktu, że posiada on znaczący
dorobek naukowy. Uważamy, że ta decyzja
jest jednym z przejawów głębokiej choroby
nauki polskiej, i wyrażamy głęboką solidar-
ność z profesorem Andrzejem Zybortowi-
czem.



PIOTR SEMKA

NA PIERWSZY OGIEŃ

Politycy na uniwersytetach

Rada Wydziału Prawa i Administracji Uniwersytetu Warszawskiego podjęła parę dni temu uchwałę, w której krytycznie oceniła – jak to nazwała – „polityczny” wybór przez prezydenta Andrzeja Dudę Małgorzaty Manowskiej, nowej pierwszej prezes Sądu Najwyższego. W oświadczeniu wydziału czytamy: „Konstytucja RP nie pozwala Prezydentowi RP na powierzenie wskazanemu przez niego sędziemu wykonywania obowiązków Pierwszego Prezesa Sądu Najwyższego ani na powołanie Pierwszego Prezesa Sądu Najwyższego spośród kandydatów, którzy nie zostali przedstawieni przez Zgromadzenie Ogólne Sędziów Sądu Najwyższego w uchwale, a ich wyłonienie nastąpiło z naruszeniem prawa”.

Podobne twierdzenia są oczywiście nieprawdą. To prezydent, korzystając ze swoich konstytucyjnych prerogatyw, może wybrać dowolną osobę spośród kandydatów przedstawionych przez Zgromadzenie Ogólne Sędziów Sądu Najwyższego. Ten przywilej głowy państwa wcześniej nie był na szerszą skalę kwestionowany. Teraz jednak wydział uczelni, mający dawać przy-

kład wyważonych opinii prawnych i unikać podejrzeń o angażowanie się w bieżące spory polityczne, popiera wątpliwą interpretację prawa, na dodatek trudną do pogodzenia z treścią ustawy zasadniczej. Ten sam wydział UW wydał oświadczenie protestujące przeciw „kampanii nienawiści w stosunku do osób LGBT inspirowanej przez polityków związanych z władzą publiczną”. Podobną uchwałę podjął Wydział Prawa i Administracji Uniwersytetu Jagiellońskiego.

Obie uchwały przyjęły za oczywistość, że dyskusja z ideologią LGBT już stanowi kampanię nienawiści. Trudno było nie zauważyć związku obu uchwał ze sporami kampanii prezydenckiej.

Dzisiaj tego typu ustawy nie robią już większego wrażenia. Wielu Polaków przyzwyczało się do faktu upolitycznienia gremiów akademickich. Tyle że oba te przypadki nabierają dodatkowego znaczenia w obliczu innej inicjatywy. Oto niedawno byli szefowie TVP i radia publicznego sprzed 2016 r. – Janusz Daszczyński i Andrzej Siezieniewski – opublikowali publicznie założenie do ustawy o odnowie mediów publicznych,

która ma być przedmiotem dalszej pracy w razie prezydenckiej wygranej Rafała Trzaskowskiego. Założenia mają być – jak twierdzą autorzy – gwarancją stworzenia na nowo mediów publicznych: apolitycznych, kierujących się wysoką etyką zawodową i finansowanych z budżetu. Kierownictwo takich nowych odpolitycznionych mediów miałyby wyłaniać ponownie odnowiona Rada Radiofonii i Telewizji.

Jak miałyby być wyłaniany siedmioosobowy skład rady? Wybór dokonywany byłby przez Sejm, Senat i prezydenta spośród co najmniej podwójnej liczby kandydatów, których rekomendowałyby uczelnie wyższe spośród osób z doświadczeniem i wiedzą z zakresu mediów, komunikacji, prawa, finansów, kultury i sztuki.

Brzmi atrakcyjnie? Wielu ucieszy się, że wreszcie dojdzie do wyrwania mediów publicznych spod władzy polityków. Tyle że – jak pokazują uchwały UW i UJ – uczelnie mają dziś gremia bardzo mocno pchnięte w jednym kierunku: tym lewicowo-liberalnym. Można już dziś zgadnąć, jak takie wybory by wyglądały i kogo by premiowały. Sprytnie? © ©



FOT. WOJCIECH KUSIŃSKI/PAP

WARSZAWA POD WODĄ

W ubiegłym tygodniu nad Warszawą przeszła taka nawałnica, że kanalizacja burzowa nie poradziła sobie z odprowadzaniem wody deszczowej. Ulice stolicy zamieniły się w rzeki, z których w górę niczym źródła biły strumienie z wylotów studzienek. Po tej burzy rozpoczęła się też od razu druga – polityczna. W czasie kampanii prezydenckiej przeciwnicy Rafała Trzaskowskiego obciążali go za to jako obecnego prezydenta miasta, a zwoleńnicy tłumaczyli, że nie odpowiada za infrastrukturę miejską. (luz) © ©



RAFAŁ A.
ZIEMKIEWICZ

PŁYWANIE W KISIELU

Rozmowa

A ja, panie redaktorze, będę głosować na Trzaskowskiego – poinformował mnie rozmówca. Ponieważ jak na osobę składającą takie deklaracje był bardzo uprzejmy, zainteresowałem się, co nim kieruje.

„Duda podpisuje Kaczyńskiemu wszystko” – stwierdził mój rozmówca. Jednak dziewięciu ustaw nie podpisał, zawetował o pięć więcej niż poprzednik, w tym reformując sądy

Poinformował mnie, że jest drobnym przedsiębiorcą, właśnie składa podanie o pieniądze z „trzeciej tarczy” i jest to taka biurokratyczna udręka, że sobie nie wyobrażam.

Zgodziłem się, że istotnie sobie nie wyobrażam, bo z żadnej z „tarcz” nie korzystałem. Niemniej to, że takowa jest,

i to już trzecia, zasługuje chyba na docenienie, bo od rządu, w którym jego faworyt był ministrem, bankrutujący słyszeli tylko, że kto sobie źle radzi, temu jest źle i takie są prawa rynku.

Nieco się zirytował i oznajmił, że nie to jest ważne, ale że PiS to złodzieje.

Uprzejmie zgodziłem się, że może też, ale gdy wspomniany rząd z jego faworytem odszedł, sprzedaż paliw według danych skarbowki wzrosła z dnia na dzień o jedną czwartą, co można wytłumaczyć tylko w jeden sposób, i do takiego systemowego złodziejstwa PiS-owi hen, hen.

Zirytował się i wypalił oskarżycielsko: „Instruktor narciarski!”.

Uprzejmie przypominałem, że o instruktorze narciarskim wie dlatego, iż ministerstwo, gdy nie wywiązało się z kontraktu, kazało mu pieniądze oddać. A on poszedł po poradę, jak tego uniknąć, do mec. Giertycha, przez którego kancelarię przechodził akurat z tragarzami redaktor Czuchnowski z „Wyborczej”.

Znowu się zirytował i zmienił temat: Duda podpisuje Kaczyńskiemu wszystko!

Zgodziłem się uprzejmie, że sporo podpisał, ale jednak dziewięć ustaw nie, o pięć więcej, niż zawetował poprzednik, w tym tak dla Kaczyńskiego ważnych jak „degradacyjna”, reformująca sądy i o izbach obrachunkowych.

Zirytowany jeszcze bardziej powiedział, że i tak „rządzi jeden człowiek, prawie jak na Białorusi”.

Zgodziłem się uprzejmie co do „prawie” i zaproponowałem, by sobie wyobraził, że fundacja związana z Łukaszenką nie może postawić w Mińsku wieżowca, bo lokalny kacyk zawział się, że owszem, wszyscy inni dookoła, ale Łukaszenko zgody na budowę nie dostanie.

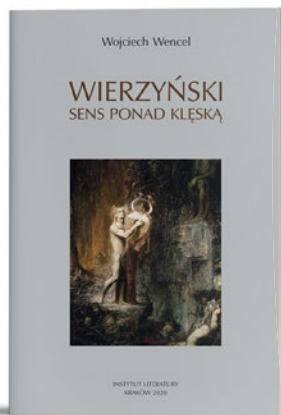
Na to użył argumentu ostatecznego: jak on widzi tego Kaczyńskiego czy Dudę, to go, k..., aż telepie!

Zaproponowałem, że jeśli ma kilka minut, to jako zawodowiec wyjaśnię mu, jakim sposobem jego ulubione media osiągnęły ten sukces.

Niestety, nie miał. ©©

REKLAMA

Nowa książka
Wojciecha Wencła
Wierzyński.
Sens ponad klęską
JUŻ DOSTĘPNA!



**INSTYTUT
LITERATURY**

**W internetowej księgarni Instytutu Literatury
znajdziesz ponad 60 pozycji, w tym:**

- *Dzieje literatury pozbawionej sankcji* **Andrzeja Kijowskiego**
- *Ryzyko bycia Polakiem* – wywiad-rzekę z **Janem Polkowskim**
- wszystkie numery kwartalnika kulturalnego „**Nowy Napis**”

Zamów na **sklep.instytutliteratury.eu!**
z kodem **DO RZECZY** rabat w wysokości **15%** na wszystkie pozycje

PIECZEŃ RZYMSKA

0 rozpolitykowanych sędziach (włoskich)



PIOTR KOWALCZYK
Z RZYMU

We Włoszech wybuchł megaskandal. Jeden z sędziów, który podpisał wyrok Sądu Kasacyjnego, skazujący Silvio Berlusconi w 2013 r. na cztery lata więzienia za oszustwa podatkowe, przyznał, że był premier ukarany został bezpodstawnie wyłącznie z powodów politycznych.

Sędzia Amedeo Franco był relatorem tego procesu. Zmarł w ubiegłym roku, ale 29 czerwca telewizja Rette 4 wyemitowała jego rozmowę

Mediaset, imperium medialne Berlusconi, miał kupić filmy telewizyjne po mocno zawyżonej cenie, by potem, pod stołem, skasować połowę przepłaconej sumy. Sprawa była podejrzana od początku, bo po pierwsze wówczas Silvio Berlusconi był premierem i nie zajmował się biznesem. Mediasetem kierowali menedżerowie, w tym jego najstarszy syn. Trudno więc dociec, dlaczego proces wytoczono Berlusconiemu. Po drugie w tej samej sprawie nieco później syn Berlusconi

został uniewinniony. Po trzecie cały zysk z rzekomego oszustwa miał wynieść 7 mln euro, co w porównaniu z miliardowymi obrotami koncernu jest sumą komiczną, niewartą zachodu i ryzyka. Żeby było jeszcze ciekawiej, Sąd Kasacyjny zebrał się w okresie wakacyjnym i orzekali „sędziowie wakacyjni”, może niezbyt kompetentni w skomplikowanej, toczącej

się przez 10 lat sprawie, za to, jak mówi Amedeo Franco, posłuszni nakazom „z góry”.

W efekcie Berlusconi, któremu włoski wymiar sprawiedliwości wytoczył ponad 100 procesów, musiał opuścić senat i na pięć lat wycofać się z życia politycznego. Jego partia Forza Italia po tym ciosie już się nie podniosła. W październiku przed sądem stanie szef Ligi, były wicepremier Matteo Salvini. © ©

Autor jest korespondentem Polskiego Radia.



MIĘDZY TWEETAMI

Marcin Makowski

Starzy, niewykształceni, z małych ośrodków

Mam wrażenie, że od ponad pięciu lat w okresie wyborczym obserwujemy ten sam socjologiczny „dzień świstaka”. Jego fazy są dobrze znane – od wiary w „tryumf otwartości” przez chęć ucieczki z kraju do gorzkiego poczucia wyższości. Przykłady? „Na razie Warszawa trzaska aż miło” – pisał w trakcie głosowania Paweł Wroński z „GW”. „Wyborów nie wygrywa się w Warszawie. Albo inaczej: samą Warszawą” – odpowiedziała mu Estera Flieger. „Ja to przecież wiem, ale miło mieszkać w porządnym mieście, nie?” – rzucił Wroński. „A te, co głosowały na Andrzeja Dudę, są nieporządne? Brawo” – dopytywała Joanna Miziołek. „Jest jeszcze parę miejsc w Polsce obok Warszawy o uzasadnionym »poczuciu wyższości«” – zamknął temat dziennikarz.

Zawsze, gdy pójdzie nie do końca po myśli, można zamiast wyższości wybrać negację. „Niepokojące, że połowa głosów to głosy za Polską homofobiczną, ksenofobiczną, przeciwną prawom kobiet, za Polską, w której można bezkarnie łamać Konstytucję, za Polską przeciwną UE, za Polską negującą kryzys klimatyczny. Mam nadzieję, że 12 lipca okaże się, że to był zły sen...” – stwierdziła Sylwia Spurek.

A jeśli to nie sen? „Nikt nie zmusi narodu do życia w demokratycznym, praworządnym i porządnym państwie i do powierzenia władzy inteligentnym, kompetentnym ludziom, którzy nie kłamią non stop. Jeśli naród chce inaczej, to ma inaczej” – analizował Tomasz Lis. „Miażdżąca przewaga PAD wśród: mieszkańców wsi, osób z wykształceniem podstawowym, ludzi starszych. Zapewne także wśród wierzących, przejawiających postawy ksenofobiczne, bojących się świata. Oni dostrzegli w nim wymarzonego prezydenta ich Polski. Bardzo dobry wybór” – dodał mu otuchy Marek Migalski.

I gdzieś na końcu tej dyskusji najbardziej błysnął nie publicysta, ale były piłkarz. „Prezydent Polski dzisiaj może być wybrany głosami ludzi środowiska wiejskiego, głosami emerytów i ludzi z podstawowym wykształceniem. To chyba trochę dziwne w tak pięknym i rozwijającym się kraju jak nasza Polska?” – zdziwił się Zbigniew Boniek. Też bym się zdziwił. W końcu w PZPN od lat sami młodzi, wielkomięscy, wykształceni i rozwijający się działacze. © ©

To musi być taki jakby Tusk, tylko dla gTupszych...



k t y s z t o n a x e m a t a m o s s

z Silvio Berlusconim zarejestrowaną kamerą wideo. Sędzia, jak tłumaczy, targany wyrzutami sumienia, wyjaśnia, że w 2013 r. nie stanął przed Sądem Kasacyjnym, a przed plutonem egzekucyjnym, bo wyrok wydano dużo wcześniej na najwyższych szczeblach władzy. Twierdzi, że o wszystkim wiedział ówczesny prezydent Giorgio Napolitano.

W uproszczeniu w całej aferze chodziło o to, że

Uwaga, jest game changer. Ale na po wyborach. Jak donoszą wiewiórki, Szymon Hołownia, posłowie Peezela oraz część posłów PeŁo są dogadani, żeby w Sejmie stworzyć koło Polska 2050, czyli klub partii Hołowni. Jest jeden warunek – Rafcio Trzaskowski przegrywa wybory. Wygląda na to, że jeszcze bardziej trzeba trzymać kciuki za tę przegraną. To jedyna szansa na pojawienie się w miarę normalnej opozycji.

Ludziom zdziwionym obecnością mecenasa zwanego Koniem na wieczorze wyborczym Szymona przypominamy, że trzeba czytać rubrykę panów G. O zażyłości państwa Hołowniów i Giertychów pisaliśmy już jakieś pół roku temu. Dodajmy, że mecenas ma liczne wady, ale wie, że polityka musi kosztować. Proponujemy więc uważne przejrzenie listy darczyńców.

Askoro już o rozmaitych sposobach zarabiania. Wieść gminna niesie, że Jarosław Gowin, najbardziej obecnie nienawidzona postać w twardym elektoracie PiS, źle się czuje jako szeregowy poseł. I chciałby w dyplomaty. Czy to prawda – nie wiemy. Wiemy natomiast na pewno, że nader często gości ostatnio w gmachu MSZ przy Szucha.

Ápropos niespodziewanych gości. Awans Richarda Czarneckiego! Dotąd był mistrzem drugiego planu, teraz ogłaszamy go mistrzem pierwszego planu! Po tym, jak w Łowiczu na wieczorze wyborczym Andrzeja Sebastiana w pierwszej turze kamery pokazywały go nieustannie obok rozradowanej małżonki prezydenta Andrzeja Sebastiana. Niedługo w Watykanie na pl. św. Piotra będą pytać: „A kim jest ten gość na balkonie obok Czarneckiego?”.

Przypominamy, jak to w maju 2015 r., kiedy elekt Andrzej Sebastian odbierał akt wyboru na prezydenta RP, Richard Henry Czarnecki ustawił się do rodzinnego zdjęcia między Agatą a Andrzejem. Kpiono naonczas, że pierwsza dama, tzn. pierwszy Ryszard, jest jakaś taka nieogolona. W Łowiczu Richard okazał się też pierwszym mężem.

Na łowickiej konwencji / łowickim wieczorze wyborczym było ciekawie także z innych powodów. Premier Mateusz był obecny, ale się nie afiszował. Gromada spryciarzy zajęła miejsca

w pierwszym rządzie, żeby było ich dobrze widać, ale tłum mieszkańców Łowicza wszystkich zasłonił. Stąd pewien smutek Mariusza Błaszczaka, Bełaty Szydło, Elżbiety „Pięćsetka” Rafalskiej i reszty ferajny.

Wglorii proroka przechadzał się po pięknym mieście Łowiczu rzecznik prezydenta Andrzeja Sebastiana, Błażej Spychalski, który idealnie przewidział wyniki pierwszej tury. Nie chwalać się, myśmy też przewidzieli, a przecież nie chodzimy na spotkania wyborcze sztabu.

Zaskoczeni wynikiem Tygrysa Kosiniaka-Kamysza? My nie. Z Misiem Kamińskim w roli głównego suflera nie mogło być inaczej. Misiek ostatnią wygraną kampanię miał w roku 2005. Oznacza to, że ten najwybitniejszy ze spin doktorów daje ciała już okrągłe 15 lat. Zdążył w tym czasie przegrać wybory dla PiS, PO, a teraz PSL. Lista partii, które oczarował, nie jest jednak pełna – drzyj, Lewico!

Zcyklu „Za kulisami mediów”. Miejsce akcji: Tefaueny. Czas akcji: finisz kampanii prezydenckiej. Osoby: Znany Prowadzący i dwóch Znanych Gości. Prowadzący (przed wejściem na antenę) do jednego z Gości: „Eee, a ten no, Duda, to mówił rzeczywiście dzisiaj to, co piszą, że mówił? Bo nasza stacja nie transmituje jego spotkań”. Kurtyna.

Tymczasem w Eine Totalopposition. Nie dzieje się dobrze między Boryslawem Budką a marszałkissimusem Grodzkim Tomaszem. Wszystko dlatego, że Boryslaw postuluje, doradza i oczekuje, a marszałkissimus Tomasz i tak robi po swojemu.

Cieszymy się bardzo. Ponieważ Rafcio Trzaskowski nigdy nie był działaczem politycznym. Tak powiedział. W rozmowie z Sante Szymonem Hołownią. Rafcio jest wiceprzewodniczącym PeŁo, ale to nieważne, ważniejsze jest to, jak się czuje – całkiem jak w gender. Dzięki jego deklaracji odkryliśmy więc, że Bartek Arłukowicz, Ewka Kopacz i Tomek Siemoniak też nigdy nie byli działaczami politycznymi. Gdyż również są wiceprzewodniczącymi PeŁo. To nas cieszy, bo uważamy, że trzeba nam bezpartyjnych fachowców w polityce.

Bezpartyjni i w dodatku narodowcy! Witamy w tym gronie neofitę Rafcia, który oświadczył, że poszedłby chętnie w Marszu Niepodległości, no i Boryslawa, któremu też ta inicjatywa nagle zaczęła się podobać. Każde czasy mają swoich moczarowców. No to skandujmy razem: „Jest ONR-u spadkobiercą Platforma!”.

Dobiega końca kadencja prof. Jarosława Szarka na fotelu prezesa IPN. Wygląda na to, że i jego dotknie klątwa tej instytucji – nikt nie kieruje nią dłużej niż jedną kadencję. Zaczęły się już pierwsze przymiarki do wyboru następcy. Raczej nie będzie nim Żaryn senior, który po stracie mandatu senatorskiego objął szefostwo innej instytucji mającej „naród” w nazwie. Przy Wołoskiej najczęściej wymienia się nazwisko prof. Filipa Musiała z Krakowa. Był kandydatem już poprzednio, ale nie zgodził się, bo miał w Krakowie młodą rodzinę. Teraz dzieciaki podrosły, więc kto wie?

Nieznani sprawcy, korzystając z przerwy pandemicznej, okradli biura kilkudziesięciu europosłów w Brukseli. Nikt tego głośno nie powie, ale wywołało to falę ksenofobii wśród delegatów. Tak się bowiem składa, że personel sprząający reprezentuje głównie kraje Maghrebu. I jest po cichu oskarżany o niezamykanie sprzątanek biur oraz podbieranie rozmaitych rzeczy. Jakis czas temu na przykład czeskiemu eurodepowi ktoś podziwiał świeżo wypastowane buty z łazienki. Rekomendowalibyśmy pastowanie butów na balkonie, ale niestety biura w Brukseli nie mają balkonów. ©©

dwaj panowie

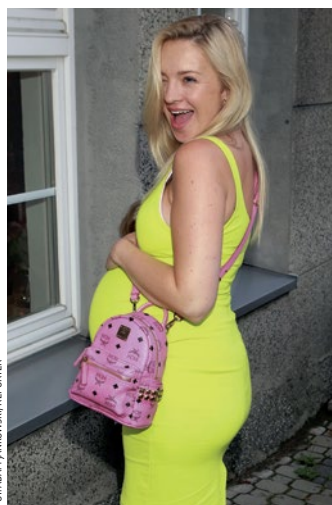


FOT. ROBERT CAROZINSKI

TYLKO NIE **POLITYKA!**

Szymon Hołownia, który chyba naprawdę liczył, że ma szansę zostać prezydentem, a przynajmniej wejść do drugiej tury (już sam ten fakt nie za dobrze świadczy o jego politycznych kompetencjach), nie jest w dobrym nastroju. Dotarło do niego, że nie bardzo wie, co ma teraz ze sobą zrobić. Iść dalej w politykę czy wracać do show-biznesu? „Wszystkie oszczędności wydaliśmy na ten projekt. Wszystkie prace zakończone. Muszę się zastanowić, co dalej z życiem w sensie zawodowym, z czego utrzymam rodzinę” – zastanawiał się tuż po wyborach na Facebooku. „Czy ktoś zechce, żebym znowu gdzieś pisał, czy jakieś stacje mnie z powrotem przyciągną?” – rozmyślał. Oby, oby! W innym razie będzie musiał już na dobre zająć się polityką, a tego moglibyśmy nie wytrzymać. Polska polityka również.

BIOGRAFIA GWIAZDY



FOT. ADAM JANKOWSKI/REPORTER

Uwaga, uwaga! Celebrytka Barbara Kurdej-Szatan oznajmiła, że właśnie rozpoczęła prace nad własną książką. To znaczy nie do końca ona sama, bo to jej przyjaciółka ma pisać książkę o niej. Opowiedziała o tym portalowi Jastrząb Post. „Robimy taki sekret project. Książka. To wszystko tworzy się pomału, jesteśmy w trakcie pracy. Magda o mnie dużo wie, ja się boję tej książki. Będzie trochę prywatnych sekretów. Nie znacie mnie od dziecka” – wyznała. I nie chcemy! Znamy raptem od paru lat, a już mamy dość.

WRÓŻBITA **KRET**

Warto przy okazji odnotować, że Barbara Kurdej-Szatan spodziewa się właśnie drugiego dziecka. I jest ktoś, kto przewidział to już daw-

no. To pogodynek Jarosław Kret! Serwis Pudelek przypomniał właśnie, że pod koniec ubiegłego roku w prognozach na nadchodzący rok, publikowanych w „Fakcie”, Kret prognozował, że rodzina Szatanów może się powiększyć. „Dzieci to szczęście. Im więcej, tym lepiej – mówił wtedy. – Rozmawialiśmy sobie trochę pół żartem, pół serio. Ale proszę, Basia jest w ciąży! Czułem, że przed nią wspaniały rok” – mówi teraz w „Fakcie”.

Taki pogodynek to skarb. I pogodę przepowiednie, i dziecko wywróży. Człowiek orkiestra!

KULTURALNI **INACZEJ**

Portal Onet poinformował na swojej stronie głównej, że oto „osoby związane z kulturą i sztuką zdecydowały się skomentować wynik I tury wyborów prezydenckich oraz to, co nas czeka”. Zaintrygowani, co też znów światłego mają nam do zkomunikowania ludzie kultury i sztuki, zaczęliśmy czytać. Dowiedzieliśmy się m.in., że „w Polsce zwycięża pacynek człowieka” (to pisarz Ziemowit Szczerek) oraz że spora część polskich obywateli „tęskni za Polską, w której goni się Żyda i pedała” (to poeta Marcin Zegadło o wyniku Krzysztofa Bosaka). Szczerek dodał jeszcze, że „porządni i odpowiedzialni ludzie powinni teraz, niezależnie od tego, czy są konserwatystami, liberałami, socjalistami itd., stanąć po stronie prześladowanych. Nie za Trzaskowskim, ale przeciwko szczujom”. Widać, kultura nie jest mocną stroną ludzi kultury.

KWIATKI **ZAMIAST ŚPIEWANIA**

Wiadomo już, że pandemia uderzyła mocno w branżę muzyczną, choćby z racji odwołanych koncertów. Nie ominęło to także muzyków disco polo. Zenek zdradził w „Super Expressie”, że rzeczywistość mało ma w tym roku występów, ale wcale nie narzeka z tego powodu. „W tym roku mam zaledwie kilka występów. Głównie telewizyjnych, bo takie są dopuszczalne. Pogodziłem się z sytuacją. Pieniądze są ważne, ale to nie wszystko – mówi. – W końcu mam czas, żeby pomieszkować we własnym domu i cieszyć się z małych rzeczy. Koszę trawę, sadzę z żoną kwiaty” – dodaje. Cieszymy się jego szczęściem. Chwilowym brakiem twórczości też. ☺☺



FOT. PAMEŁ GROMADA



MŁODZI WYKSZTAŁCENI I Z WIELKICH OŚRODKÓW

Kochani, wygląda na to, że znów prezydenta tego kraju wybiorą nam osoby nieodróżniające asapu od deadline'u, calla od ticketa czy FYI od EOD. Takie, które nie rozumieją różnicy między americano a macchiato, nieczujące subtelnych sensualnych

Czy naprawdę chcecie, iżby oni urządzili wam ten kraj? Wam, osobom wykształconym, kompetentnym, zamieszkującym kawalerki na grodzonych osiedlach, a nie jakieś 200-metrowe wiejskie chałupy kryte strzechą? Kochani, musimy się zmobi-

krytkowani są piłkarze pigmentalnie uposażeni.

Naszym zdaniem jest na to jeden prosty sposób: otóż komentatorzy piłki nożnej w żaden sposób nie powinni wartościować zagrań i dyspozycji poszczególnych zawodników.

Czy to bowiem zasługa Messiego i Ronaldo, iż dobrze grają w piłkę, czy zasługa społeczeństwa, w którym wyrosli? To elementarny brak wrażliwości, faworyzowanie jednych kosztem innych. A w dodatku w efekcie tego później powstają takie raporty.



doświadczeń odróżniających sauvignon blanc od rieslinga oraz dla których camembert i cabernet to jedno i to samo, i wyrzucić to, synek, jakieś to spleśniałe, hehe.

Osoby, które nie korzystają z insta ani fejsa, nie były w życiu na żadnym openrze, nie korzystają z food trucków, nie piją kraczków, stosują przemoc domową, patriarchat, a nie stosują antyperspirantów i antykoncepcji, płodząc bombelki po „500+”, które następnie będzie wydawane na tani alkohol i podłe papierosy.

lizować i pójść na wybory, pamiętajcie tylko, iżby koniecznie dopisać do karty Biedronia!

Na fali ostatnich dyskusji i wydarzeń związanych z rasizmem, nietolerancją itp. jakaś organizacja przygotowała raport, według którego komentatorzy meczów piłkarskich znacznie częściej chwalą piłkarzy pigmentalnie nieuposażonych. Zgodnie z tym, co zapewne słusznie podejrzewacie, o wiele częściej natomiast

Dobra, żarty się skończyły. 1 lipca wszedł bowiem w życie podatek od Netflix'a i innych serwisów VoD. No i teraz się boimy, iż Netflix uzna, iż skoro tak, to OK-elo, zwijamy się z tego kraju, nic tu po nas.

Ewentualnie, iż nie mogąc sobie poradzić z takim dociążeniem fiskalnym, przetrzuci część z podatku (jakieś 6,5 mln zł) na nas, podnosząc ceny usług, a tak się składa, iż chwilowo tyle nie mamy.

A jak nie będziemy mieli Netflix'a, to co będziemy robić na home offisie? Jak będą wyglądały nasze wieczory typu „Netflix & wine & chill”? Tylko „wine & chill”? Jeszcze w jakiś alkoholizm wpadniemy :(☹☹



FASHYSM NIE PRZEJDZIE! BĄDŹ Z NAMI OSOM NA FEJSIKU:
[FB.COM/MWIZWO](https://fb.com/mwizwo)

PODSŁUCHANE

Nie będzie „za grubo”

Adam, to nie działa. Musimy coś nowego wymyślić.

Co nie działa?

No, to o niskich podatkach.

Sprawdzałem na Twitterze.

Ci od Konfederacji się tylko śmieją. Piszą, że „XD”. Ja naprawdę tyle nowych podatków podpisałem?

Oj, podpisałeś czy nie, jakie to ma znaczenie? Trzeba jakoś tych bosakowców zwerbować. Znaczy – bardziej dziamborowców, bo bosakowcy to akurat prędzej za nami będą.

Nie wiem, ja nie odróżniam, to ty jesteś od tych kombinacji.

Co robić?

– Słuchaj, oni tam strzelać lubią.

Może byś coś powiedział, że będzie większy dostęp do broni? Najlepiej, jakbyś miał konferencję na strzelnicy. Postrzelałbyś trochę, a potem wyjdiesz i powiesz, że stworzysz nową ustawę, bo broń

jest ważna dla wolnego człowieka i takie tam dyrdymały.

Ale to nie za grubo będzie, myślisz?

A pamiętasz, co Kura mówił? No właśnie. Nic nie jest za grubo.

Tylko ja nigdy nie strzelałem.

A jak się będę bał? Albo się huku wystraszę i ktoś to sfilmuje?

Rzyko jest.

Bu!!!

Zwariowałeś?

No widzisz? Nie przestraszyłeś się wcale. Dobrze będzie. ☹☹

Łukasz Warzecha

OD RZECZY

„Wszystko oddałem Polsce, a Polska stwierdziła, że to jeszcze nie jest ten moment”

SZYMON HOŁOWNIA, celebryta, kandydat na prezydenta, na Facebooku na pierwszej turze wyborów prezydenckich w Polsce





PUTIN NA ZAWSZE

Władimir Putin ma 67 lat i jest prezydentem Federacji Rosyjskiej od 7 maja 2000 r. Z małą przerwą, którą zrobił sobie na pełnienie innej funkcji w kraju – był premierem w latach 2008–2012.

Dwa lata temu ten były funkcjonariusz KGB i szef FSB został wybrany na głowę państwa już po raz czwarty i przysięgał pełnić funkcję przez sześć lat. Oznaczałoby to, że Rosjanie pożegnają się z nim w 2024 r.

Niespodziewanie jednak w marcu znana kosmonautka 83-letnia Walentina Tierszkowa, która obecnie jest rosyjską parlamentarzystką, zgłosiła poprawkę do konstytucji, która usuwałaby ograniczenie czasu pełnienia funkcji prezydenta do dwóch kadencji. Sam Putin przyjechał do Dumy i trochę się krygował. Twierdził, że tego nie chce – no, chyba że obywatele w referendum wyrażą taką wolę.

Takie referendum trwało przez cały ubiegły tydzień. Gdy zamykaliśmy to wydanie „Do Rzeczy”, rosyjska Centralna Komisja Wyborcza podała już dane z 99 proc. komisji wyborczych. Z tych danych wynikało, że aż 78 proc. Rosjan chce, by Putin mógł ubiegać się o dwie kolejne kadencje. To oznacza, że Władimir Putin najprawdopodobniej zakończy prezydenturę Federacji Rosyjskiej w wieku 83 lat. No, chyba że znów ktoś zgłosi poprawkę do konstytucji.

Komentatorzy, m.in. „Nowaja Gazeta”, zwracają uwagę, że referendum i przedłużenie kadencji to tylko pozorne zwycięstwo Putina. Może spowodować ono pogłębiony polityczny kryzys podyktowany coraz większą utratą zaufania do Kremla. A na wszystko nakładać się będzie jeszcze niełatwa gospodarcza sytuacja Rosji w trakcie globalnego kryzysu ekonomicznego. **(luz)** © ©

MARCIN MAKOWSKI: Panie prezydencie, ma pan poczucie ulgi, że wynik w pierwszej turze daje bezpieczne prowadzenie nad Rafałem Trzaskowskim czy jednak z tyłu głowy pojawia się panu myśl: „Jeszcze nic nie jest rozstrzygnięte”?

ANDRZEJ DUDA: Poparło mnie ponad 3 mln wyborców więcej niż w pierwszej turze w 2015 r. Dziękuję za tak ogromne zaufanie. Przede wszystkim jednak dziękuję Polakom za rekordową frekwencję, która pokazuje, że w Polsce demokracja ma się świetnie, że wiemy, iż głos oddany w wyborach ma znaczenie. Myślę, że ekipa Zjednoczonej Prawicy pokazała coś dotąd nieznanego – że można się z wyborcami na coś umówić i to zostanie spełnione. Że będzie tak, jak zdecydujemy w wyborach.

Czy ma pan prezydent za złe Jarosławowi Gowinowi, że wybory nie odbyły się 10 maja, kiedy sondaże dawały zwycięstwo w pierwszej turze? „Gdyby nie Gowin, byłibyśmy po wygranych wyborach” – powiedział marszałek Ryszard Terlecki po ogłoszeniu wstępnych wyników.

Dla mnie od samego początku istotne były dwie kwestie: bezpieczeństwo głosujących i przeprowadzenie wyborów w terminie przewidzianym w konstytucji, czyli przed 6 sierpnia. Nie oglądam się ani na sondaże, ani na spory partyjne. O tym, kto wygra w wyborach, zawsze decydują Polacy. Byłem gotów startować w maju, walczyć o zwycięstwo w lipcu.

Czy wyborcy mogą liczyć na debatę, a może debaty, między panem a Rafałem Trzaskowskim? W pierwszej turze odbyła się tylko jedna – w TVP – szeroko krytykowana za stronniczy dobór pytań.

Brałem udział w debacie ze wszystkimi kontrkandydatami przed pierwszą turą, bo uważam, że to kwestia szacunku dla wyborców. Przypominam, że nie robili tego ani prezydent Komorowski, ani prezydent Kwaśniewski. Ja jestem otwarty na debatę i nie boję się trudnych pytań, odpowiadam na nie codziennie, kiedy spotykam się z Polakami twarzą w twarz.

Do tej pory nie udało się jednak ustalić formatu, który zaakceptowałyby obydwaj kandydaci. Jak pana zdaniem, realnie, mogłaby wyglądać taka dyskusja? Wyborcy zasługują przecież na pluralistyczną debatę między panem a Rafałem Trzaskowskim.

Tak, żeby był czas na wyczerpującą odpowiedź i polemikę. Polacy



Z prezydentem Polski Andrzejem Dudą
rozmawia Marcin Makowski

Dotrzymałem obietnic



z pewnością chcieliby się na przykład dowiedzieć, co Rafał Trzaskowski tak naprawdę zrobił w kwestii ochrony środowiska w Warszawie.

À propos środowiska. Pierwsza tura odbywała się na południu Polski w cieniu powodzi i podtopień. Wizytował pan poszkodowane miejscowości. Co zrobiła władza, aby ochronić tych ludzi przed zalaniem? Czy w budżecie przeznaczono wystarczająco dużo środków na budowę wałów przeciwpowodziowych?

Nikt, kogo dotknęło nieszczęście, nie pozostanie bez pomocy. W niektórych miejscowościach sytuacja była dramatyczna i wymagała szybkiej reakcji. Woda podmyła domy i drogi. Na Podkarpaciu małe strumyki, takie, których nie obejmuje się regulacją, zamieniały się w rwące rzeki. Zareagowaliśmy natychmiast. Do usuwania skutków zostali włączeni żołnierze WOT i wojsk operacyjnych. Premier Morawiecki zapewnił mnie, że wszystkie działania będą trwały do momentu, aż wszystkie skutki powodzi zostaną usunięte, a ci, którzy ucierpieli, zostaną objęci taką pomocą, jakiej potrzebują.

„Kancelaria Andrzeja Dudy to najdroższa Kancelaria Prezydenta w historii” – stwierdził w ubiegły poniedziałek powybiorczy poseł Adam Szłapka. Barbara Nowacka domagała się z kolei ujawnienia wynagrodzeń pana podwładnych, analogicznie do ujawnienia pańskiego oświadczenia majątkowego. Czy opinia publiczna może się spodziewać decyzji w tej sprawie?

Nie wiem, czy tak jest. Natomiast budżet kancelarii jest co roku przyjmowany przez Sejm, jego wysokość wynika z zadań, które realizuje kancelaria.

Swoje oświadczenie majątkowe jednak pan prezydent ujawnił.

Jeśli chodzi o oświadczenie majątkowe Prezydenta RP, to jest ono co do zasady tajne, ale ja nie mam nic do ukrycia. Wystąpiłem o ujawnienie i teraz każdy może się z nim zapoznać. Urzędnicy, którzy są objęci obowiązkiem składania oświadczeń majątkowych, składają je i są one znane odpowiednim służbom.

Czym będzie się różnić – o ile pan wygra – druga kadencja od pierwszej? Z ust wielu polityków PiS usłyszałem, że dopiero wtedy, bez presji reelekcji, pokaże pan swoje prawdziwe oblicze. Uzyska większą niż do tej pory niezależność od Nowogrodzkiej.

FOT. JAKUB SZYMCIUK/RRP



FOT. CZECZORZ JAKUBOWSKI/VEP

▶ I może nagram płytę? (śmiech) Nie mam innej twarzy niż ta, którą znają Polacy z tysięcy spotkań ze mną. Jeśli ktoś potrzebuje drugiej kadencji, żeby zacząć działać w zgodzie ze sobą, to znaczy, że nie dorósł do pierwszej. Ja nie żałuję żadnej decyzji, którą podjąłem, choć nie wszystkie były łatwe. Nie wszystkie też podobały się moim kolegom ze Zjednoczonej Prawicy. Ale dalej będę działał w zgodzie ze sobą i z tym, na co umawiam się z Polakami. Tutaj nic się nie zmienia.

Kto najliczniej „podebrał” panu prezydentowi elektorat? Krzysztof Bosak. Zaraz za nim Szymon Hołownia – obydwaj krytykowali pańską prezydenturę jako zbyt mało podmiotową.

Moim zdaniem w polityce podmiotowość oznacza budowanie pozycji, która pozwala zmieniać kraj na lepsze. I gdy patrzę na to, co udało się osiągnąć przez ostatnie pięć lat, czuję ogromną satysfakcję. Według opozycji podmiotowość manifestuje się wyłącznie przez sprzeciw. A to prowadzi wyłącznie do konfliktu i destrukcji.

Nie wierzę jednak, że czegoś w drugiej kadencji nie chciałby pan zrobić inaczej.

Jeśli wygram, to oczywiście moja druga kadencja będzie inna od pierwszej, bo wyzwania, które stoją przed Polską, są dziś inne niż te z 2015 r. Kryzys spowodowany koronawirusem będzie wymagał szybkich, śmiałych i nieszablonych decyzji. Musimy dopilnować, żeby bezrobocie nie poszybowało w górę, ale też tak odnaleźć się w tej rzeczywistości, żeby stworzyć i wykorzystać nowe szanse dla Polski.

Chciałbym jeszcze wrócić do chwili po ogłoszeniu wstępnych wyników. O czym pan myślał, słysząc na wiecu wyborczym w Łowiczu gwizdy i buczenie, gdy dziękował pan za walkę Rafałowi Trzaskowskiemu? Z ust części uczestników słychać było również krzyki: „Tu jest Polska”.

Dziękowałem swojemu rywalowi, bo każdemu należy się szacunek. Rozmawiam z Polakami i zdaję sobie sprawę, co wielu z nich myśli o poglądach i działaniach Rafała Trzaskowskiego. Nie pochwalam jednak takiego sposobu

wyrażania niezadowolenia. Demokracja daje do tego doskonałe narzędzie – wybory.

Pański kontrkandydat zapowiedział w Płocku, że jeśli te wybory wygra, to powoła „komisję wyrównania krzywd”. Ma to być „instytucja świadka prezydenckiego”, która posłuży każdemu, „kto będzie chciał przyjść i opowiedzieć o tym, co wyprawia PiS”. Obawia się pan takiej komisji?

Wręcz przeciwnie. Zachęcałbym prezydenta Trzaskowskiego, by nie zwlekał, ale już dziś zaczął robić to, co jest w zasięgu ręki. Apeluję, by jako prezydent Warszawy powołał „instytucję świadka prezydenckiego” dla poszkodowanych przez dziką reprowizację w Warszawie. Może zacząć od pomocy osobom, które zostały wyrzucane z mieszkań, albo chociaż przestać blokować przyznane im odszkodowania. Jeśli chce zrobić coś dobrego dla zwykłych ludzi, to niech zrobi to już teraz. Pięć lat temu, kiedy ubiegałem się o urząd prezydenta, powołałem

dudapomoc, która po wyborczym zwycięstwie stała się Biurem Interwencyjnej Pomocy Prawnej w Kancelarii Prezydenta. Od pięciu lat, w ciszy, z dala od polityki i mediów, pracownicy biura niosą pomoc tysiącom ludzi poszkodowanych przez wymiar sprawiedliwości, organy państwa i samorządy.

A Trybunał Stanu, który zapowiadają wobec pana prezydenta politycy Koalicji Obywatelskiej? Jest pan gotów przed nim stanąć?

To już pozostawie bez komentarza. Choć gdy słyszę o Trybunale Stanu, od razu przychodzą mi na myśl lata przepłacania za rosyjski gaz. Dziś udało się odzyskać jakieś 6 mld zł. To trzy razy tyle, ile wynosi koszt przekopu Mierzei Wiślanej, na którym tak bardzo Rafał Trzaskowski chciałby zaoszczędzić.

Przejdźmy do polityki zagranicznej. Czy wizyta w Waszyngtonie na chwilę przed pierwszą turą była niezbędna? Czy udało się z niej przywieźć coś, czego nasze dyplomacie i pałac prezydencki nie wynegocjowały już przy okazji umowy z czerwca 2019 r.?

Spotkanie z przywódcą największego mocarstwa świata, które wspiera nasze bezpieczeństwo, z którym łączą nas strategiczny sojusz, wspólne wartości i interesy, zawsze jest okazją do załatwienia spraw ważnych dla Polski. Takie kwestie jak energetyka czy obecność wojsk USA w Polsce to nie są sprawy, które można załatwić w trakcie jednej wizyty. Ich realizacja zawsze rozłożona jest na wiele etapów. Nie o wszystkim można też efektywnie porozmawiać przez telefon czy za pośrednictwem służb dyplomatycznych.

To była inicjatywa Białego Domu?

Tak. Gdy wpłynęło zaproszenie, nie wahałem się pojechać nawet w trakcie kampanii. Byłem pierwszym przywódcą państwa, który odwiedził Waszyngton po lockdownie. To była świetna okazja do tego, by zmanifestować znaczenie relacji transatlantyckich, nasze przywiązanie do wartości, ale także wyrazić obawy, że redukcja wojsk USA w Europie nie przysłuży się naszemu bezpieczeństwu. To zostało odnotowane w Europie i umacnia pozycję Polski w regionie. Ale te rozmowy dotyczyły jeszcze jednej, ważnej dla wszystkich kwestii. Dzięki niej Polska będzie współpracować z USA w badaniach nad terapią ratującą przed koronawirusem.

W pierwszej kolejności będziemy mogli korzystać z jej efektów.

W Europie Zachodniej uchodzi pan za polityka – mówią najłagodniej – sceptycznego wobec Unii Europejskiej. Czy druga tura może oznaczać reset w relacjach Polska-UE? Chciałby pan do takiego resetu doprowadzić?

Nie zgadzam się z tak postawioną tezą. Nie potrzebujemy żadnego resetu. Od kilkunastu lat współtworzymy Unię, jesteśmy jej częścią, Polacy są nawet bardziej entuzjastycznie nastawieni do wspólnoty niż wiele innych społeczeństw, także tych, które ją zakładały. Polak, pan Janusz Wojciechowski, jest komisarzem ds. rolnictwa, a to przecież jedna z najważniejszych unijnych tek. Skutecznie walczymy o dobry budżet na następne lata.

Opozycja twierdzi, że rozbijacie Unię od środka.

Przecież to my zabiegaliśmy o ambitny plan odbudowy Europy, ten „współczesny plan Marshalla”. Odgrywamy tu pozytywną rolę, udaje nam się łączyć raczej różnych stron, bo przecież państwa członkowskie są w różnym stopniu dotknięte skutkami pandemii. Mówimy jednym głosem z Grupą Wyszehradzką, z Rumunią i innymi państwami. I to przynosi wymierne efekty. W najbliższych latach do Polski może popłynąć rekordowe 160 mld euro, to jest ponad 700 mld zł.

amerykańskie, takie, które mają wartość bojową, mogą wzmocnić nasz potencjał odstraszania. Dziś jest u nas ok. 4 tys. żołnierzy amerykańskich, a wśród nich wojska pancerne. Oczywiście to wiąże się z określonymi kosztami, koniecznością rozbudowy infrastruktury, ale po pierwsze, ta infrastruktura jest naszą własnością i pozostaje w Polsce, a po drugie, amerykańska obecność wojskowa ma pozytywne implikacje gospodarcze. My na tym zyskujemy. Tam, gdzie stacjonują wojska USA, biznes amerykański także zwiększa swoją obecność. W ciągu ostatnich pięciu lat nasza wymiana handlowa z USA zwiększyła się o 50 proc.

Kupujemy amerykański gaz, ale przecież nie uzależniamy się od niego. Sprowadzamy LNG z różnych miejsc. Dywersyfikujemy źródła energii, a rynek amerykański nam w tym pomaga. Dziś, gdy cena jest dobra, kupujemy. To jest biznes, a ceny amerykańskiego gazu są atrakcyjne. Nie przepłacamy.

Co, jeśli w listopadzie Trumpa zastąpi w Białym Domu Joe Biden? Skończy się „miesiąc miodowy” współpracy transatlantyckiej?

Z panem prezydentem Donaldem Trumpem rzeczywiście mamy dobry kontakt. Szybko znaleźliśmy wspólny język i tak, to wiele ułatwia, choćby w przypadku zniesienia wiz. Natomiast relacje między naszymi krajami oparte są na trwałych fundamentach, m.in. na podobnie rozumianych kwestiach

Gdy słyszę o Trybunale Stanu, od razu przychodzą mi na myśl lata przepłacania za rosyjski gaz. Dziś udało się odzyskać jakieś 6 mld zł

Wracając do Ameryki. W przestrzeni polityczno-medialnej pojawiają się zarzuty – podkreślał je zwłaszcza Krzysztof Bosak – zbytnej uległości Polski wobec Stanów Zjednoczonych oraz opierania siły naszego sojuszu na pana osobistej relacji z prezydentem Donaldem Trumpem.

Dobre relacje ze Stanami Zjednoczonymi leżą w najgłębszym interesie Rzeczypospolitej. Tak uważam, to jest Polska racja stanu i cieszę się, że za mojej kadencji udało się sprawić, iż te relacje są być może najlepsze w historii. Od początku swojej kadencji zabiegałem o to, aby w Polsce stacjonowały wojska

geopolitycznych. Nas, Polaków, łączą z Amerykanami te same wartości, zbieżne interesy i wypróbowany sojusz, który będzie trwał.

Jak chciałby pan prezydent powalczyć o głosy Polek i Polaków, którzy wybrali Szymona Hołownię? On sam, chwilę po ogłoszeniu wstępnych wyników, zadeklarował, że nie odda głosu na Andrzeja Dudę.

Mamy demokrację. Każdy ma wolny wybór.

Hołownia, korzystając z tego wyboru, pod pewnymi warunkami udzielił wsparcia Rafałowi

Trzaskowskiemu. To spory sukces pańskiego konkurenta.

Dziś, gdy Szymon Hołownia popart kandydata Platformy Obywatelskiej, wszyscy widzą, że jego opowieść o ponadpartyjności była PR-owską sztuczką.

Sztuczką nie jest jednak realny przepływ elektoratów. Czy jest coś, co chciałby pan prezydent powiedzieć wyborcom Szymona Hołowni?

Mogę tylko prosić, by głosujący na niego rozważyli, czy ja, czy wiceprez wodniczący PO lepiej będzie prowadzić polskie sprawy. Kto jest wiarygodny w swoich deklaracjach. Chcę prosić, aby przeanalizowali, kto zrobił więcej dla zasypywania podziałów w Polsce. Ja czy Rafał Trzaskowski? I nie mówię o podziałach politycznych, którym tyle miejsca poświęca się w mediach, ale o tych realnych. O wykluczeniu ze względu na ubóstwo, o odbieraniu dzieci rodzicom ze względu na biedę, o wykluczeniu komunikacyjnym, o napiętnowaniu rodzin wielodzietnych, o dzieleniu Polaków na tych z „Polski A” i „Polski B”. Czy wybiorą Polskę współpracy czy Polskę niszczoną przez totalną wojnę między prezydentem a rządem.

A wyborcy Krzysztofa Bosaka? To może być pana jedyna „rezerwa”, do której kontrkandydat już się zwrócił z przesłaniem liberalnym gospodarzo. Nie obawia się pan, że trudno będzie komplementować narodowe skrzydło Konfederacji, jednocześnie nie zrażając elektoratu centrum?

Nie sądzę, żeby wyborcy Konfederacji dali się instrumentalnie traktować. Mogę powiedzieć krótko: tak, opowiadam się za nowoczesną polityką społeczną i ona musi kosztować. Nie wycofam się z wprowadzonych już programów, ale nie zapominam o rozwoju gospodarczym. Nie zgadzam się, aby ambitna polityka prorozwojowa, wielkie i małe inwestycje były prowadzone kosztem najsłabszych, rodzin i seniorów. Silne państwo nie działa w ten sposób.

Prezydent Warszawy ripostuje, że w ten sposób chce pan zatuszować podnoszenie podatków.

Jeśli chodzi o liberalną politykę, jaką czaruje wyborców Rafał Trzaskowski, to może byłoby to przekonujące, gdyby nie te podwyżki podatków za rządów PO-PSL. Oni tylko udawali, że nie przeszkadzają, a ja nie waham się pomagać – taka jest różnica. My te podatki, które dotyczą zwykłych ludzi, obniżyliśmy.

Wprowadziliśmy niższy PIT, mały ZUS dla małych przedsiębiorstw, obniżyliśmy CIT, teraz jeszcze wprowadzamy nową, uproszczoną i niższą matrycę VAT na wiele podstawowych produktów. Wprowadziliśmy ulgę na projekty termomodernizacyjne. Nie udaję, że jestem liberałem, ale gwarantuję wsparcie państwa dla tych projektów, które budują naszą gospodarkę i wzmacniają naszą suwerenność, takich jak budowa sieci kolejowej i Centralnego Portu Komunikacyjnego, jak przekop Mierzei Wiślanej, jak budowa Via Carpatia, przystanków kolejowych w ponad 100 miejscowościach, jak Fundusz Inwestycji Lokalnych dla każdej gminy. Chcę, by te inwestycje były prowadzone przez polskie firmy, w tym te małe, rodzinne, które w wielkim stopniu są źródłem naszego gospodarczego sukcesu.

Czy już po czasie, na chłodno, uważa pan prezydent, że warto było tak ostro podnosić w kampanii wątek osób LGBT? Czy nadal uważa pan, że to ideologia porównywalna z bolszewizmem?

Każda indoktrynacja ma wspólny mianownik – krępowanie wolności jednostki. Indoktrynacja dzieci i młodzieży jest szczególnie niebezpieczna, bo pozbawia je możliwości ukształtowania swojej tożsamości w sposób wolny od ideologii.

À propos ludzi młodych. Według sondażowych wyników Ipsos do urn wyborczych poszło 62,3 proc. Polaków w wieku 18–29 lat. Jest to rekordowa frekwencja, ale w tym przedziale przegrywa pan zarówno z Trzaskowskim, jak i Bosakiem oraz Hołownią. Ma pan prezydent plan, jak odzyskać ten elektorat?

Będę dalej sobą. Staram się realizować program, który tworzy dla młodych jak najlepsze warunki startu w dorosłe życie. To Zjednoczona Prawica wprowadziła zerowy PIT dla młodych. Chciałbym, żeby w kolejnych latach mocniej ruszył program „Mieszkanie+”, który będzie dla nich dużym wsparciem.

Ale czy nadal, ostatecznie, czuje pan, co dla tych ludzi jest naprawdę ważne?

Wiem, że dla młodych ważna jest wolność, dlatego proszę ich, aby zapytali, jak wyglądają realia rządów Platformy, kiedy służby nachodziły redakcje, kiedy wyrzucano dziennikarzy z pracy. Myślę, że nawet dzisiejsi 20-latkowie pamiętają, jak zachował się rząd Do-

nalda Tuska w sprawie wprowadzenia ACTA w Polsce. Uważny obserwator wie, że Koalicja Obywatelska jest obywatelska tylko z nazwy.

Czy Jarosław Kaczyński, tak jak ostatnio, mówiąc o ekologii i prawach kobiet, odegra jeszcze jakąś rolę w pańskiej kampanii, czy będzie ona prowadzona w większym niż do tej pory oderwaniu od partii i rządu?

Jarosław Kaczyński mówił o bardzo ważnych sprawach. Nie ukrywam i mam satysfakcję z tego, że moją kandydaturę popiera Zjednoczona Prawica. Natomiast specyfika wyborów prezydenckich jest taka, że ostatecznie wybieramy nie partię, ale konkretną osobę, bo to jej chcemy powierzyć polskie sprawy.

Kampania ma jednak to do siebie, że trafiają się również zagrania bardzo ostre. Niedawno w mediach pojawiła się informacja o tym, że w marcu tego roku ułaskawił pan osobę, która molestowała nieletnią ze swojej rodziny. Opozycja zarzuca panu „obronę pedofila”. Jakie są kulisy tej sprawy i dlaczego zdecydował się pan na taką – kontrowersyjną przecież – decyzję?

Odnosiłem się już do tej sprawy publicznie. Moja decyzja dotyczyła jedynie zakazu zbliżania się. Inne kary były dawno wykonane. Pokrzywdzona, która już od lat jest dorosła, razem z matką poprosiły o uchylenie zakazu zbliżania się. Wniosek popierały sądy wszystkich instancji i Prokuratura Generalna. Ta rodzina chce zaznać spokoju, prosiłbym rozemocjonowanych komentatorów, aby jej to umożliwili.

I na koniec: Dlaczego wyborcy mają panu prezydentowi raz jeszcze zaufać? Czym różni się pana wizja Polski od wizji Rafała Trzaskowskiego, który mówi przecież o łączeniu, silnej prezydenturze, szerokich reformach prospołecznych, utrzymaniu „500+” i niższego wieku emerytalnego.

W odróżnieniu od mojego kontrkandydata mogę w każdym miejscu w Polsce wyjść na ulicę i spojrzeć ludziom w oczy, bo dotrzymałem swoich obietnic. Dziś nie obawiam się przedstawiać propozycji na kolejne lata, bo wiem, że je zrealizuję. Moja wizja Polski to wizja państwa, w którym obywatele ufają swoim reprezentantom, w której rządzący nie ukrywają się za zamkniętymi drzwiami, udając, że problemy zwykłych ludzi nie istnieją.



Chronimy **miejsca pracy** Chronimy **polskie rodziny**

W ramach Tarczy ponad

105 mld zł

trafiło do pracowników
i przedsiębiorców

to wsparcie dla ochrony ponad

5 mln

 miejsc pracy

Firma **HMH Hadrek Mąka Hardek Sp. j.** to firma rodzinna działająca od 2007 r. Firma jest producentem słynnych „kremówek wadowickich”.

Swoje produkty spółka sprzedaje w lokalach firmowych w Wadowicach i Krakowie oraz do sieci handlowych, jak i dużej grupy kawiarni, cukierni, restauracji i hoteli.

Nasza firma jest średnia. Zatrudniamy ok. 120 osób. Działamy w trzech województwach. Podczas pierwszych dwóch miesięcy pandemii musieliśmy zamknąć kawiarnie. Nasi klienci: sale konferencyjne, domy weselne, hotele też zostały zamknięte i zostaliśmy bez przychodu gotówki na dwa miesiące. Dlatego pomoc, najpierw z Polskiego Funduszu Rozwoju (PFR), była dla nas niczym kroplówka. To był najtrudniejszy okres. Następny etap jest teraz. Możemy już otworzyć nasze punkty. Działalność wznowia też część naszych klientów, ale na to, żebyśmy wrócili do poziomu sprzed pandemii, będziemy potrzebowali lat.

Program pomocy na wynagrodzenia z Ministerstwa Rodziny Pracy i Polityki Społecznej, włącznie ze składkami na ZUS, to było wsparcie na poziomie 70 proc. Złożyliśmy też wniosek o pożyczkę obrotową do Agencji Rozwoju Przemysłu S.A. Mam nadzieję, że wszystkie te rodzaje pomocy pomogą nam dotrwać do końca roku, a następnie odbudować rynek – **mówi Maciej Mąka**, współwłaściciel firmy.



Ministerstwo Rodziny,
Pracy i Polityki Społecznej



ZAKŁAD
UBEZPIECZEŃ
SPOŁECZNYCH



PFR
Polski Fundusz Rozwoju



BGK
BANK GOSPODARSTWA
KRAJOWEGO





Piotr Semka

Okres między pierwszą a drugą turą wyborów prezydenckich to dobra okazja do zaobserwowania zjawisk, które rządzą aktualną polską polityką

Dwa z tych zjawisk dotyczą Andrzeja Dudy i Rafała Trzaskowskiego – rywali w drugiej turze wyścigu do Belwederu. Dwie kolejne opisują specyfikę Szymona Hołowni i Konfederacji, których wyborcy z pierwszej tury uważani są za rezerwuar dodatkowych głosów w ostatecznym starciu wyborczych gigantów.

ZJAWISKO NR 1, czyli Duda – wojownik i emancypant mas

Dziś widać już bardzo wyraźnie, że obecny prezydent znalazł w sobie w odpowiednim momencie dość siły na wejście w rolę wojownika. Ten energetyczny, zadziorny styl podkreślony dość swobodnym strojem – biała koszula z podwiniętymi rękawami i czarne quasi-dżinsowe spodnie – sprawdził się w ostatniej fazie kampanii i znacznie go odmłodził. Długie przemówienia Andrzeja Dudy miały charakter partnerskiej rozmowy z mieszkańcami miasta na wyborczej trasie. Trafnym chwytem było też powtarzanie pytania: „Czy Państwu żyje się lepiej niż pięć lat temu?”. Wbrew obawom części obserwatorów kampanii zdecydowane poruszenie kwestii zagrożeń wynikających z ideologii LGBT okazało się korzystne dla spolaryzowania wyborców. Mobilizacja elektoratu prawicowego wypadła w pierwszej turze całkiem dobrze, choć nie ma gwarancji, że powtórzy się to w drugiej. To wszystko zostało wzmocnione przez pozytywny przekaz z wizyty w Waszyngtonie i razem dodało wigoru kampanii. Pokrzyżowało też plany Platformy, która chciała już ubrać Dudę w kostium słabnącego polityka coraz bardziej pogodzonego ze swoją klęską. Temu służyła np. okładka „Newsweeka” z 8 czerwca wieszcząca, że „w sztabie Andrzeja Dudy zapanował chaos: nie ma pomysłu na kampanię, nie ma kto podejmować decyzji, jakby wszyscy pogodzili się z tym, że będzie wyborcza porażka”.

Ta pozytywna metamorfoza prezydenta może oznaczać, że w razie reelekcji Andrzej Duda będzie mógł mieć poczucie, że sukces zawdzięcza głównie sobie. Jedyny występ Jarosława Kaczyńskiego w kampanii – przemówienie na Forum Młodych PiS – nie stał się jakimś przełomowym akcentem bitwy o prezydenturę. W o wiele większym stopniu „PAD” korzystał w kampanii ze wsparcia Mateusza Morawieckiego. W razie wygranej Duda będzie miał o wiele silniejsze poczucie własnej siły, niż było to w roku 2015. I wreszcie jeszcze nowy-stary element – Andrzej Duda i szerzej PiS skorzystali w pierwszej turze ze zjawiska emancypacji politycznej tej części polskiego społeczeństwa,

– w pierwszej turze 28 czerwca Andrzej Duda uzyskał wynik 37 proc., a Trzaskowski tylko 30 proc. Duda zwyciężył też nad Trzaskowskim w zdominowanej przez prawosławnych gminie Hajnówka i w gminie Cieszyń, gdzie silna jest grupa protestantów. Nawet w gminie Strzelce Opolskie – spora jest tu mniejszość niemiecka – gdzie w 2010 r. Jarosław Kaczyński dostał tylko 21,8 proc., przegrywając z Bronisławem Komorowskim, w tym roku zwyciężył już prezydent Duda z wynikiem 39,6 proc. Oznaczać to może, że poziom życia i kwestie cywilizacyjne mogły być uznane za ważniejsze od obaw o stosunek prawicy do mniejszości, który wcześniej pchał je ku SLD lub PO.

WMW, czyli Wzmożenie



która żyła niejako na marginesie polityki. Analiza Klubu Jagiellońskiego porównująca badania nastrojów społecznych CBOS z tendencjami w kampanii prezydenckiej pokazuje, że istnieje silne poczucie społeczne, iż poziom życia wyraźnie się polepszył. Okres rządów PiS dał szerszym niż wcześniej grupom społecznym znacznie większe poczucie realnej sprawczości.

Na inne ciekawe zjawisko zwrócił uwagę w kontekście pierwszej tury wyborów analityk sondaży Marcin Palade. W tym roku po raz pierwszy od 1990 r. gminy w Polsce zamieszkane przez mniejszości narodowe wybierały w większym stopniu kandydata prawicy, a nie – jak wcześniej – polityków lewicy lub obozu liberalnego. W gminie Puńsk – centrum Litwinów żyjących w Polsce

Czy wszystkie te czynniki zadecydują o wygranej „PAD” w drugiej turze? Przekonamy się 12 lipca.

ZJAWISKO NR 2, czyli Trzaskowski – nieuleczalny arogant

Okres po pierwszej turze nie przyniósł jakiegś zmiany w stylu kandydata Koalicji Obywatelskiej. Już wystąpienie w wieczór wyborczy było wykrzyżane ostrym tonem. Pomysłem na kolejne powyborcze dni było roztrząsanie odmowy udziału prezydenta Andrzeja Dudy w debacie TVN, TVN24, Onetu i Wirtualnej Polski.

Wykreować ma to wizerunek prezydenta jako „zmokłej kury”. Nieprzypadkowo posłowie PO zaczęli lansować hashtag #cykor. „Tchórz, który boi się dziennikarzy i opinii publicznej, ma sobie

radzić jako głowa państwa i zwierzchnik sił zbrojnych w świecie pełnym wyzwań i przy napiętych relacjach z jednym z naszych sąsiadów” – takim wystudowanym tweetem podzielił się ze światem Marek Belka.

I znów, podobnie jak w kpinach z wyjazdu do Waszyngtonu, linia ataku może minąć się z odczuciami większości Polaków. To, że każda ze stron sporu ma zaufanie tylko do przyjaznych sobie mediów, to coś, do czego zdążyli się już przyzwyczaić szeregowi wyborcy. Mało kto się dziwi, że Duda nie ma ochoty na aroganckie odpytywanie przez Monikę Olejnik, a dla odmiany Trzaskowski nie ufa pytaniom prezenterów TVP.

wychylającym się zza zamkniętych drzwi z okrzykiem: „Chwała Wielkiej Polsce” zrobił furorę w sieci.

Problem w tym, że Trzaskowski od początku kampanii szarpie się między image’em „idealnego zięcia” a kimś, kto lubi pokazywać kły. Pytanie, w jakim stopniu zrazi to wyborców?

ZJAWISKA NR 3 I 4, czyli Hołownia i konfederaci przewidywalni do bólu

Nie minęły trzy dni od nocy wyborczej, gdy 1 lipca doszło do debaty Szymona Hołowni z Rafałem Trzaskowskim, po której telewizyjny celebryta wsparł kandydata PO. Odbyło się to po solennym zobowiązaniu Trzaskowskiego, że w ra-

jakaś atrakcyjną obietnicę – np. wystawienia go w razie wygranej Trzaskowskiego przez PO na nowego prezydenta stolicy – albo że rola supportu dla kandydata PO była zaplanowana dla niego od początku. Tak czy inaczej jedna komedia na razie jest skończona. Jedyne, co może spędzać sen z powiek sztabowców PO, to pytanie, jaka część wyborców Hołowni pójdzie śladem swego idola i poprze w drugiej turze Trzaskowskiego.

Zupełnie inaczej wyglądają relacje Konfederacji z prezydentem Andrzejem Dudą. Oficjalnie Konfederacja deklaruje, że nie poprze nikogo z uczestników drugiej tury. W praktyce konfederaci prześcigają się w niedomówieniach i wieloznacznych ocenach dwóch czołowych kandydatów.

Raz Krzysztof Bosak ogłasza, że jego partia ma „wybór pomiędzy jawnym wrogiem a fałszywym przyjacielem”. Innym razem zapowiada, że „sytuacja polityczna uspokoi się przy założeniu, że wygra Andrzej Duda. Nasi wyborcy są ludźmi inteligentnymi”. Z kolei Jakub Kulesza, szef koła poselskiego Konfederacji, bardzo łaskawie przyjął tweet Donalda Tuska ostrzegający konfederatów przed próbami zniszczenia przez PiS. Kulesza pisał: „Jedno jest pewne. Jarosław Kaczyński na miejscu Konfederacji zagłosowałby na Rafała Trzaskowskiego. Pół roku temu wiceprezes PiS Adam Lipiński przyznał: »Nasz zamysł, który powstał przy tworzeniu Zjednoczonej Prawicy, żeby po prawej stronie nie powstał żaden podmiot, nie udał się«”.

Ugrupowanie Bosaka mogło wybrać jeszcze jedną drogę. Mogło skupić się na wskazywaniu efektów wygranej Trzaskowskiego w postaci wsparcia dla zmian obyczajowych i postulatów ruchu LGBT. Konfederacja woli jednak rolę siły, która „nie da się nikomu kupić”.

Inny odłam narodowców – organizatorzy Marszu Niepodległości na czele z Robertem Bąkiewiczem – przyjął inną linię. „Żadne miłe słowa, uśmiechy i podstępne gry nie sprawią, że zapomnimy, co Platforma Obywatelska robiła z Marszem Niepodległości” – zadeklarował.

Jeśli Duda wygra bez gestów ze strony konfederatów, to wzajemne pretensje obu ugrupowań z czasem mogą zbladnąć. Jeśli wybory prezydenckie 2020 r. będą początkiem schyłku dobrej zmiany, to urazy utrwala się nieporównanie mocniej.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

Między Wyborami



FOT. MARCEJ BEREZOWSKI/REPORTER

Chociaż Andrzej Duda nauczył się już także sięgać na wiecach po ostre słowa, takie jak „kłamcy” czy „ci, którzy nas oszukiwali”, to Trzaskowski nieporównanie częściej sięga po język konfrontacji. Pogrożki wobec TVP, zapowiedzi, że „to, co zrobił PiS, zostanie wypalone żelazem”, wyśmianie wraz z tłumem zwolenników dziennikarza lokalnej prasy w Płocku, który ośmielił się zapytać o warszawskie ścieki, utrudniły polubienie kandydata PO jako kogoś sympatycznego.

Jeszcze gorzej wypadły próby kokietowania przez Trzaskowskiego elektoratu Konfederacji. Zwrócił się on do wyborców tej partii, zaznaczając, że w „kwestiach gospodarczych wiele ich nie różni”. Mem z prezydentem Warszawy

z wygranej przyjmie „ponadpartyjny model prezydentury”.

To ekspresowe tempo okazało się wsparciem było potwierdzeniem wcześniejszych przeczuć tych, którzy w wykreowaniu kampanii Hołowni od początku widzieli support dla najsilniejszego kandydata obozu III RP. Teraz były nowicjusz zakonu dominikanów może odegrać rolę, którą pięć lat temu odegrali na rzecz wygranej Andrzeja Dudy Paweł Kukiz i jego ruch.

Gdyby Hołownia naprawdę myślał serio o stworzeniu swojej partii, nie zajęłby żadnego stanowiska w kwestii swojego poparcia w drugiej turze i skupiłby się na budowaniu ruchu na kontrze do Platformy. To, że tak szybko wsparł Trzaskowskiego, świadczy o tym, iż albo uzyskał

Przed drugą turą



FOT. AGNIESZKA JAROSZ/REPORTER



Rafał A. Ziembkiewicz

Wybór na prezydenta polityka „opozycji totalnej” byłby wielkim zagrożeniem dla polskiej suwerenności. A co najmniej wtrąciłby Polskę w chaos i niszczącą polityczną wojnę. Na szczęście jest to moim zdaniem mało prawdopodobne

Nie próbuję ukrywać, że nie mam równego dystansu do kandydatów, którzy zmierzają się w najbliższą niedzielę w drugiej turze wyborów prezydenckich. Wyjaśniałem już na tych łamach, dlaczego: wybór na prezydenta polityka „opozycji totalnej”, nieuznającego Trybunału Konstytucyjnego ani pierwszego prezesa Sądu Najwyższego i części jego sędziów, odrzucającego

wielokrotnie orzeczenia TK (notabene sprzed 2015 r.) stwierdzające nadrzędność polskiej konstytucji nad wyrokami TSUE, poza zakresem, w którym Polska delegowała swe uprawnienia na organa UE w traktatach akcesyjnych itd., byłby, uważam, wielkim zagrożeniem dla polskiej suwerenności. A co najmniej wtrąciłby Polskę w chaos i niszczącą polityczną wojnę, która mogłaby państwu i obywatelom przynieść tylko szkody.

Czytelnik ma więc prawo podejrzewać (ja sam nie mogę takiej możliwości wykluczyć), że twierdząc, iż, na szczęście, ten scenariusz jest wykluczony, ulegam swemu „chciejstwu”.

Mam jednak liczne argumenty za tym, by spoglądać w przyszłość z optymizmem.

KANDYDAT PIERWSZEJ TURY

Przede wszystkim Rafał Trzaskowski został wymyślony jako kandydat na pierwszą turę i tak też została poprowadzona jego kampania. Kandydatką na drugą turę, „przytulającą” do „żelaznego elektoratu” wyborców ze słabo

spolityzowanego centrum, miała być Małgorzata Kidawa-Błońska. Tylko że nie wyszło i nagle okazało się, iż PO musi walczyć o odzyskanie samego „żelaznego elektoratu”, uwiedzionego przez Władysława Kosiniaka-Kamysza i Szymona Hołownię. Wraz ze zmianą kandydata PO wróciła więc do brutalnej retoryki, obyczajowego progresywizmu i tożsamościowej narracji o oświeconych wielkich miastach i ciemnej prowincji. W „bańce” odbiorców lewicowo liberalnych mediów to się zawsze sprawdza, ale poza nią raczej odrzuca, niż przyciąga.

Na tle ostatnich sondaży Kidawy-Błońskiej wynik Trzaskowskiego w pierwszej turze wydaje się zawrotny. Wcale jednak nie jest, zwłaszcza jeśli wziąć pod uwagę, że został osiągnięty kosztem skanibalizowania już w pierwszej turze potencjalnie najłatwiejszych do pozyskania elektoratów PSL i Lewicy (podobnie jak w 2015 r. zrobił to Bronisław Komorowski).

Jedynym zasobem, z którego może Trzaskowski znacząco zaczerpnąć, pozostali więc wyborcy Hołowni. Być może mają ra-

cię ci, którzy twierdzą, że „projekt Hołownia” od początku wymyślony został po to, by powtórzyć sztukę, którą w 2015 r. pokazał Paweł Kukiz – niejako „przepompować” elektorat, tylko w odwrotną niż wtedy stronę. Jeśli tak, to był to jednak projekt „kompatybilny” z Kidawą-Błońską. Trzaskowski może oczywiście udawać, że nie jest wiceprezesem PO ani nie był dwukrotnie ministrem, w dodatku przyzywanym przez partyjne doły i medialne zaplecze, by zastąpił Schetynę w funkcji przewodniczącego partii; mimo to jednak Hołowni będzie znacznie trudniej namówić ludzi, których uwiódł swą demonstracyjną „ponadpartyjnością” i „apolitycznością”, do przetrwania głosów na partyjnego prominenta niż na „ciocię Małgosię”, która PO tylko reprezentowała, ale nigdy się w niej nie liczyła.

Pytanie zresztą, czy Hołownia ma rzeczywiście nad swoim elektoratem jakąkolwiek władzę? Trudno orzekać bez dokładnych badań, ale prawdopodobnie jest to elektorat bardzo eklektyczny, nawet jeśli przeważają w nim ludzie o wrażliwości liberalnej. Specjaliści chętnie używają wobec takich wyborców określenia „lotne piaski”. Szukając czegoś nowego, innego i nie myśląc w kategoriach politycznych, gotowi są w krótkim czasie przerzucać głosy z Palikota na Korwin-Mikkego, z liberalnego Petru na lewicowego Biedronia. Ich emocjonalny związek z kolejnymi politykami nie da się w żaden sposób porównać z więzią łączącą ze swymi wyborcami Kaczyńskiego czy, swego czasu, Tuska albo Kwaśniewskiego.

„KUKIZÓW” DWÓCH

W interesie Hołowni, jeśli naprawdę zamierza tworzyć swój ruch polityczny, byłoby raczej powstrzymanie się od wskazywania „mniejszego zła” w drugiej turze, względnie zrobić to jak najpóźniej i możliwie dyskretnie. Tymczasem skwapliwość, z jaką Hołownia jeszcze przed wyborami, a potem niemal nazajutrz po pierwszej turze, wyrывał się z poparciem dla Trzaskowskiego, bardziej niż zachęcić do tego ostatniego, mogła zniechęcić do samego Hołowni. Paweł Kukiz w analogicznej sytuacji zaprosił do siebie obu uczestników drugiej tury na debatę nad swoimi propozycjami programowymi (co Andrzej Duda skwapliwie zaakceptował, a pewny swego Komorowski zlekceważył); pomost, po którym większość wyborców Kukiza przeszła w ciągu dwóch tygodni do kandydata

PiS, budowany był stopniowo i bez namolności. Hołownia, urządzając już w powyborczą środę internetowy „live” z Trzaskowskim, nie miał ani zręczności, ani pretekstu – bo nie zgłosił w kampanii żadnych sztandarowych pomysłów porównywalnych z tym, czym dla Kukiza były okręgi jednomandatowe i referenda. A debatowanie (jeśli debatowaniem można nazwać bezwstydną zachwalanie niedawnego konkurenta) o „prezydenturze pozapartyjnej” z wiceprzewodniczącym partii dało efekt raczej groteskowy.

W tych wyborach, inaczej niż w roku 2015, „kukizów” (w sensie: spoza PO i PiS) było jednak dwóch. Ten drugi, mniejszy, to oczywiście Krzysztof Bosak. Jego Konfederacja to jednak zupełnie inna bajka. Nie enigmatyczny „ruch”, nie „człowiek skądinąd”, ale partia polityczna, mimo swej różnorodności mająca wyrazić tożsamość, stojącą w dramatycznej sprzeczności ze wszystkim, co dotąd głosili Rafał Trzaskowski i media go popierające.

Bosak, który sam zwykł określać swą partię mianem „ideowej prawicy”, stał się zakładnikiem tej deklaracji. Nawet gdyby podzielił rozumowanie, suflowane mu przez liberalną lewicę, że w interesie jego partii jest przegrana Dudy, bo przy rządzącym PiS umocnić się będzie Konfederacji znacznie trudniej, nie może tego powiedzieć na głos. Głoszone przez wielu jego zwolenników hasło „PiS-PO jedno zło” da się od biedy bronić, jeśli pole debaty publicznej ograniczyć tylko do podatków (choć i tu etatyści z PiS wypadną lepiej niż etatyści z PO), ale przecież wybory prezydenckie dotyczą o wiele szerszego zakresu spraw. Poparcie, choćby tylko przez nawoływanie do pozostania 12 lipca w domu, człowieka, który próbował zniszczyć Marsz Niepodległości, promował i futrował pieniędzmi podatników LGBT czy Antifę, jest rzecznikiem podporządkowania Polski brukselskiej centrali i w ogóle uosabia wszystko to, co „ideowej prawicy” wrogię, byłoby po prostu kompromitacją.

PiS, zgodnie z „doktryną Kaczyńskiego” (nic na prawo od nas), wielokrotnie próbował „ideową prawicę” rozkruszyć i zniszczyć, czasem metodami bardzo nieczystymi, więc otwarte poparcie Andrzeja Dudy, bez jakiegось spektakularnego gestu z jego strony, też jest dla Konfederacji trudne do przyjęcia i raczej nie należy się go spodziewać. Antylewicowa tożsamość większości tego elektoratu jest jednak na

tyle silna, że takiego wezwania wcale nie potrzeba. Nawet, jeśli zgodzi się on z formułą Bosaka o wyborze „między otwartym wrogiem a fałszywym przyjacielem”, ten wybór jest oczywisty.

Niewielki liczebnie elektorat Kosiniaka-Kamysza, mimo politycznego sojuszu PSL z PO (czy raczej podporządkowania się partii Borysa Budki, które zresztą sprawiło, że pomagając jej w przesunięciu wyborów i wymianie kandydata, Kosiniak-Kamysz zaprzepaścił niepowtarzalną szansę), też bliższy się wydaje prezydentowi niż jego kontrkandydatowi. Szczególnie w sytuacji, kiedy podstawą przekazu tego drugiego pozostaje „wyższościowa” pogarda dla „wiochy”, z którą co chwila wyrывa się jeśli nie sam kandydat, to pragnący mu pomóc celebryci. A próby obiecywania przez Trzaskowskiego „nowej solidarności” brzmią równie groteskowo jak nagłe umizgi do Konfederacji, którą wielokrotnie nazywał partią faszystowską, i obiecywał skrajnej lewicy zdelegalizować, a przynajmniej uniemożliwić jej swobodne działanie w Warszawie.

NIE DEMOBILIZUJMY, ALE...

Last but not least – nawet w tak spolaryzowanym na polityczne plemiona społeczeństwie wybór między dwoma kandydatami to także wybór personalny. W zasadzie jedynym atutem, który może eksponować Trzaskowskiego, jest jego przynależność do elity – znajomość języków, europejskie obycie etc. Czasy, kiedy bardzo to imponowało polskim wyborcom, już minęły, zresztą prezydent Duda, choć może nie myśli po francusku ani nie czytał Morina w oryginale, powodów do kompleksów tu nie ma. Cała reszta, począwszy od wiarygodności, a skończywszy na pasującej do potocznego wyobrażenia o pierwszej damie żonie, działa na rzecz urzędującego prezydenta. Można wskazać kilka obietnic z roku 2015, których nie spełnił, ale krętowni, ideowych wolt, wypierania się własnych wcześniejszych słów i działań ani przykładów politycznego cwaniactwa po jego stronie wyborca nie znajdzie.

Obawa obozu PiS, by nie wykazać się nadmierną pewnością siebie i nie zdemobilizować przez to elektoratu, wydaje się zrozumiała. Powiem jednak szczerze – jeśli prezydent Duda nie wygra z Trzaskowskim, i to wyraźnie, to wówczas uznaję, że kompletnie oderwałem się od polskiej rzeczywistości.

MACIEJ PIECZYŃSKI: Jak najtrafniej zdefiniować oś sporu w drugiej turze wyborów prezydenckich?

PROF. ANTONI DUDEK: To będzie starcie dwóch wizji rozwoju Polski. Z jednej strony mamy do czynienia z koncepcją rozwoju dyfuzyjno-polaryzacyjnego, dawniej otwieranie głoszona przez Platformę. Oznacza ona inwestycje w wielkie ośrodki miejskie, które mają stać się kołem napędowym rozwoju. Z kolei PiS proponuje wizję tzw. zrównoważonego rozwoju, zgodnie z którą większość środków kierowana jest na prowincję, przy założeniu, że duże miasta i tak same sobie poradzą. Właśnie ta oś sporu spowodowała całkowitą zmianę geografii politycznej w Polsce. Od lat 90. umowny podział między prawicą i lewicą, następnie między PiS a PO, wyznaczała linia Wisły. Natomiast od wyborów 2018 r. widać wyraźnie, że Polska dzieli się na prowincję, głosującą na PiS, oraz wielkie ośrodki, czyli elektorat PO.

A jednak w kampanii mocno wybrzmiał spór światopoglądowy. Rafał Trzaskowski jako „tęczowa” twarz Platformy wydawał się wdzięcznym obiektem do ataków z pozycji konserwatywnych. Czy podjęcie tematu LGBT pomogło, czy zaszkodziło Andrzejowi Dudzie?

To było ryzykowne posunięcie. Wywołało zresztą wyraźną reakcję USA, czyli jedyne znaczącego sojusznika, jaki pod rządami PiS nam pozostał.

Nawet jeśli, to przecież Andrzej Duda zataił złe wrażenie, odwiedzając Trumpa w Białym Domu, i tym samym pokazując znaczenie sojuszu polsko-amerykańskiego.

Tego nie kwestionuję. Wydaje się jednak, że reakcja USA poskutkowała – wydaje się, że Andrzej Duda do tematu już nie wróci, żeby znowu nie musieć niczego zacierać. Proszę zwrócić uwagę, że poseł Przemysław Czarnek, który w sprawie LGBT wypowiedział się najostre, zniknął z przestrzeni publicznej, mimo że wcześniej był jedną z twarzy kampanii. Tego typu ostre, skrajne komentarze, czy to jednej, czy to drugiej strony sporu, są zawsze pożywką dla obozu przeciwników, którzy tylko czekają, aby w ten sposób straszyć wyborców rywalem. Osią kampanii Andrzeja Dudy na ostatniej prostej nie będą sprawy światopoglądowe, lecz polityka społeczna. Można się było już o tym przekonać, słuchając piątkowego przedwyborczego wystąpienia prezydenta. Zapewnił wówczas, że jednym z celów jego drugiej kadencji będzie wzrost przeciętnej płacy w Polsce do 2 tys. euro w 2025 r. To było mocne uderzenie, na poziomie no-



FOT. MICHAŁ WOŹNIAK/EST NEWS



Z prof. Antonim Dudkiem, politologiem
rozmawia Maciej Pieczyński

Dla Dudy kluczem będzie polityka społeczna

wego „500+”. Do 2015 r. PiS miewał różne pomysły na kampanie, ale tak naprawdę wyborców przekonała dopiero polityka społeczna.

Duda może zresztą powoływać się na spełnione obietnice PiS w tym zakresie i akcentować swoją wiarygodność. A na co postawi Trzaskowski w końcówce kampanii?

Na jedno hasło: „Mamy dość!”. Będzie próbował skupić pod swoimi skrzydłami wszystkich niezadowolonych z rządów PiS. W drugiej turze w dużej mierze decyduje elektorat negatywny...

Pięć lat temu zwyciężyło zmęczenie rządami PO-PSL. Czy teraz decydujące może się okazać zmęczenie rządami PiS?

W 2015 r. zmęczenie władzą było dużo większe niż obecnie. Poza tym Bronisław

Komorowski popełnił po pierwszej turze parę ewidentnych błędów, których na razie Andrzej Duda uniknął. Mam na myśli przede wszystkim słynne referendum, które miało pozyskać wyborców Kukiza, ci jednak byli zdecydowanie antyplatformerscy. Dodatkowo pamiętajmy, że w 2015 r. ówczesna partia władzy miała za sobą nie jedną, a dwie pełne kadencje, więc i zmęczenie było większe. Ponadto po ewakuacji Tuska do Brukseli Platformie zabrakło silnego lidera, zdolnego ograniczyć rozmiary porażki. Natomiast PiS, mimo koronakryzysu, wciąż utrzymuje wysokie notowania. Wszystkie kanty i chropowatości swoich rządów, takie jak nieudane reformy sądownictwa i szkolnictwa, partia Kaczyńskiego umiejętnie łagodziła przemysłaną i skuteczną polityką społeczną. Rząd PiS ma za sobą cztery udane ekonomicznie lata.

Biorąc to wszystko pod uwagę, Andrzej Duda pozostaje faworytem do zwycięstwa w drugiej turze. Jednak to nie będzie łatwe zwycięstwo.

Ważną rolę odegrać może 13-procentowy elektorat Szymona Hołowni. Światopoglądowo zdecydowanie bliżej im do Trzaskowskiego niż do Dudy.

Jak widać Hołownia już wybrał Trzaskowskiego. W dużej mierze stoi na straconej pozycji. Każdy scenariusz jest dla Hołowni zły. Zwycięstwo Trzaskowskiego oznaczałoby bardzo burzliwą kohabitację, w konsekwencji nawet przyspieszone wybory parlamentarne. Teoretycznie to byłaby szansa dla Hołowni, aby zdyskontować świeżo zdobyte poparcie i wprowadzić swoich ludzi do Sejmu. W praktyce jednak triumf Trzaskowskiego skutkowałby ogromnym wzmocnieniem Platformy. A tylko jej kosztem może się ruch Hołowni rozwijać. Jeśli natomiast wygra Duda, to czekają nas ponad trzy lata bez wyborów parlamentarnych. Wszystkie ugrupowania, powstałe w oparciu o dobry wynik kandydata w wyborach prezydenckich, poczynając od Olechowskiego w 2000 r., kończąc na Kukizie sprzed pięciu lat, przetrwały dzięki szybkiemu wejściu do Sejmu. Jednak nie należy przeceniać znaczenia zachowania samego Hołowni. Większość jego zwolenników w poprzednich wyborach głosowała na szeroko rozumianą opozycję antypisowską. Podobnie będzie i tym razem. I głównie dlatego sprawa wyniku drugiej tury wciąż jest otwarta. Gdybyśmy założyli, że głosy Hołowni przejdą na Dudę, wybory byłyby już rozstrzygnięte.

Jaką widzi pan przyszłość przed ruchem Hołowni?

Nie wróżę sukcesu. Nie ma większych szans w ewentualnej rywalizacji z Platformą, która mimo że od pięciu lat nie rządzi, jest partią bardzo mocno zakorzenioną w polskim życiu politycznym, zwłaszcza w samorządach. Mniejsze ugrupowania nie potrafią jej zagrozić. Przez moment wydawało się, że szansę na podjęcie walki z PO ma Kosiniak-Kamysz, biorąc pod uwagę dobre sondaże oraz mocne struktury lokalne, bogatą tradycję PSL. Dzisiaj jednak widać wyraźnie, że jedyne, co się udało prezesowi ludowców, to uchronienie swojej partii przed wypadnięciem z Sejmu, dzięki mariażowi z Kukizem. Na tym skończyły się sukcesy Kosiniaka-Kamysza.

Jeśli Trzaskowski wygra, to najpierw czeka nas spór o prawomocność wyborów, bo ich data jest niekonstytucyjna.

Również ewentualne zwycięstwo Dudy z pewnością będzie podważane przez opozycję.

Liczni konstytucjonaliści, stojący po stronie Trzaskowskiego, mówią o tym bardzo cicho, gdyż kwestionowanie wyborów, w których wciąż jeszcze może wygrać ich kandydat, byłoby bez sensu. Z pewnością jednak uaktywnią się, jeśli tylko okaże się, że wygra Duda. Opozycja jednak może sobie mówić, co chce. Gorzej, jeśli PiS, mając wszelkie instrumenty władzy, będzie kwestionować niekorzystny dla siebie wynik wyborów nie tylko werbalnie.

Zostawmy prawne konsekwencje. Jakie będą te polityczne?

Założmy, że PiS uznaje zwycięstwo Trzaskowskiego. Wówczas znacznie się najbardziej burzliwa kohabitacja w dziejach III RP. Nikt, ani po stronie PiS, ani po stronie PO, nie wierzy w solenne zapewnienia Trzaskowskiego, jakim to on będzie koncyliacyjnym prezydentem, skłonny do współpracy z rządem. Jego strategicznym celem będzie spotęgowanie chaosu politycznego tak, aby zmusić PiS do rozpisania przedterminowych wyborów parlamentarnych, oczywiście w momencie, gdy notowania Platformy pozwolą jej wierzyć w ewentualne zwycięstwo. Osobistym sukcesem Trzaskowskiego będzie jednak nawet minimalna przegrana. Wówczas to on umocni się na pozycji prawdziwego lidera PO, a Borys Budka pozostanie już tylko formalnie przewodniczącym. Trzaskowski będzie miał trzy lata, by przygotować partię do wyborów parlamentarnych. Natomiast reelekcja obecnego prezydenta też nie musi oznaczać końca problemów PiS. Uważam, że Andrzej Duda jest mimo wszystko typem ambitnego lidera. Mając w perspektywie ostatnią kadencję i miejsce w historii, może się zacząć autonomizować i w ten czy inny sposób odegrać się za rozmaite upokorzenia, których doznał ze strony PiS i samego Jarosława Kaczyńskiego. Sam prezes był zresztą zaskakująco mało aktywny w kampanii, co może oznaczać, że powróci spór o sukcesję. Poza tym Polskę niechybnie osiągną skutki koronakryzysu i pieniądze na programy społeczne zaczną się kurczyć. A wtedy ktoś z PiS będzie musiał tę gorzką prawdę obywatelom wyjawiać...

Tuż po ogłoszeniu wyników zarówno Duda, jak i Trzaskowski zaczęli komplementować elektorat

Bosaka. Wiadomo już, że Konfederacja oficjalnie nie poprze żadnego z kandydatów. Pytanie jednak: Jak zachowają się jej zwolennicy? Światopoglądowo bliżej im do Dudy, gospodarczo do Trzaskowskiego. Mogą też chcieć się zemścić za ostre ataki ze strony PiS. Który z tych czynników przeważy?

Nie mam pojęcia. Podejrzewam, że żaden nie będzie dominujący. Elektorat Bosaka rozpadnie się na trzy części. Jedna nie pójdzie do wyborów. Druga, kierując się postawą wolnorynkową, wybierze Trzaskowskiego, bo choć jest on liberałem przede wszystkim światopoglądowym, a w mniejszym stopniu gospodarczym, to jednak może powstrzymać ewidentny interwencjonizm i etatyzm PiS. Trzecia grupa zdecyduje się poprzeć Dudę, aby powstrzymał on rewolucję obyczajową, której heroldem jest kandydat Platformy. Jednak wygrana Trzaskowskiego może doprowadzić do przyspieszonych wyborów parlamentarnych, w których Konfederacja, korzystając z dobrego wyniku Bosaka, miałaby szansę uzyskać lepszy niż ostatnio wynik. Czeką nas kryzys gospodarczy, Unia Europejska jest w tarapatkach – to okoliczności sprzyjające tego typu ugrupowaniom. Konfederaci mogliby więc potraktować Trzaskowskiego jako taran, swego rodzaju lodołamacz albo ściśle mówiąc – „dudołamacz”. Uważam jednak, że elektoratowi Bosaka poświęca się nieproporcjonalnie dużo uwagi. Pamiętajmy, że jak te niecałe 7 proc. głosów Bosaka podzieli się na trzy części, to okazuje się, że szczególnie jest o co się bić. Dlatego na miejscu Dudy i Trzaskowskiego raczej unikałbym namolnego zabiegania o elektorat kandydata Konfederacji, bo może się to skończyć tak jak w przypadku zabiegów Komorowskiego o zwolenników Kukiza w 2015 r. Większe znaczenie dla ostatecznego wyniku będą mieć nowi wyborcy, którzy nie głosowali w pierwszej turze. Myślę, że może to być nawet 1–2 mln osób.

Który kandydat ma większe szanse, by ich pozyskać, i dlaczego?

Trudno przewidzieć. Najprawdopodobniej będą to wyborcy, którzy z reguły nie głosują. Elektorat niespójny, niewyrobiniony, pozbawiony ściśle określonych poglądów politycznych. Ci ludzie pójdą do urn pod wpływem otoczenia, na zasadzie: „wszyscy mówią o tych wyborach, to może i my zagłosujemy”. Taki elektorat to przekleństwo polityków i utrapienie socjologów. To powód, dla którego często mówię w tym kontekście o prezydenckiej ruletce.

Zwycięstwo Trzaskowskiego oznaczałoby początek końca PiS?



Tomasz Rowiński

Samorządy bardzo zyskały na funduszach spójnościowych, jednak widać, że oczekuje się od nich uległości wobec Brukseli, choćby oznaczała ona odrzucanie wartości konstytucyjnych własnego kraju. To groźna i bezprawna gra

Reakcje instytucji unijnych na Samorządową Kartę Praw Rodzin oraz inne deklaracje prorodzinne podpisane w ostatnim czasie przez ok. 80 polskich samorządów wydają się kolejnym przykładem na to, że wolnościowa, równościowa i demokratyczna retoryka Brukseli jest tylko listkiem figowym

Samorządy pod

mającym przesłonić ideologiczny walec, którym kieruje ta instytucja. Komisja Europejska ima się wszelkich sposobów, by demokracja w Europie zaczęła znaczyć w krótkim czasie tyle, co kiedyś znaczyła „demokracja ludowa”. Tym razem chodzi o list, który pod koniec maja otrzymali marszałkowie województw lubelskiego, łódzkiego, małopolskiego, świętokrzyskiego i podkarpackiego. Dwóch dyrektorów związanych z Komisją Europejską – Marc Lemaître, dyrektor generalny ds. polityki regionalnej i miejskiej, oraz Joost Korte, dyrektor generalny ds. zatrudnienia – zagroziło w nim odebraniem samorządom dostępu do funduszy mających łagodzić skutki epidemii COVID-19. Inspiracją dla tych działań była rezolucja Parlamentu Europejskiego na temat rzekomo ustanowionych w Polsce „stref wolnych od LGBT”. Mimo że została ona przegłosowana już w grudniu 2019 r. i było wiele czasu na zbadanie, co faktycznie zawierają samorządowe rezolucje, atak na polskie władze lokalne jest kontynuowany. Jak widać, fałsz ten jest na rękę brukselskiej władzy.

Co więcej, trzeba pamiętać, że hasło „strefy wolne od LGBT” nie pochodzi

od samorządów, ale zostało wymyślone przez „Gazetę Polską” i umieszczone na wlepce dodawanej do egzemplarzy tego tygodnika. Potem wykorzystali je aktywiści ruchu LGBT, którzy zaczęli umieszczać imitację znaku drogowego z takim napisem przy wjazdach do miejscowości, które zadeklarowały poparcie dla rodziny. Manipulacyjny charakter akcji nie został od razu wyjaśniony i zdjęcia znaków jako autentyczne trafiły do światowych mediów. W anglojęzycznej Wikipedii znajduje się już hasło poświęcone „strefom wolnym od LGBT”. Nie znajdziemy tam nie tylko tekstu SKPR, lecz także w ogóle prawdy. Modyfikacje prostujące są usuwane przez redaktorów czuwających nad artykułem.

NEOLIBERALNA UTOPIA

Jeśli chodzi o Parlament Europejski, nikt z głosujących za rezolucją

nie zajął chyba do tekstu SKPR czy innych deklaracji. Na ile sprawa ma charakter ideologiczny, a nie rzeczowy, pokazuje uznanie przez Parlament Europejski uchwał prorodzinnych za „ograniczające swobodę przemieszczania się”. Ktoś naprawdę chyba uwierzył w propagandę o ograniczaniu praw obywatelskich w Polsce. Tymczasem sejmik województwa łódzkiego przyjął uchwałę w ogóle nieodnoszącą się do kwestii homoseksualizmu i ideologii LGBT, pozostałe województwa zaś nie występowały przeciwko osobom o skłonnościach homoseksualnych, ale przeciwko „działaniom zorientowanym na promowanie ideologii ruchów LGBT”. A ta niewątpliwie istnieje, i to oficjalnie, sformułowana w takich dokumentach jak warszawska deklaracja LGBT+. Wojewodowie, którzy zdecydowali się odpowiedzieć na list Lemaître’a i Korte, zapewniali, że stanowiska sejmików nie zakłócają zasady niedyskryminacji. I mają rację.

Jak jednak doszło do tego, że organy Unii Europejskiej uzurpują sobie dziś tak szeroki zakres władzy nad insty-

tucjami suwerennych państw? Wzrost zainteresowania Brukseli europejskimi regionami możemy obserwować od traktatu z Maastricht z roku 1991, którego wejście w życie zbiegło się z popularnością tezy o zmierzchu państwa narodowego. Jednym z impulsów tej opowieści stał się esej Francisca Fukuyamy z tezą o końcu historii. Z końcem historii miał też nastąpić koniec zapotrzebowania na istnienie państw. Zastąpić je miały ponadnarodowe byty jedynie zarządzające coraz bardziej zdecentralizowaną rzeczywistością postpolityczną. Ów zwrot w stronę małych ojczyzn był jednym z symboli tego myślenia. Sedno



neoliberalnej utopii stanowiło praktyczne przekonanie, że politykę powodującą konflikty, przemoc i cierpienie trzeba wyeliminować i sprowadzić do administrowania, najlepiej na poziomie samej ekonomii. Oczywiście chodziło o coś więcej, o rządy samego rozumu, który odkrywa najlepsze dla ludzi rozwiązania. Dobrze pamiętamy, że pod dyktando takiego bezalternatywnego modelu liberalizmu, a nie w ogniu politycznej dyskusji, toczyło się przekonywanie Polaków, by poparli wstąpienie naszego kraju do Unii. Kto miał zdanie krytyczne, był niemal heretykiem. To zresztą trudność większości nowoczesnych ideologii – chcą być demokratyczne (ludowe),

a jednocześnie jednak już wiedzą, co dla ludu jest najlepsze. Nowoczesna kultura liberalna, której owocem jest Unia Europejska, nie jest inna.

Neoliberalna niechęć do polityki miała też wpływ na rozwój i ostatecznie dominację w agendzie unijnej takich ideologii jak gender czy ideologia politycznego ruchu homoseksualnego. Wspólnoty europejskie powstawały na bazie przekonania, że tylko w sprawach ekonomiczno-gospodarczych możemy się porozumieć, a kwestie ładu społecznego są nieuchronnie polityczne, więc należy je zostawić ludzkiej wolności. W praktyce jednak ta wolność, razem ze zmierzchem liberalizmu, stała się obszarem wielkiej batalii o ideowy cha-

były rzeczywistość podmiotową władzą. Nie da się sobie wyobrazić ich istnienia bez państwa. Podobnie jest zresztą z Unią Europejską, choć siły polityczne wewnątrz samej Unii do takiej samodzielności dążą i polityka regionalna była i jest jednym z narzędzi tego działania. Poprzez zależności finansowe z Brukselą samorządy mogą być bardziej skłonne do kształtowania swojej aktywności w zgodzie z preferowanymi ideologiami.

Bardzo wymowny cytat potwierdzający trwanie takiego właśnie obrazu relacji samorządów z Brukselą znaleźć można na stronie internetowej powiatu gnieźnieńskiego: „W latach dziewięćdziesiątych XX wieku w Unii Europejskiej wzmocniła się pozycja regionów. Uznano, że to właśnie ten poziom władzy znajduje się najbliżej obywateli i często to właśnie tutaj reprezentanci są wybierani w bezpośrednich wyborach. Władze regionalne lepiej dostrze-

które wspomniały o LGBT, także robiły to w kontekście potwierdzenia porządku konstytucyjnego, który polityczny ruch homoseksualny i, jak widać, instytucje unijne chętnie by podważyły. To, że przedstawiciele Komisji Europejskiej za poręczną „prawdę” w rozgrywce politycznej uznali fejkowe hasło „strefy wolne od LGBT”, wystarczy za świadectwo ich polityki. Cała ta sprawa jeszcze więcej niż o ideowym profilu pozbawionej demokratycznego mandatu władzy brukselskiej mówi o dziennikarzach liberalnych mediów czy też rzeczniku praw obywatelskich Adamie Bodnarze. Już samo wspomnienie o rodzinie, o jej prawach, o jej szczególnej pozycji jest traktowane jak atak na ideologię politycznego ruchu homoseksualnego. Ten, jak widać, winien stać ponad wszystkimi i być główną zasadą organizującą życie społeczne.

To zresztą znamienne, że niezależnie od łatwo rzuconych oskarżeń o dyskry-

tęczowym ostrzałem

gają zróżnicowania panujące na ich obszarach i w porozumieniu z władzami centralnymi oraz Komisją Europejską kierują właściwe działania, których celem jest zmniejszenie dysproporcji w rozwoju. Ten proces nazywa się regionalną polityką strukturalną (polityką regionalną UE)”.

PODWAŻYĆ ŁAD KONSTYTUCYJNY

Samorządy rzeczywistość bardzo zyskały na funduszach spójnościowych. Dziś jednak widać, że oczekuje się od nich uległości wobec Brukseli, choćby oznaczała ona odrzucanie wartości konstytucyjnych własnego kraju. To groźna i bezprawna gra. A przecież Samorządowa Karta Rodzin to przede wszystkim potwierdzenie polskich zasad konstytucyjnych, szczególnie tych zawartych w art. 18 mówiącym, że „małżeństwo jako związek kobiety i mężczyzny, rodzina, macierzyństwo i rodzicielstwo znajdują się pod ochroną i opieką Rzeczypospolitej Polskiej”. Nie wspomina się w niej w ogóle o osobach ze skłonnościami homoseksualnymi ani też o politycznym ruchu homoseksualnym i jego sojusznikach. Województwa,

minację RPO zaskarżył część uchwał do sądów administracyjnych nie z powodów ideologicznych, ale formalnych. „Nasz podstawowy zarzut jest więc formalny. Chcemy wykazać, że samorządy uchwalając dokumenty, wyszły poza ramy kompetencji” – mówiła w artykule opublikowanym na portalu OKO.press adw. Anna Błaszczak-Banasiak z Biura RPO. Oznacza to tyle, że SKPR i inne deklaracje nie nadawały się do oskarżenia z perspektywy zawartych w nich zasad. Choć prawniczka mówi, że te sprawy mają precedensowy charakter, to przypomnijmy, że już we wrześniu 2019 r. Sąd Administracyjny w Kielcach orzekł, iż uchwały samorządowe są zgodne z prawem.

Na zakończenie dodajmy, że według ustaleń instytutu Ordo Iuris istnieje podejrzenie, że list dwóch dyrektorów związanych z Komisją Europejską nie jest wcale stanowiskiem Komisji. Gdyby okazało się, że stanowi on tylko prywatny głos tych osób, a dopiero w Polsce przedstawiono go jako monit władz Unii, mielibyśmy do czynienia z kłamstwem politycznym roku. Instytut czeka na oficjalną odpowiedź w tej sprawie z Komisji.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone



FOT. ADRIAN STOLK

Pandemia zbliżyła rodziny?



Z dr Aleksandrą Piotrowską, psychologiem
rozmawia Łukasz Zboralski

ŁUKASZ ZBORALSKI: Pandemia COVID-19 spowodowała, że zostaliśmy zamknięci przez jakiś czas w domach rodzinnych. Wiele osób pracowało też zdalnie i tak pracuje do dziś. Nagle rodziny mogły poczuć coś takiego, co zdarzało się tylko w domach wielopokoleniowych – że bliscy są z dziećmi cały czas, że rodzina jest ze sobą dłużej. Jak to mogło wpłynąć na dzieci?

DR ALEKSANDRA PIOTROWSKA: Sprawa nie jest prosta, dlatego że w niektórych domach ten czas został wykorzystany, by naprawdę być razem, ale w wielu domach ta wspólnota miała mocno pozorny charakter. Dzieci były teoretycznie razem z rodzicami, ale tak naprawdę

ci dorośli byli mocno zaabsorbowani własną pracą.

Nawet wtedy rodzina mogła razem choćby zjeść spokojnie śniadanie. Rodzice mogli też pomóc dzieciom np. w nauce. Mogli więc nawiązać taki kontakt, którego jako zapracowane społeczeństwo żyjące w pośpiechu często nawiązać nie mamy szans.

Musieliśmy założyć, że ten stopień zapracowania w czasie lockdownu się wyraźnie zmniejszył. Myślę, że to założenie trochę bezpodstawne. Nie mamy badań, które by powiedziały, jak najczęściej było, ale z sygnałów, które odbie-

ramy, wiemy, że naprawdę było bardzo różnie. Były takie rodziny, gdzie ktoś dorosły wykorzystał możliwość zasiłku na opiekę nad dzieckiem do ósmego roku życia i dysponował czasem dla niego. Natomiast w wielu domach rodzice byli niewiarygodnie rozdarci między swoimi obowiązkami a udawaniem, że są nauczycielami dla swoich dzieci.

Ja próbuję zobaczyć pozytywne strony tej sytuacji. Na przykład taką, że rodzice, którzy na co dzień musieli oddawać dzieci pod opiekę systemowi szkolnemu, teraz sami mogli zerknąć, co one robią, jak czytają, co umieją z matematyki, co wiedzą o świecie. Mogli dziecku w tym pomagać i stworzyć rodzinne ciepło.

Oczywiście, że na szczęście są rodziny, w których ten czas nie został zmarnowany. Ta okazja, którą stworzyła choroba,

jakkolwiek strasznie to brzmi, została wykorzystana po to, by członkowie rodziny się do siebie zbliżyli. Takie rodziny z całą pewnością były. Ja znam takie, które po raz pierwszy w życiu zaczęły spędzać czas ze sobą, grając w gry.

Nie zapominajmy o jeszcze jednej rzeczy. Bez wątpienia korzyścią z tej sytuacji było to, że u wielu dzieci wzrósł poziom samodzielności. Mamy wiele takich rodzin, gdzie pięcio-, sześciolatek dzieci musiały zająć się sobą przez czas dłuższy niż kwadrans czy pół godziny. Było bowiem jasne, że rodzice mają obowiązki zawodowe realizowane w trybie on-line i to czasem wymaga ciszy. Okazywało się, że pięcio- i sześciolatek dzieci są w stanie to zrobić.

Rodzice często narzekają na edukację, nauczycieli. Czy po tym, jak sami w domu musieli wspierać swoje dzieci w nauce, w przyszłości inaczej spojrzą na zawód nauczyciela i zacząć rozumieć, jak trudna jest to rola?

Bez wątpienia rodzice utwierdzają się co do zasadności powiedzenia: „Obyś cudze dzieci uczył!” wyrażonego jako najgorsze życzenie. To naprawdę nie jest sprawa łatwa.

To zapytam o te trudniejsze rzeczy, które mogły się wydarzać...

... zaraz, zaraz! Jest jeszcze więcej pozytywnych. W ilu domach zarówno wśród rodziców, jak i wśród dzieci, w ilu szkołach wśród nauczycieli naprawdę wzrósł w tym czasie poziom kompetencji związanych z wykorzystywaniem komputera?! I to naprawdę jest dobre. Rozpropagowanie programów umożliwiających naukę on-line. Myślę, że to wszystko z nami zostanie. Daj Boże, żeby zostało oczywiście tylko jako jedna z form urozmaicania zajęć, a nie jedyna.

Tam, gdzie rodzice potrafili wykorzystać ten czas na bycie razem, na pewno wpłynie to dobrze na dzieci. Jednak czy takim rodzicom nie będzie trudno wrócić do zwykłej pracy? Czy nie będą tęsknić za tym, czego doświadczali? Może nie będą już chcieli pracować całe dni poza domem?

Oczywiście! Rodziny, które dostrzegły pozytywne wartości w okresie lockdownu, będą z tęsknotą wspominać te śniadanka w piżamce o godz. 10, kiedy nierzadko zwykle dziecko było już po dwóch lekcjach w szkole. To naprawdę miało swoje pozytywne odniesienie do młodszych dzieci. A teraz powrót do przedszkola u malców może się wiązać z przeżywaniem na nowo

okresu adaptacji, radzenia sobie z lękiem separacyjnym itd.

Z kolei nieco starsze dzieci, ale już w drugiej fazie przedszkolnej, czyli już pięcio- i sześciolatek, szalenie tęskniły i tęsknią za rówieśnikami, za możliwością bycia w grupie. W przeogromnej większości dużo by oddały za to, by móc wrócić do przedszkola czy szkoły. Są i takie dzieci, dla których okres ciągłego bycia w grupie był okresem upragnionym. Nie zapominajmy, że są i dzieci, które ze strony rówieśników doświadczają różnego rodzaju przykrości czy prześladowań. One odetchnęły.

Znam też takie przypadki rodzin, głównie w dużych miastach, ludzi stawiających na karierę, osobisty rozwój, które wcześniej tak wypełniały grafiki zajęć dodatkowych, że dzieci trafiały do domu ze szkoły wieczorem. Dla nich to, że podczas pandemii musieli zostawać z dziećmi długo sami, okazywało się trudne.

Całkowicie się z panem zgadzam. Także z tym, że chyba łatwiej spotkać rodziny o tego typu relacjach w dużych miastach. W mniejszych miejscowościach rodzice nie pracują poza domem aż tak wiele godzin i dzieci rzadko ściągają do domów po licznych zajęciach dodatkowych właściwie tylko po to, by poszły spać. Boję się, że dla dużo większej liczby rodziców, niż chcielibyśmy, okres lockdownu był koszmarem właśnie ze względu na to, że nagle 24 godziny na dobę siedem dni w tygodniu towarzyszyły im dzieci. Okazało się, że część rodziców nie potrafi, ale – co gorsza – chyba nie chce spędzać tak intensywnie swojego życia z dziećmi. To zresztą zawsze podejrzewaliśmy – że za dużą liczbą zajęć pozaszkolnych stoi czasem ta ukryta odmowa rodziców zajmowania się nimi. Prościej jest zawieźć dziecko na kolejne zajęcia, niż robić coś z nim w domu.

Nawet w tych rodzinach, w których jest mnóstwo miłości i ochoty do spędzania czasu ze sobą, mogły być kłopoty, choć innego rodzaju. Na przykład nastolatki przeżywające okres buntu zamknięte z rodzicami w czterech ścianach nie miały łatwej sytuacji.

Wiadomo, że to jest okres rozwojowy, którego jedną z cech jest luzowanie relacji z rodziną, z której się pochodzi – po to, by za parę lat być w stanie założyć własną rodzinę prokreacyjną. Lockdown sprawił, że te naturalne procesy, sprawiające, że nastolatek swój główny nurt życia spędza

w grupie rówieśniczej, a nie rodzinnej, zostały zachwiane. Boję się myśleć nawet, co przeżywały np. dzieci po raz pierwszy zakochane, którym nagle powiedziano, że nie mogą się spotykać. To było nieludzkie. Odcięcie młodzieży czy starszych dzieci od grupy rówieśniczej było poważną krzywdą rozwojową, którą im wyrządzono w nieprzemyślany sposób. Myślę, że przewidując określony tryb realizowania zleceń internetowo zadań, można było je tak dobierać, żeby wymuszały działanie w grupie, choćby on-line. Chyba nie doceniono tej potrzeby okresu adolescencji.

Oby ta choroba już nam nie dała się tak we znaki. Jednak gdybyśmy mieli jeszcze do czynienia z zamknięciami, to co można poradzić rodzicom, by przeszli przez taki czas bez straty dla siebie i dzieci?

Myślę, że wszyscy wynieśliśmy już jakieś doświadczenia i np. będziemy mieć świadomość dużego znaczenia planowania i organizowania dnia w taki sposób, by potrzeby i interesy całej rodziny mogły być uwzględnione. Żeby dzieci, które mogą się bawić, miały do tego warunki, uczniowie mogli odrabiać lekcje, a dorośli pracować.

W wielu rodzinach wyjściem może się okazać zabezpieczenie dodatkowego komputera. I już to rozwiązało by wiele problemów. Dobrym pomysłem może być nabycie dobrych słuchawek, które temu, kto ma już po kokardę życia rodzinnego, pozwolą na godzinę czy dwie izolacji. Musimy tego typu proste rozwiązania brać pod uwagę.

Ja chciałabym jeszcze, żeby władze oświatowe naprawdę wykorzystwały okres wakacyjny do przygotowania i przeprowadzenia szkoleń nauczycieli, którzy bardzo często okazywali się bezradni wobec wyzwania, jakie postawił przed nimi lockdown. Jest cała masa przypadków, gdy nie było żadnego zdalnego nauczania, tylko odbywało się przekazywanie w najprymitywniejszy sposób informacji, z których stron które zadania dzieci mają same zrobić. Są badania, że w prawie 40 proc. szkół tak ten okres wyglądał. Takie coś trudno nazwać zdalną edukacją. © Wszelkie prawa zastrzeżone



dr Aleksandra Piotrowska

– psycholog, wykładowca na Wydziale Pedagogicznym Uniwersytetu Warszawskiego.

Deska na domu wzniesionym
przez Marię i Pawła Więcków
w 1928 r. FOT. ARKADIUSZ ANDREJKOW

Hołd codzienności

Spooglądają ze ścian domów, w których kiedyś żyli, gdzie rodziły się ich dzieci, gdzie w gronie przyjaciół wyprawiali głośne wesela, gdzie przy świetle gromnic odchodzili po cichu; ze ścian stodoł i szop, w których hodowali zwierzęta i przechowywali plony z pobliskich pól. Na Podkarpaciu jest już ponad 60 starych drewnianych budynków, na których Arkadiusz Andrejkow z Sanoka namalował portrety mieszkańców tych ziem. Z czarno-białych fotografii sprzed lat przenosi na ściany czasem całe rodziny, a czasem pojedyncze postaci. Niektórzy pozują, niepewnie spoglądając w wycelowany w nich obiektyw, innych sfotografowano przy codziennej pracy, jeszcze innych z ukochanymi zwierzętami na kolanach. – Kiedy w 2017 r. rozpocząłem projekt „Cichy memoriał”, chciałem stworzyć coś w rodzaju podkarpackiej wiejskiej galerii sztuki – mówi „Do



Radostaw Wojtas

Arkadiusz Andrejkow tworzy na podkarpackich wsiach plenerową galerię sztuki. Bohaterami jego prac są mieszkańcy regionu, ich wizerunki ze zdjęć sprzed lat artysta przenosi na ściany starych stodoł i chałup, a z pozoru zwykłe życiorysy poznaje coraz więcej osób

Rzeczy” Arkadiusz Andrejkow. – Chyba mi się to udało. Dostaję dużo zdjęć od osób odwiedzających te miejsca, a nawet zwiedzających Podkarpacie śladem tych prac – dodaje.

Najważniejszy jest obiekt. Najczęściej stara stodoła, rzadziej szopa lub dom. Budynek oczywiście z desek i to takich, które nigdy nie miały kontaktu z farbą czy lakierem. Takie surowe, zniszczone podłoże jest istotną częścią dzieła. Kiedy jest

już odpowiednia ściana, trzeba wybrać fotografię. Najczęściej są to portrety nieżyjących już właścicieli wytypowanych przez artystę stodoł i chałup. – Interesują mnie zwykli mieszkańcy tych wsi, którzy toczyli zwyczajne, ciężkie życie. Wydobynam na powierzchnię ich codzienne sprawy, codzienne historie – mówi Arkadiusz Andrejkow. Dlatego „Cichy memoriał” to nie tylko mural (czy – jak zaczęto określać te prace – „deska”), ale

także historia ludzi i miejsc, która staje się ważną częścią całej pracy.

BOHATEROWIE ZWYKŁYCH ŻYĆ

Drewniana chata w Łękach Dukielskich, na której Andrejkow namalował rodzinę Więcków, była przed drugą wojną światową miejscem, w którym zbierali się mieszkańcy całej okolicy. Jej gospodarz, Paweł Więcek, pracował w kopalni ropy w Boryslawiu. Często nie było go w domu, ale zapewniał rodzinie dobre utrzymanie, stać go było na zatrudnienie doglądającego zwierząt i gospodarstwa pracownika. Gospodyni, Marii Więcek, w prowadzeniu domu pomagała jej adopcyjna siostra Zofia Zborowska. Paweł był człowiekiem rodzinnym i towarzyskim, właścicielem porządnego gramofonu i kolekcjonerem płyt. Dom Więcków często bywał więc miejscem spotkań, potańcówek, poznało się tu kilka późniejszych małżeństw. W cieplejsze dni gramofon stawiany był w oknie, a tańce odbywały się na zewnątrz; w chłodniejsze – salą balową była jedna z izb. Jeszcze dziś, przyglądając się wytarciom na podłodze, można rozpoznać miejsce przeznaczone do tańca.

Zdjęcie, które zostało przeniesione na zachodnią ścianę domu, zrobiono w najszczęśliwszym okresie dla Marii i Pawła. Był rok 1935, Więckowie poradzili już sobie z żałobą po stracie ich synka Władzia, wychowywali troje zdrowych dzieci. Nie brakowało pieniędzy, a dom tętnił życiem. Na deskale przedstawiona jest Maria Więcek, która trzyma na rękach półroczną córkę Józję, obok stoi jej dwuletni syn Aleksander (ubrany w sukienkę najprawdopodobniej dlatego, że nie umie jeszcze samodzielnie radzić sobie z potrzebami fizjologicznymi, a mamie łatwiej ratować przed zmoczeniem sukienkę niż spodnie), obok stoi trzeci z rodzeństwa – sześciolatek Adolf, a na pierwszym planie widać ich bratanka Józefa. Zdjęcie zrobiono podczas pielgrzymki do pustelni (wtedy błogosławionego, a dziś już świętego) Jana z Dukli. Mąż Marii z pewnością był w tym czasie w Boryslawiu.

Jak mówi „Do Rzeczy” Mateusz Więcek, prawnuk Marii i Pawła, który historię swojej rodziny opowiada tak, jakby streszczał najlepszą powieść, moment uwieczniony na zdjęciu to jeden z ostatnich momentów beztróski rodziny. – W kolejnym roku umarła adopcyjna siostra mojej prababki, a kiedy wybuchła wojna, mój pradziadek nie wrócił już z Bo-

rysławia. Trafił na Sybir, gdzie przemęczony katorżniczą pracą spadł z tratwy do lodowatej wody, zaziębł się i zmarł – mówi Mateusz Więcek, którego rodzice i babcia do dziś mieszkają w domu z lat 70. pobudowanym obok drewnianej chałupy Marii i Pawła. Stary dom pełni dziś funkcje gospodarcze, jest też cenną pamiątką i – zwłaszcza po powstaniu deskalu – oczkiem w głowie babci Danuty Więckowej, która codziennie spogląda na wizerunek nieżyjącego już, uwiecznionego w sukience męża Aleksandra.

– Każdy człowiek to niepowtarzalna historia, która coś ze sobą niesie i pan Arkadiusz Andrejkow podchodzi do tego z ogromnym szacunkiem. Stawia pomniki zwykłym ludziom. Jesteśmy z bratem zachwyceni tym, że zdjęcie stojącej przy muralu babci Danuty, która ma 80 lat, postępującą demencję i całe życie była bardzo skromną osobą, uzyskało na Facebooku 1,6 tys. polubień i chyba z pół tysiąca serduszek na Instagramie. Babcia zrobiła coś, czego my byśmy nie byli w stanie zrobić naszymi zdjęciami z najdalszych zakątków świata. To niesamowite – mówi Mateusz Więcek.

ANDREJKOW ŚCIAGA KAPTUR

Projekt „Cichy memoriał” to wypadkowa dwóch artystycznych obszarów zainteresowań Arkadiusza Andrejkowa. Pierwszym jest stara fotografia, która



inspirowała go już w czasach studenckich. Druga to malowanie na nietypowych powierzchniach. Andrejkow tworzył na pustostanach, pojedynczych murowanych ścianach bądź ich fragmentach, kłódach drewna, a nawet na śniegu. – Poszukiwałem takich powierzchni, na których surowość, zniszczenie podłoża można już w jakiś sposób wykorzystać jako część obrazu, część portretu, część całej kompozycji – mówi artysta z Sanoka.

35-letni dziś Arkadiusz Andrejkow zaczynał od malowania ścian pod osłoną nocy. – W wieku 17 lat słuchałem rapu,

chciałem współtworzyć kulturę hip-hopową. Pierwsze kontakty ze ścianą i farbą w sprayu miałem nocami, kiedy w kapturze i szerokich spodniach stawiałem pierwsze litery na ścianach – opowiada. – Nigdy nie kierowała mną chęć wandalizmu, choć pierwsze prace były koślawe – zaznacza.

Kiedy projektowanie liter już go nużyło, zaczął malować realistyczne portrety na podstawie zdjęć przypadkowych osób z gazet. Wtedy pojawił się pomysł, by po technikum geodezyjnym kształcić się w szkole artystycznej. Swoją pierwszą prawdziwą obraz wykonał w ramach egzaminu do Państwowej Wyższej Szkoły Zawodowej w Sanoku. Miał potencjał. Dostał się i tak to wszystko się zaczęło.

TURYŚCI ZA STODOŁĄ

„Cichy memoriał” to projekt niekomercyjny. Andrejkow używa własnych farb, a od gospodarzy z Podkarpacia nie przyjmuje żadnych pieniędzy, choć ci starają się odwdziżyć, jak mogą. – Zapas miodu mam chyba na kilka lat – uśmiecha się Andrejkow. Na brak ścian do malowania nie narzeka. W regionie jest coraz bardziej znany, tak jak i jego prace. Wielu chce mieć jego malunek na swoim budynku.

Eleni Ciurma z Krościenka, u której artysta malował dwa deskale przedstawiające jej rodziców, uchodźców z Grecji, mówi, że z roku na rok coraz więcej osób przyjeżdża, by je oglądać. – Nie spodziewałem się, że będzie aż takie zainteresowanie. Odwiedza mnie wiele osób, oglądają deskale, pytają o rodziców – opowiada „Do Rzeczy”. – Czy to uciążliwe, gdy turyści kręcą się wokół posesji? – pytamy. – Nie, to bardzo miłe. Jestem na emeryturze, z przyjemnością z nimi rozmawiam, odpowiadam na pytania – dodaje. Chętni do wyruszenia w podróż śladami deskali mogą zaopatrzyć się w mapę wydaną przez wydawnictwo Compass lub skorzystać z internetowej mapy (dostępnej pod adresem: tiny.pl/7cb3t).

Deskale, podobnie jak inne prace Andrejkowa, wychodzą już poza Podkarpacie. – Chyba nie ma województwa, z którego by ktoś mi nie wysłał zdjęcia swojej stodoły. Mimo wszystko widzę potencjał w działalności właśnie na Podkarpaciu – mówi Andrejkow. – Czasem, gdy wykonam jakąś pracę gdzieś pod Warszawą, ktoś mi mówi, że wypływam na szerokie wody. A dla mnie szerokie wody są tutaj i w tym, co robię na tych terenach, widzę największy potencjał. © © Wszelkie prawa zastrzeżone



Entuzjaści miodobrania



Agnieszka Niewińska

Rośnie liczba pszczelarzy w Polsce. To głównie hobbyści, którzy pierwsze dwa, trzy ule stawiają w przydomowych ogródkach i na działkach

Minęło dopiero pięć tygodni, odkąd w ogrodzie rodziny Andrzejewskich w jednej z podwarszawskich miejscowości pojawili się nowi mieszkańcy. A konkretnie cztery rodziny. Każda liczy sobie jakieś 5 tys. pszczół. – Chciałem, żeby się coś działo, szukałem nowego hobby. Myślałem o zakupie motocykla, ale żona nie była entuzjastką tego pomysłu, więc musiałem zweryfikować plany. A że kolega ma pszczoły, to kiedyś wprosiłem się na miodobranie i zafascynowało mnie

pszczelarstwo. To rodzaj hobby, które pozwala mi być blisko domu. Mamy już siedem kur, sami pieczemy chleb, robimy domowe sery. Teraz doszły pszczoły – opowiada Marcin Andrzejewski. I zastrzega: – Na razie jestem początkującym pszczelarzem, wciąż się uczę.

Po odpowiednie ule pojechał z żoną Anną aż do Krynicy-Zdroju, w sprowadzeniu pszczelich rodzin pomógł kolega. – Nie jest to tanie hobby. Zainwestować trzeba nie tylko w pszczele rodziny i ule, lecz także w niezbędny sprzęt. Wynajęliśmy też 2,5 tys. mkw. ziemi naprzeciwko naszego domu. Zaoraliśmy i obsialiśmy mieszanką miododajnych kwiatów. Na zimę będziemy musieli zabezpieczyć może nawet tonę cukru do dokarmiania pszczół. Na razie to hobby pochłonęło jakieś 5–6 tys. zł, ale mam dużą radość, bo zaraziłem tym całą rodzinę. Zakładamy kombinезony i wszyscy przy tych pszczołach chodzimy. Przeznaczamy na to dwa dni w tygodniu. W dzień powszedni ule sprawdzamy pobieżnie, ale niedziela to dzień pszczeli. Uważnie oglądamy każdą

ramkę, zwracamy uwagę choćby na to, czy nie ma w nich żadnych pasożytów, warrozy, czyli groźnej pszczelej choroby. Wciąż osuwamy się z tymi brzęczącymi pięknościami.

BZYCZENIE NA USPOKOJENIE

Tytus Woźniak, właściciel Pasieki u Tytusa w małopolskich Krzeszowicach, na zajęcie się pszczelarstwem zdecydował się niemal dekadę temu. – Prowadziłem w Warszawie firmę doradczą, ale byłem zmęczony intensywną i stresującą pracą, dojrzałem do zmiany – wspomina. Z rodziną przeniósł się do Krzeszowic, a garnitur zamienił na strój pszczelarza.

Pszczołami zajmował się już w latach 80., pomagając w pasiece na przedmieściach Wrocławia. Teraz pod opieką ma 70 pszczelich rodzin. Pasieka u Tytusa to dziś zagroda edukacyjna. Na zajęcia przychodzą tam grupy szkolne, a także ci, którzy są ciekawi życia pszczół i pracy pszczelarzy. Jest tam również miniskansen pszczelarski, gdzie można podziwiać dawne ule. – Kiedy pojawiła się myśl o własnych pszczołach,

musiałem poznać lokalne warunki gospodarki pszczelarskiej. Pomogli mi okoliczni pszczelarze. Czuję się więc zobowiązany do tego, by dzielić się wiedzą z tymi, którzy myślą o pszczelarstwie. Z prośbą o radę czy odpowiedź zgłaszają się do mnie osoby podesłane przez znajomych, a także zupełnie mi nieznani entuzjaści pszczelarstwa. Wielki zapał na początku przygody z pszczelarstwem jest bardzo ważny, ale trzeba się liczyć z wieloma trudami. Najtrudniejsze są dwa pierwsze lata. Wtedy pojawia się najwięcej pytań, wątpliwości, trudności – ostrzega.

ULE NA DACHACH

Teresa Kobiąłka, redaktor naczelna magazynu „Pasieka” i serwisu pasieka24.pl, wskazuje, że pszczelarzy w Polsce przybywa. W 2017 r. było ich nieco ponad 68 tys., w 2019 r. już 81 tys. – Według statystyk Inspekcji Weterynaryjnej w 2019 r. było zaledwie 302 pszczelarzy zawodowych (czyli takich, którzy posiadają min. 150 rodzin pszczelich), natomiast według danych z organizacji pszczelarskich jest ich 514. Trudno oszacować, które dane są właściwe, ale jednoznacznie pokazują one, że polskie pszczelarstwo jest zdominowane przez pszczelarzy hobbystów – zauważa Kobiąłka.

Przyznaje, że w ostatnim czasie przybywa tych, którzy decydują się na dwa czy trzy ule. – Po liczbie zapytań, próśb o rady, które wpływają do naszej redakcji, widzimy, że zainteresowanie pszczelarstwem rośnie. Cieszy nas, kiedy początkujący pszczelarze zwracają się po fachową wiedzę. Posiadanie pszczół to zupełnie co innego niż posiadanie psa czy kota. Trzeba wiedzieć, od czego zacząć, jak się przygotować do rozpoczęcia przygody z pszczelarstwem. Nie każdy wie np., że gospodarstwo pasieczne trzeba zgłosić służbom weterynaryjnym – wskazuje Kobiąłka.

Marcin Andrzejewski podkreśla, że pszczelarskie hobby to doskonała odskocznia od codzienności. – Dla mnie to magiczne doświadczenie. Podchodząc do pszczół, nie można być zdenerwowanym, bo one to czują i stają się agresywne. Podobnie reagują, gdy wyczują alkohol, perfumy czy papierosy. Za to ich bzyczenie uspokaja – twierdzi. Pierwsze miodobranie Andrzejewscy mają jeszcze przed sobą. – Jeżeli pszczółki się sprawią, to będziemy mieć więcej miodu, niż jesteśmy w stanie zjeść. Przed nami jednak cała masa niewiadomych. Na razie na

naszej miodnej łące nic tak dobrze nie rośnie jak chwasty – śmieje się.

Teresa Kobiąłka zwraca uwagę, że decydując się na pszczoły, trzeba się zastanowić, czy mamy ku temu warunki. Sprawdzić, czy owady będą miały co jeść, czy w okolicy nie ma już innych pasiek. Lepiej mieć ule tam, gdzie nie ma gęstej sąsiedzkiej zabudowy. – Okazuje się jednak, że pszczoły dobrze się czują także w miastach, gdzie również przybywa pasiek. W tej chwili można już mówić o modzie na ule w mieście. Na dachach mają je hotele, biurowce, urzędy – mówi.

W Rzeszowie pierwsza miejska pasieka powstała na terenach MPWiK. W Warszawie domem dla pszczół stał się m.in. luksusowy Regent Warsaw Hotel. Własnym miodem zaczął częstować gości i wykorzystywać go w hotelowej restauracji. We Wrocławiu pszczoły znalazły swoje miejsce na dachu centrum handlowego Wrocławia czy urzędu wojewódzkiego. W 2017 r. ule stanęły na dachu Ministerstwa Środowiska. – Na terenie Ministerstwa Finansów ule zostaną umieszczone w tym miesiącu – informuje nas biuro prasowe resortu.

– Pszczoły znajdują sobie pożywienie w miastach. Nie brakuje w nich przecież alei lipowych, modne zrobiły się także kwietne łąki i inne nasadzenia roślin miododajnych. Miejskie miody charakteryzują się oryginalnym smakiem. W jednej z miejskich pasiek powstał miód spadziowy z modrzewia, w innej miód o posmaku miętowym. Efekt ten dała mieszanka nektarów z lipy i koniczyny – opowiada redaktor naczelna magazynu „Pasieka”. Dodaje, że nie trzeba się obawiać zanieczyszczeń w miejskich miodach. – Badania prowadzono w Warszawie i Krakowie. Taki miód jest bezpieczny.

CO ROBI TRUTEN?

Zainteresowanie pszczelarstwem wynika też z faktu, że w ostatnich latach w mediach często podnoszony jest temat wymierania pszczół. – Rzeczywiście, kiedy prowadzę zajęcia edukacyjne albo rozmawiam z klientami, którzy podchodzą do mojego stoiska z miodami na targach czy imprezach pszczelarskich, zwykle jednym z pierwszych zadawanych mi pytań jest to, czy rzeczywiście z pszczołami jest tak źle. Oczywiście chemia używana w rolnictwie, zatrute środowisko, choroby, które także wśród pszczół przenoszone są z kraju do kraju, mają wpływ na niższą zdrowotność. Niektórzy pszczelarze tracą zimą nawet

połowę rodzin pszczelich. U mnie są to zwykle dwie, trzy rodziny. Przy 10 poważnie bym się martwił – opowiada Tytus Woźniak.

Okazuje się jednak, że według statystyk rodzin pszczelich w Polsce nie ubywa. Jak wskazuje Teresa Kobiąłka, z danych Zakładu Pszczelnictwa w Puławach wynika, że w 2017 r. było ich 1,55 mln, a w 2019 r. już 1,68 mln. – Dane te nie do końca odzwierciedlają rzeczywistość m.in. dlatego, że po zimie pszczelarze uzupełniają straty, więc nie widać ich w tych statystykach. Zmniejsza się też liczba owadów dziko żyjących. Czy lekarstwem na wymieranie pszczół jest zainteresowanie pszczelarstwem hobbystycznym coraz większej liczby osób? Daleka byłabym od polecania pszczelarstwa każdemu – mówi Kobiąłka. – Do tego potrzeba wiedzy i czasu. Zachęcam jednak wszystkich, by bliżej przyjrzeć się pszczołom, np. podczas wizyt w pasiekach edukacyjnych czy na imprezach o tematyce pszczelarskiej, a jeśli zdecydujemy się hodować pszczoły, to podejźmy do tego odpowiedzialnie. Pszczoły są fascynującymi i wciąż nie do końca poznanymi owadami. Warto też wspierać pszczoły miodne oraz dzikie zapylacze, nasadzając rośliny miodo- i pyłkodajne, oraz np. rzadziej kosić trawnik, na co zwracamy uwagę w naszej akcji „Dobre chwasty – nie ścinaj nam głów”.

Tytus Woźniak obserwuje, że w ostatnich kilku latach nastąpiła u nas ekologiczna zmiana. – Kupujący miód chcą poznać pszczelarza, wiedzieć, skąd pochodzi miód, podkreślają, jak ważne jest współgranie z naturą – opowiada. – Podczas rozmów z ludźmi widzę olbrzymie zainteresowanie tym, jak powstaje miód. Ludzie pytają np. o to, dlaczego w pszczołej rodzinie jest tylko jedna matka, zastanawiają się, jak to jest, że trutnie nie pracują, chcą wiedzieć, dlaczego miód krystalizuje i co to znaczy „spadziowy”. Bardzo lubię łączyć pracę przy pszczołach z opowiadaniem o nich. Zwłaszcza że w Polsce pszczelarstwo cieszy się ogromną sympatią ze względu na wielowiekowe tradycje – dodaje pszczelarz z Krzeszowic. Zamiany firmy doradczej na gospodarstwo pasieczne nie żałuje. – Wręcz utwierdzam się w przekonaniu, że to była dobra decyzja – odpowiada. – Niektóre dni są bardzo ciężkie, ale satysfakcja z tej pracy jest ogromna. Poza tym aktywność fizyczną mam zapewnioną codziennie. I jeszcze ten zapach otwartego ula! Nie da się go porównać z niczym innym.



Jerzy Miziołek

Mało znaną cechą Prymasa Tysiąclecia było umiłowanie sztuki. Podziwianie strzelistości katedr gotyckich i blasku renesansowych arcydzieł było dla niego rodzajem modlitwy, która – jak się okazało – stała się jedną z dróg wiodących do świętości

Sarkofag św. Wojciecha
w katedrze w Gnieźnie
FOT. ADOBE STOCK

Kapłan sztuki

Pośród wypowiedzi kard. Stefana Wyszyńskiego odnaleźć można niezwykle hołd, który złożył jednej ze swoich nauczycielek: „W Liceum Górskiego [w Warszawie] uczyła mnie geografii pani Lorenzowa, matka dyrektora [Muzeum Narodowego] Stanisława Lorenza. Wykładała nam geografii Italii, kraju, który znała osobiście. Ucząc nas geografii, równocześnie wpajała nam wielki szacunek do sztuki. To mi pozostało do dziś dnia”.

Ta ścieżka edukacyjna okazała się prawdziwym darem dla Polski, ponieważ przyszły błogosławiony Kościoła kato-

lickiego fascynował się nie tylko sztuką Italii, lecz także w równym stopniu kulturą artystyczną własnej ojczyzny. Jako biskup, a następnie prymas zwykł często powtarzać, że „wszczepianie zamiłowania do sztuki ojczystej jest jednym z najbardziej doniosłych postulatów pracy wychowawczej”. Stosownie przysposobiony jako młodzieniec do podziwiania rzeźb, obrazów i dzieł architektury, przez całe życie uczył takiego przeżywania sztuki rzesze wiernych. W homilii skierowanej do artystów scen warszawskich z 10 stycznia 1971 r. nazwał ich kapłanami sztuki, a samą sztukę zdefiniował

jako twórczą pracę ducha. Przyjaźnił się z wybitnymi badaczami sztuki i archeologami, co w efekcie przyniosło otwarcie skarbców sztuki kościelnej dla historyków, a podziemia kościołów na eksplorację archeologiczną. Dzięki temu obchody tysiąclecia Polski w latach 1965–1966 przyniosły tak spektakularne odkrycia, nastąpił prawdziwy przełom w poznawaniu początków naszej państwowości.

POCHWAŁA ARCHEOLOGII

Ksiądz prymas Wyszyński był przez wiele lat profesorem i wykładowcą nauk społecznych, a zatem tym łatwiejszy był

jego kontakt z uczonymi z rozmaitych dyscyplin humanistycznych. Uczestniczył w wielu konferencjach naukowych, a następnie z wielkim zainteresowaniem studiował ich wyniki. Do jego najbliższych, wieloletnich przyjaciół należeli wybitny historyk architektury prof. Jan Zachwatowicz i przede wszystkim sam prof. Władysław Tatarkiewicz. W dziedzinie sztuki i estetyki uznawał się za ucznia drugiego z nich, „choć nie zapisanego w albumie akademickim”. W pięknej mowie wygłoszonej z okazji 30-lecia Wydziału Filozofii Chrześcijańskiej na KUL przywołał kilka jego dzieł, a wśród nich „Historię filozofii”, „O doskonałości” i „Historię estetyki”. „To, co panu profesorowi także zawdzięczamy – mówił – to jego studia o estetyce, pomagające żyć pięknie. Nie w sensie pięknotuchów, tylko w rozumieniu walorów estetyki dla osobistego życia codziennego”.

W 1965 r. w czasie jednej z wielu uroczystości milenijnych mówił książdz prymas o wielkim znaczeniu do historii architektury i konserwatorów, którzy wraz z archeologami z pietyzmem badali każdy ocalały relik: „Słusznie więc czynią archeologowie, mężowie nauki i konserwatorzy, gdy szukają szlachetnych metryk naszej przeszłości milenijnej w gruzach i podziemiach świątyń. Tak przebadano serce katedry poznańskiej, podziemia katedry gnieźnieńskiej i tak też przeszli przez podziemia katedry wrocławskiej”. Z nieustającym zainteresowaniem śledził wykopaliska archeologiczne nie tylko w metropoliach, lecz także w małych miasteczkach. Fragmenty przedromańskich i romańskich budowli, owe „relikty szlachetnej przeszłości Polski”, których większość bez wątpienia znał z autopsji, przywoływał w dziesiątkach swoich homilii. „W kresie zbliżającego się Tysiąclecia – głosił w jednej z nich – czynimy wszystko, aby w Gnieźnie, Kruszwicy, Strzelnie i innych historycznych miejscach, gdzie są kamienie dawnego budownictwa, wydobyć je na wierzch i pokazać pokoleniu Tysiąclecia”. Na Ostrowiu Lednickim pod Gnieznem, gdzie obok jednej świątyni odkopano drugą, wyrażał książdz prymas radość z odkopania szczególnego zabytku. „Na dnie gruzów tej świątyni, bodaj z czasów Dąbrówki – mówił – znaleziono krzyż biskupi. W ten sposób nasze dzieje się wydłużają i pogłębiają [...]”. W katedrach roku Tysięcznego odnajdujemy kamienne relikty, poznajemy znaki z przeszłości”.

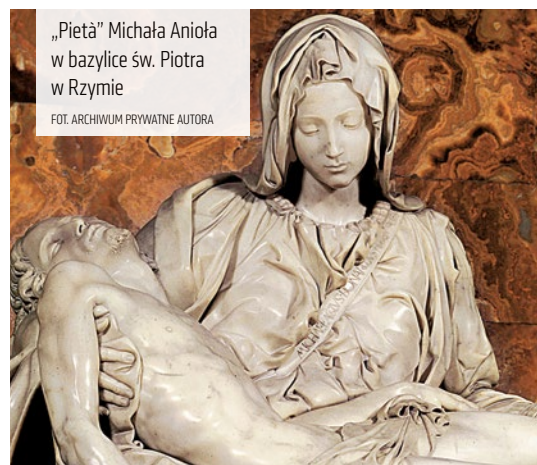
Równie piękne słowa poświęcił prymas Wyszyński budowlom romań-

skim na Mazowszu – katedrze płockiej (przebudowanej m.in. w epoce renesansu) i pięknej, malowniczo położonej bazylice w Czerwińsku. Mazowiecka nuta odezwała się także w jednym z najbardziej wyrafinowanych porównań jego milenijnego nauczania. „Jak do naszego Chopina – powiedział na rok przed wiekopomną rocznicą – przemawiały poszumem wierzby mazowieckie, tak do nas przemawiają mowa ojczysta i relikty wydobyte z podziemi katedr”.

Niezwykle bliskie były mu również prace nad „Katalogiem zabytków sztuki w Polsce” i badania nad kulturą artystyczną ukochanej przez niego Jasnej Góry. Ileż tomów „Katalogu zabytków” nie mogłoby powstać bez jego wsparcia! Otwierał bowiem niedostępne dotąd archiwa, wyrażał zgodę na badania sondażowe i pomiary świątyń. W kilku swoich przemówieniach i homiliach często stochowskich takie m.in. wypowiedział słowa: „My ciągle jeszcze za mało znamy Jasną Górę. I nie tylko Jasną Górę [...]”. Dla nas »Katalog zabytków« ma wielkie znaczenie [...] Jest to taka pozycja wydawnicza, której przy największym nawet napięciu pracy nigdy nie pomijam. Zawsze z wielką przyjemnością biorę do ręki nowe zeszyty”.

POTĘGĄ TRADYCJI

Podobno w czasie każdego pobytu w Gnieźnie książdz kardynał uwielbiał patrzeć z okien rezydencji prymasów na odbudowaną po wojnie katedrę św. Wojciecha. Jego fascynacja gotykiem, a w szczególności tym właśnie kościołem sięgał wczesnej młodości. W jednym z kazań wygłoszonych na trzy lata przed śmiercią wspominał: „Mając lat dziewięć, po raz pierwszy dostałem do rąk książkę ukazującą historię Polski, pod tytułem »Dwadzieścia cztery obrazki« [...]”. W tej właśnie książce znalazłem elewację bazyliki św. Wojciecha w Gnieźnie. Już wtedy się w niej rozkochałem [...]”. Wcześniej zrodziła się we mnie miłość do tej bazyliki, do jej gotyckiego wystroju, do jej dzieł, do kultu, który związany jest z początkami narodu, chrześcijaństwa i państwa polskiego”. Była to już trzecia katedra, którą przyszło książdzu prymasowi odbudowywać. Jeszcze jako młody biskup podnosił z gruzów katedrę lubelską, a następnie już jako prymas rekonstruował niemal od fundamentów, razem z Radą Prymasowską Budowy Kościołów Warszawy, katedrę warszawską.



Decyzja o nadaniu katedrze gnieźnieńskiej takiego wyglądu, jaki miała w czasach biskupa Bogorii Skotnickiego w drugiej połowie XIV w., była jego osobistą decyzją wspartą autorytetem prof. Zachwatowicza. Styl zwany gotykiem poprzez swoją szlachetność, barwy witraży i mistyczną aurę był według księdza prymasa najbardziej odpowiedni na domy Boga jako Słońca Sprawiedliwości, co wielokrotnie podkreślał w swoich homiliach. Ale był to także powrót do źródeł, do korzeni polskiego chrześcijaństwa i nieskalanego piękna oryginału. Ten aspekt swoistej doktryny artystycznej i konserwatorskiej księdza prymasa można zrozumieć w świetle tego, co powiedział w 1971 r. o obrazie Matki Boskiej Jasnogórskiej: „Wyraz troski Kościoła o dzieła sztuki [...] możemy widzieć i w tym, że dążymy do ujawnienia i spopularyzowania autentycznego obrazu Matki Boskiej Jasnogórskiej. Autentycznego, nie zniekształconego przez pietyzm, który wyraża się w licznych sukniach, dla mnie osobiście będących jakimś problemem. Wolałbym, aby obraz Matki Boskiej Jasnogórskiej zawsze był oglądany takim, jakim jest w rzeczywistości. Dlatego włożyłem wiele wysiłku w to, aby autentyczne kopie obrazu Matki Bożej rozmieścić, gdziekolwiek się da”. Taka właśnie kopia ukazująca całą urodę oryginału, bez dodatkowych wtórnych ozdób, nawiedziła za sprawą Prymasa Tysiąclecia całą Polskę.

Kardynał Wyszyński nie tylko odbudowywał majestatyczne katedry, lecz także pochylił się nad mniejszymi i większymi okruchami przeszłości. W jednym z kazań ze wzruszeniem mówi o małym fragmencie witraża przedstawiającym Matkę Boską Częstochowską odnanioną w ruinach katedry warszawskiej.

Niczym relikwię przechowywał to niewielkie szkiełko na swoim biurku w warszawskiej rezydencji prymasowskiej aż do końca swoich ziemskich dni. Za sprawą jego umiłowania sztuki dawnej w katedrze warszawskiej znajduje się piękna kropielnica o niezwykle w północnej Europie kształcie. Jest to ozdobiony motywem liści akantu kapitel, zwany impostem, który osobiście odnalazł porzucony w błocie gdzieś na tzw. ziemiach zachodnich i po starannej konserwacji umieścił w kruście bazyliki św. Jana, gdzie do dziś się znajduje. Pochylając się nad wszystkim, co naznaczone choćby odrobiną piękna, pochylał się ksiądz prymas nad skomplikowaną historią swojego – jak mawiał z miłością – „dziwnego i pięknego kraju”.

Koncentrując się przede wszystkim na „świętym budowaniu”, wspierał również swoim autorytetem idee odbudowy wszelkich innych pomników narodowej kultury. Z entuzjazmem powracał w licznych wypowiedziach do zagadnienia odbudowy Zamku Królewskiego w Warszawie. W homilii z okazji Jubileuszu 25-lecia Rady Prymasowskiej, we wrześniu 1972 r., powiedział: „Decyzję odbudowy Zamku Królewskiego w Warszawie musimy uznać za decyzję godną synów Narodu, bo Naród nie mógł uznać niszczycielskiego policzka, którym usiłowano go znieważać. Dotknięto murów Zamku, ale nie dotknięto bastionu ducha Narodu [...]. Dlatego decyzja została podjęta. Naród uważa ją za przejaw męstwa i ambicji, przejaw wiary, siły i poczucia narodowej tradycji”.

PRYMASA WYSZYŃSKIEGO MYŚLI O SZTUCE

Wielkiemu prymasowi najbliższa była kultura artystyczna ziemi ojczystej, ale chłonał także przy każdej okazji dzieła wielkich i mniejszych artystów sztuki światowej, a następnie wielokrotnie przywoływał je w swoich homiliach, okolicznościowych przemówieniach. Choć mówiąc o obrazach, rzeźbach czy architekturze, zastrzegał zawsze, że ta dziedzina do niego nie należy, jego wypowiedzi uderzają trafnością sądu, precyzją terminologii i niezwykle wprost wrażliwością na piękno. Wrażliwość jest darem Boga, ale fachowa terminologia naukowej dyscypliny może być tylko wynikiem pogłębionych studiów i wielu lektur. Wiadomo, że od najmłodszych lat przyszły prymas wprost pochłaniał książki. Z jego własnych wypowiedzi wiemy, że z zakre-

su sztuki i estetyki studiował dzieła przyjaciela, prof. Tatarkiewicza, i przywołany już „Katalog zabytków sztuki w Polsce”, ale znał też bez wątpienia wiele innych książek o stylach, estetyce i ikonografii. Z wypowiedzi o Michale Aniele, Leonardzie da Vinci, Rafaelu czy Murillo wynika jednoznacznie, że dzieła tych mistrzów nie tylko go fascynowały, lecz także nieobce mu też były drogi ich artystycznego żywota i treści ich dzieł. W referacie wygłoszonym w czasie spotkania z architektami



Prymasowi Wyszyńskiemu najbliższa była kultura artystyczna ziemi ojczystej. FOT. NAC

i plastykami Warszawy w 1957 r. powiedział m.in. „[...] sztuka jest twórczą pracą ducha [...] wydobywa z materii określonej coraz to nowe możliwości; jak z marmuru dłońmi Michała Anioła wydobywa smutny uśmiech Chrystusa w »Piecie«, zawsze świeży, zawsze nowy [...] jak uśmiech Mony Lizy w płótnie Leonarda [...]”.

Jedną z jego homilii z 1957 r. ukazuje szeroką wiedzę na temat początków sztuki chrześcijańskiej i roli tradycji antyku: „Sztuka chrześcijańska posłużyła się formami sztuki pogańskiej. Widać to najlepiej w architekturze, od bazyliki na Forum Romanum przez Rawennę do bazyliki św. Piotra na Watykanie. Widać to i w rzeźbie czy malarstwie, od Diany Efeskiej, przez Madonny Bizantyjskie do Madonny Sykstyńskiej i Niepokalanej Murilla. Kościół jest po to – głosił w swoim kazaniu – aby wszystko chrzczył, jak ochrzcił stajnię betlejemską, termy Karakalli, Pałacyn, Kapitol i bazyliki imperatorów rzymskich,

gotyk, renesans, barok i dzisiejsze baraki, które przemienia w świątynię”.

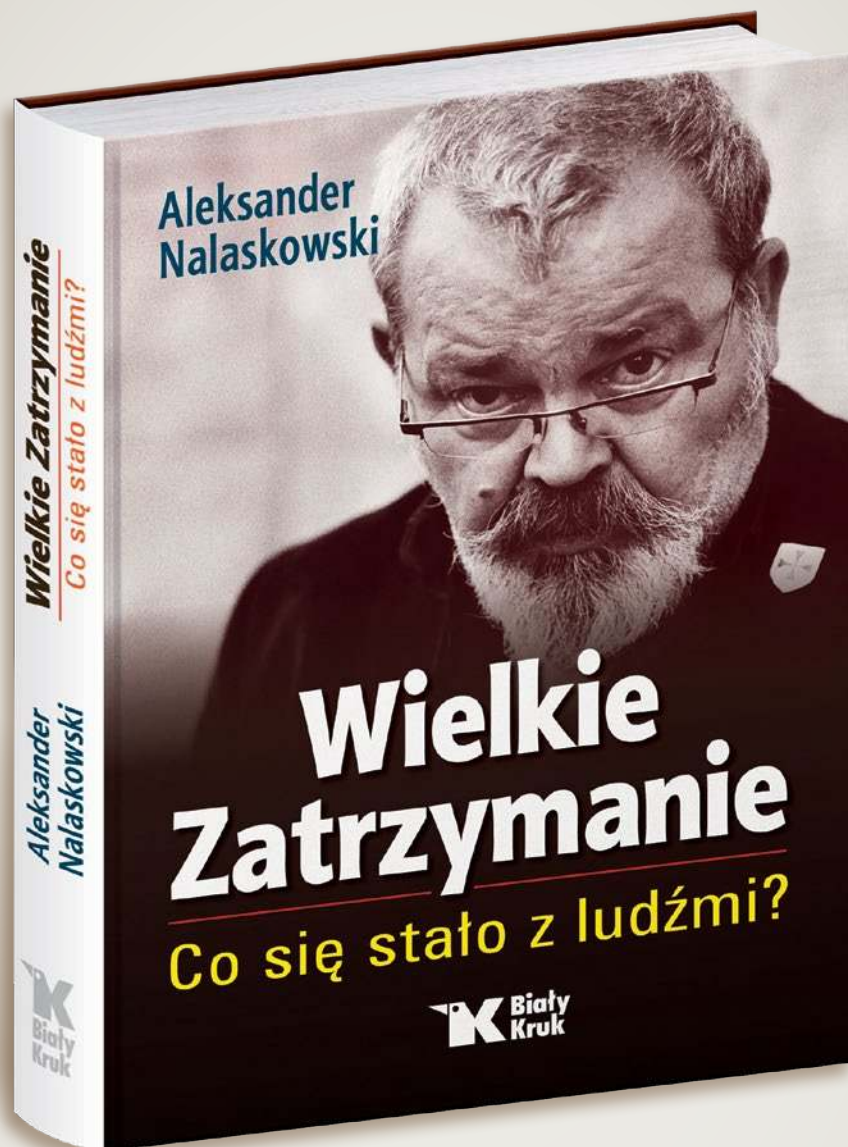
W homilii we Fromborku, jakby przygotowując rodaków do pielgrzymowania do Wiecznego Miasta, ksiądz prymas przywoływał swój kościół tytularny, Santa Maria in Trastevere, i znajdujące się w nim epitafium jednego z najznakomitszych biskupów polskiego renesansu – kard. Stanisława Hozjusza. W pięknym kazaniu „W 500. rocznicę urodzin Mikołaja Kopernika” przypominał z kolei wojenne losy dwóch słynnych warszawskich posągów – Kopernika i Chrystusa niosącego krzyż sprzed kościoła św. Krzyża. Ksiądz prymas, mimo że interesował się przede wszystkim sztuką dawną – starochrześcijańskimi bazylikami Rzymu, polskimi kościołami romańskimi i gotyckimi – potrafił też dostrzec walory artystyczne i treści ideowe polichromii z epoki baroku, jak choćby tej w kościele w Żerkowie, i wreszcie, jak w homilii z 1960 r., odnajdujemy uwagi o budownictwie kościelnym i nowej estetyce: „Człowiek współczesny, zmęczony detalizmem życiowym, chce odwrócić się od bogactwa wystroju dawnych świątyń [...]. Lubi stanąć w gołych ścianach, pośród których uwagi jego już nic nie zatrzymuje, może jedynie wielki krzyż w apsydzie i prosty ołtarz bez nastawy i wystroju [...]. Przemawia doń prostota Boga ukrzyżowanego, jak przemawia w starej, rzymskiej zwalonej dziś świątyni na Palatynie Santa Maria Antiqua”.

„Ars longa, vita brevis” – taki napis znajduje się na obrazie jednego z mistrzów XVII w. przedstawiającym filozofa z czaszką w dłoni. Reprodukacja tego właśnie płótna była jedyną ozdobą pokoju księdza prymasa w czasie jego uwięzienia w 1953 r. Obraz ten i sentencję przypominał w swojej homilii do uczestników II Jasnogórskiej Sesji Historyków Sztuki i Konserwatorów Zabytków w 1971 r.

W postrzeganiu sztuki chrześcijańskiej, wspieraniu badań nad nią i nauczaniu o niej jawi się ksiądz prymas Stefan Wyszyński jako postać prawdziwie fascynująca. Nie tracąc bowiem z oczu arcydzieł sztuki powszechnej, przywoływał ze znanostwem i admiracją najcenniejsze przykłady dziedzictwa rodzimej kultury artystycznej. Potrafił odczytać jej przesłanie i, co również ważne, umiał mówić o niej prosto i jednocześnie wzniosłe. Nauczył nas cenić i podziwiać te „znaki przeszłości”, a poprzez nie patrzeć „ku bramom, przez które wejdziemy w przyszłość”.

© Wszelkie prawa zastrzeżone

Najbardziej prześladowany profesor w Polsce w walce z szaleńczymi ideologiami



Książka ta jest fascynującą analizą ludzkiego ducha nadszarpniętego przez wydarzenia pierwszego półroczu 2020 r., aczkolwiek wygląda na to, że upadek owego ducha zaczął się już wcześniej. Co stało się z ludźmi? Co stało się z nami, że nasze wiano na przyszłość

jest takie marne? Człowiekowi wydaje się, że dziś na wszystko można znaleźć odpowiedź. Tymczasem jest zupełnie odwrotnie – tylko garstka osób rozumie to, czego nie rozumieją pozostałe miliardy ludzi. Jeden gram wiedzy generuje paradoksalnie tony niewiedzy.

Dla Czytelników „Do Rzeczy” 35% taniej!
Wejdź na stronę bialykrak.pl i wykorzystaj kod rabatowy WPIS35



Piotr Gociek

Zamiast odwołanego z powodu koronawirusa finału Eurowizji dostajemy w tym roku komedię o konkursowych zmaganiach. Z korzyścią dla widza i historii muzyki

Sama tego chciałaś, nieszczęsna Europo – aż dziw, że nikt wcześniej nie wziął na celownik tej erupcji tandety, którą jest Konkurs Piosenki Eurowizji. Miałas farta, nieszczęsna Europo – amerykańscy kpiarze mogli cię potraktować jak Sacha Baron Cohen potraktował Kazachstan w „Boracie”, ale okazali się łagodniejsi. Może sprawiły to islandzkie elfy?

Elfy, widzicie, mieszkają w górach nieopodal Húsavíku, rybackiej wioski, z której wywodzą się Lars i Sigrit, główni bohaterowie komedii „Eurovision Song Contest: Historia zespołu Fire Saga”. Sigrit przynosi im potajemnie dary, licząc, że pomogą jej w życiu. A marzenia ma proste: chciałaby, żeby Lars widział w niej nie koleżankę, lecz kobietę; chciałaby mieć z nim dziecko. Lars tymczasem marzy o czymś zupełnie innym: w dzieciństwie ujrzał w telewizji grupę ABBA, wygrywającą Eurowizję hitem „Waterloo”. Od tej chwili konkurs zawładnął jego snami. Dla Sigrit zaś widzi jedynie rolę wokalistki w duecie The Fire Saga, którego przeznaczeniem jest (wierzy w to Lars) światowa kariera. Na razie oboje przygrywiają do kotleta (może raczej do wędzonej rybki) w lokalnym barze. Tyle że nikt nie chce tam słuchać kompozycji Larsa, publika woli „Ja Ja Ding Dong”, miejscowy hit zadziwiająco przypominający disco polo.

PARODIA HOLLYWOODZKIEJ SZTAMPY

Larsa Erickssonga (to nie literówka w nazwisku, lecz greps scenarzystów) gra Will Ferrell, więc tegoroczny wakacyjny sezon na filmy zabawne i niezbyt mądre uważam za otwarty. Weteran Saturday Night Live od dekad bezlitośnie sztydzi z hollywoodzkiej sztampy w kolejnych parodiach popularnych gatunków. „Elf” pozostaje najzabawniejszym filmem świątecznym wszech czasów, „Ricky Bobby

– Demon prędkości” był cudowną kpina z filmów o wyścigach samochodowych, „Bracia przyrodni” parodią obyczajowych dramatów, a „Policja zastępcza” – policyjnych kryminałów. Mało znany w Polsce „Casa de mi Padre” cały zagrany był po hiszpańsku i stylizowany na tandetną meksykańską telenowelę, „Legenda telewizji” sprytnie wykpiwała obyczaje samców w show-biznesie oraz pustkę we łbach osobników, których jedynym talentem jest przekonujące odczytanie wszystkiego, co dostaną na prompter. W tej długiej kolekcji większych i mniejszych sukcesów przytrafiła się także wpadka – komedia „Holmes i Watson” okazała się katastrofą.

„Eurovision Song Contest: Historia zespołu Fire Saga” przypomina mi nieco „Ostrza chwały”, film oparty na cudownie idiotycznym pomysłe występu „pierwszej w dziejach pary męsko-męskiej” w zawodach jazdy figurowej na lodzie (nie, proszę się nie doszukiwać żadnych homoseksualnych podtekstów). Warto też sięgnąć pamięcią do znakomitego (i równie idiotycznego) „Zoolandera”, w którym Ben Stiller zrobił ze świata pokazów mody całkowitą miazgę. Nie bądźmy zdziwieni – pycha, próżność, nadejście plus obciach są idealnym paliwem dla parodii. A trudno w europejskiej rozrywce znaleźć coś bardziej obciachowego niż konkurs Eurowizji.

Zrządzeniem losu Fire Saga trafia do islandzkiego finału krajowego walki

o Eurowizję. Tych zrzędzeń losu jest w filmie więcej, ale nie będę zdradzał, na czym polegają, by nie psuć zabawy. Wystarczy wiedzieć, że Lars i Sigrit pojadą do Edynburga, gdzie okażą się oczywiście prostaczkami w wielkim świecie, a ich zdumienie będzie budziło wszystko – od faktu, że szampana podaje się w wysokich kieliszkach, poprzez standard podrzędnego szkockiego hoteliku aż do zasad panujących w świecie profesjonalnej rozrywki. Scena, w której wystraszona Sigrit ma śpiewać wśród tancerzy „upiększających” jej występ, albo dyskusja z gwiazdką K-popu próbującą wzbogacić aranż islandzkiej piosenki należą do zabawniejszych w filmie. Nie wszyscy w domu, dodajmy, kibicują islandzkiej delegacji. Ewentualne zwycięstwo oznacza przecież organizację finałów Eurowizji w następnym roku, a Islandia jest za biedna, by przyjąć tak wielu gości (tak przynajmniej argumentuje pewien lokalny oficiel).

Zaklasyfikowałem wyżej ten film jako kolejną komedię z Willem Ferrellem, ale uwaga, oto niespodzianka – prawdziwym skarbem tego filmu okazuje się Rachel McAdams w roli Sigrit Ericksdottir. McAdams kradnie każdą scenę, w której się pojawia, jest jednocześnie krucha i silna, wzruszająca i bardzo zabawna, a cała historia szybko staje się tak naprawdę opowieścią o niej – tak jak trzecia część „Aut”, animowanej serii dla dzieci, nie



FOT. MATERIAŁY PRASOWE

Gwiazdzy z



Húsavík

była już fabułą o Zygzaqu McQueenie, lecz jego utalentowanej młodszej koleżance Cruz Ramirez. Każdy, kto zna filmy z Ferrellem, wie doskonale, czego się po nim spodziewać (i nie będzie zawiedziony), natomiast vis comica Rachel McAdams jest wspaniałą niespodzianką.

Uroczę rzeczy dzieją się na drugim planie. Pierce Brosnan obsadzony został w roli surowego ojca Larsa, małowiaścickiego łamacza serc niewieścich, którego sam Lars uważa za najbardziej surowego człowieka w Islandii (a któremu kumple z baru zarzucają, że choć połowa dzieci w Húsavíku jest jego dziełem, to tego jednego, które ma oficjalnie, pokochać jakoś nie potrafi). W Edynburgu na scenę wkracza (w przenośni i dosłownie) Dan Stevens, którego pamiętamy jako przystojnego i charyzmatycznego Matthewa Crawleya z serialu „Downton Abbey”. Tu gra uwodzicielskiego rosyjskiego wokalistę Alexandra Lemtova, osobnika przepełnionego testosteronem i występującego w towarzystwie czterech półnagich chłoptasiów, których tresuje batem. Warto też poczekać do finału, kiedy za kulisami Lemtov weźmie udział w krótkiej dyskusji na temat tego, ilu gejów jest w Rosji.

Są w „Fire Saga” także goście z realu. Gdy rozpocznie się walka w filmowym konkursie Eurowizji, zmagania kandydatów komentowane będą przez prawdziwego brytyjskiego celebrytę telewizyj-

nego Grahama Nortona, który prowadził także prawdziwą Eurowizję. A w jednej z muzycznych scen filmu pojawi się cała gromada prawdziwych uczestników eurowizyjnych zmagani, łącznie z tłuściutką Nettą z Izraela, która wygrała konkurs w roku 2008, oraz drag queen Conchita Wurst, czyli Austriakiem przebrany za kobietę z brodą (zwycięzca z roku 2014).

ZŁOTA ZASADA EUROWIZJI

Właśnie – muzyka. Bądźmy szczerzy, gdyby zestaw piosenek w tej komedii reprezentował poziom tradycyjnych półfinałów Eurowizji ostatniej dekady, nie dałoby się tego obejrzeć ani wysłuchać do końca. Rzekłbym więc, że kompozycje, choć często prostackie, są lepsze i zgrabniej zaaranżowane od tego, czym konkurenci częstują nas w realu, co oczywiście powinno być powodem do głębokiego wstępu dla europejskiego przemysłu muzycznego – skoro paru gości pracujących na potrzeby jednej amerykańskiej komedii jest w stanie napisać więcej hitów niż pół kontynentu przez cały rok biedzenia się nad nowymi propozycjami... Złota zasada Eurowizji została jednak

zachowana, to znaczy na scenie pojawia się absurdalna menażeria: szwedzki rap, białoruski pseudometal (trudno nie widzieć tu nawiązania do fińskich metalowców z grupy Lordi – zwycięzców konkursu z 2006 r.) i tak dalej.

Wszystko to jednak nie jest tylko sztuką dla sztuki (czy raczej parodią dla parodii). Film Davida Dobkina (niezłego reżysera, nakręcił zarówno komedię „Polowanie na druhny”, jak i ciekawy dramat „Sędzia”) ma dla nas także dwa przesłania, cóż z tego, że mało oryginalne. Pierwsze brzmi: obroni się tylko to, co robisz prosto z serca, nie dla poklasku, nagród w konkursach, sławy. Drugie – i tu dostajemy słodką przewrotność na sam koniec – to przypomnienie, że wszyscy mamy korzenie, że żyjemy nie dla własnej chwały, lecz dla naszych dzieci, rodziców, przyjaciół, ziomków, i że kiedy będziemy pamiętać o naszym Húsavíku, to i Húsavík nigdy nie zapomni o nas.

Pod tym względem „Eurovision Song Contest: Historia zespołu Fire Saga” okazuje się filmem idealnie oddającym ducha nielicznych wielkich momentów w długiej historii konkursu. Generalnie to straszna popelina i, raz jeszcze użyję tego słowa, obciach, ale zdarzały się przecież takie chwile, kiedy dzięki pojedynczym talentom wzruszenie było prawdziwe. Ta sztuka udaje się pod koniec filmowi Dobkina i zapewne dlatego podbił serca widzów, stając się błyskawicznie hitem numer jeden Netflixu minionego tygodnia, podczas gdy krytycy kręcą nosami.

Największym zwycięzcą niespodziewanie ogłaszam jednak islandzką wioskę Húsavík. Tak, istnieje naprawdę. Dotąd najbardziej znana była jako idealne miejsce do obserwowania wielorybów oraz z tego, że w latach 2004–2011 znajdowała się tam siedziba jedyne na świecie muzeum zwierzęcych penisów. Teraz zapisuje się w historii jako miejsce narodzin duetu Fire Saga. Aha, i jeszcze jedno. Jak przy okazji premiery filmu przypomniał portal BBC, wedle badań University of Iceland ponad 60 proc. mieszkańców Islandii wierzy w istnienie elfów pomagających ludziom w potrzebie. Dlaczego to takie ważne? Cóż, obejrzyjcie sami.



★★★★★
REŻ. DAVID DOBKIN
„EUROVISION SONG CONTEST: HISTORIA ZESPOŁU FIRE SAGA”
USA 2020

wyst. Will Ferrell,
 Rachel McAdams,
 Pierce Brosnan,
 Dan Stevens

© Wszelkie prawa zastrzeżone



FOT. MATERIAŁY PRASOWE



PIOTR GOCIEK

OGLĄDANIE NA ŻĄDANIE



Rodzina w płomieniach



★★★★★

KREATOR:
LIZ TIGELAAR
„MAŁE OGNISKA”
(„LITTLE FIRES
EVERYWHERE”)
USA 2020,
DYSTR. AMAZON

wyst. Reese
Witherspoon,
Kerry Washington

Wydana także w Polsce powieść Celeste Ng, Amerykanki chińskiego pochodzenia, to opowieść o kraju biednych i bogatych, z elementami rasizmu w tle i wielką dozą melodramatu. Elena Richardson, wzorowa pani domu z zamożnego przedmieścia, wynajmuje domek ubogiej artystce Mii Warren, samotnie wychowującej nastoletnią córkę. Rodziny szybko zbliżą się do siebie, co stanie się zarówno ziarnem przyszłego dramatu, jak i początkiem odkrywania tajemnic przeszłości. Zderzenie zupełnie różnych punktów widzenia, odmiennych podejść do życia i hierarchii wartości bywało w książce fascynujące, aczkolwiek

całość nie wykraczała poza dobrze zrobioną literacką konfekcję – coś na poziomie „Wielkich kłamstewek” Liane Moriarty.

W serialowej ekranizacji wyprodukowanej przez amerykański serwis streamingowy Hulu, a dostępnej u nas poprzez Amazon, akcenty postawiono inaczej, rozbudowując książkę Ng o elementy, których w oryginale w ogóle nie było. Mia Warren okazała się Afroamerykanką (w powieści nigdzie nie wskazano, że nie jest białą), a część bohaterów została przerobiona na postacie o skłonnościach homoseksualnych. I tak historia o nierównościach społecznych zamieniła się w tyradę o prześladowaniu wszelkiego

rodzaju mniejszości seksualnych i rasizmie, wchodząc w sztafcę obowiązującą obecnie w tzw. postępowych produkcjach serialowych (czy są jeszcze jakieś inne?). Ze szkodą dla opowieści, która staje się nadmiernie perswazyjna i prostacka. Scenarzyści przy okazji dużo bardziej czarną barwą kreślą portret pani Richardson – skoro jest biała, bogata i wierzy w życie według zasad, musi to automatycznie oznaczać, że zdolna jest do rozmaitych obrzydliwych rzeczy.

To, że „Małe ogniska” i tak da się oglądać, zawdzięczamy aktorkom. Jako głównych antagonistki w serialu występują Reese Witherspoon (Elena Richardson) oraz Kerry Washington (Mia Warren), której sekunduje utalentowana młoda Lexi Underwood jako jej córka Pearl. To, co dzieje się w tym aktor-skim trójkącie, jest najciekawszą częścią produkcji. Melodramatyczne zwroty akcji i przekombinowane rodzinne tajemnice przypominają zaś, że choć zrobiony za wielkie pieniądze i w mocnej obsadzie, to serial ten nie jest niczym więcej jak tylko elegancką, wykwinutą operą mydlaną. ©©



NOWE SERIALE: „DARK”

Intrygujący i nastrojowy niemiecki serial fantastyczny początkowo reklamowany był jako europejska odpowiedź na „Stranger Things”, ale szybko zdobył własną renomę. Zaczynał się jak kryminał z rokowaniami na opowieść grozy, potem okazał się sprytną historią o podróżach w czasie skrzyżowaną

z thrillerem spiskowym. Po dwóch świetnie przyjętych przez widzów i krytykę sezonach przyszła pora na sezon trzeci i ostatni. „Dark” jest bez wątpienia jednym z najoryginalniejszych seriali ostatniej dekady, nie tylko w kategorii opowieści science fiction.
©© **Piotr Gociek**

NA MAŁYM EKRANIE TAKŻE:

- reż. Troy Nixey, „**Nie bój się ciemności**”; USA 2010, horror **CINEMA**
- reż. Teona Strugar Mitevska „**Bóg istnieje, a jej imię to Petrunia**”, Macedonia 2019, obyczajowy **CINEMAX**
- reż. Chris Buck, Jennifer Lee „**Kraina lodu II**”; USA 2019, animowany **DISNEY**

Wieczni nowożeńcy

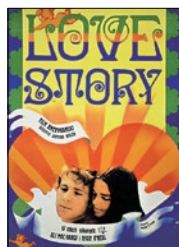


Czym dla Polek „Trędowata”, tym dla Amerykanek była „Love Story”. Sukces nowofalowego melodramatu położył kres obawom, że kontrkultura zmiecie Hollywood z powierzchni ziemi. Pokoleniowy bunt okazał się przeliczalny na pieniądze – i to spore. Nie trzeba było nawet udawać hippisów. Wystarczyła wizyta w studenckim kampusie, gdzie przecinają się drogi czupurnego syna bankiera i wygadanej córki piekarza. Jenny plus Olivier równa się wielka miłość, zdolna pokonać socjalną przepaść. Religijne różnice mają znaczenie dla starych, młodzi chcą iść przez życie razem, ale bez Boga. „Ma ostry język, sportowy szyk i choć wierzy w czyste uczucie, nie wyrzeka

się seksu” – chwaliła bohaterkę polska prasa filmowa.

Pół wieku temu z kin wyświetlających „Love Story” dobiegał głośny szloch widzów płci obojga. Co nam zostało z tych wzruszeń? Próbę czasu dobrze zniósła muzyka Francisca Laiego (nagrodzona zresztą Oscarem). MacGraw i O’Neal utrzymali się na aktorskim olimpie tylko przez kilka lat. Epizodystę Lee Jonesa łatwo przegapić, a przecież to jemu pisana była największa przyszłość. Wątek romantyczny stał się matrycą, bezwstydnie powielaną przez filmowców i literatów. Teza, że bogactwo może być źródłem wstydu i utrapienia, jakoś się w amerykańskiej popkulturze nie przyjęła. ©©

Wiesław Chelminiak



★★★★★
REŻ. ARTHUR HILLER
„LOVE STORY”
USA 1970

wyst. Ali MacGraw,
Ryan O’Neil,
John Mayler



FOT. MATERIAŁY PRASOWE

GRA TYGODNIA: „DUNGEONS 3”

Bez wątpienia jedną z ciekawszych strategii czasu rzeczywistego lat 90. – dzisiaj już nieco zapomnianą – była dwuczęściowa seria „Dungeon Keeper”. W humorystycznej konwencji wcielaliśmy się w niej we władcę piekielnego lochu, który musiał bronić jego „serca”, kopać kolejne korytarze,

walczyć z błędnymi rycerzami i czającymi się w podziemiach bestiami. „Dungeons 3” to kreatywne rozwinięcie tej koncepcji, do której twórcy dodali również tryb walki na powierzchni. Znacznie rozwinęli też paletę zadań, które możemy wykonać w ramach kompetencji przysługują-



FOT. MATERIAŁY PRASOWE

cych geniuszowi zła. Miła podróż retro do czasów, w których gry stawiały na kreatywność. ©© **Marcin Makowski**

- **Gatunek:** RTS
- **Platforma:** PS4/PC/XONE
- **Producent, dystrybutor:** Realmforge Studios/Koch Media
- **Klasyfikacja PEGI:** 16+

LUDZIE HONORU

MOJEKINO.PL



★★★★★
REŻ. PIOTR ADAMSKI
„EASTERN”
POLSKA 2019,
AGAINST GRAVITY

wyst. Maja Pankiewicz, Paulina Krzyżńska,
Marcin Czernik

Nowakowie kontra Kowalscy. W alternatywnej rzeczywistości każdy może odstrzelić upierdliwego sąsiada. Policji i sądom nic do tego, trzeba się jednak liczyć z zemstą rodziny nieboszczyka. Na „wykupienie krwi” stać tylko bogaczy. Ewa, posiadaczka sztucera z optycznym celownikiem, zwleka z polowaniem na zabójczynię brata, bo wie, że potem przyjdzie kolej na nią. Najnowsze dystopie cierpią na feministyczny przechyl. „Eastern” nie odstaje od tej reguły, potępia męskie rytuały, związane z paleniem papierosów, piciem wódki i fascynacją bronią palną. W tle kojący głos Krystyny Zzubówny snuje opowieść o drapieżnych zwierzętach, które mordują, bo muszą. Ludzkie zoo to pomysł z długą brodą i niezgorszym potencjałem. Reżyser debiutant wykorzystał go połowicznie. Rzecz sprawia wrażenie szkicu wykonanego w celu przekonania producenta, by hojnie sygnął kasą. Platformy streamingowe łakną świeżego mięsa, więc kto wie? ©©

DOM Z CHARAKTEREM

vod.pl



★★★★★
REŻ. TRAVIS STEVENS
(„GIRL ON THE THIRD FLOOR”)
USA 2019

wyst. C.M. Punk, Trieste Kelly Dunn,
Sarah Brooks

O tym, że remont zapuszczonej willi na przedmieściu może okazać się koszmarem, wie każdy abonent kablówki. Don – fan tatuaży, oprocentowanych trunków i gitarowego hałasu – zgrzeszył naiwnością, sądząc, że w kilka dni zdoła doprowadzić nowe lokum do jako takiego porządku. Tymczasem co rusz spotykają go przykre niespodzianki. Dom stawia twardy opór próbom modernizacji, wykorzystując słabości intruza. Don ma ich bez liku. Niby chce się usatkwować, ale w odporności na pokusy daleko mu do św. Antoniego. C.M. Punk, jak każdy wrestler, jest utalentowanym aktorem, jednak nawet Seba Fabijański nie udźwignąłby fabuły obciążonej taką liczbą nonsensów. Horror, wbrew pozorom, ma swoją wewnętrzną logikę. Kto ją notorycznie gwałci, ten trafia do piekła grafomanów. ©©

recenzuje Wiesław Chelminiak

KRZYSZTOF
MASŁOŃ

MOJA PÓŁKA

Dawnych wspomnień **czar**

Sto skrzących się od anegdot, dowcipnych, ale i mądrych, i wzruszających gawęd, składa się na „Portrety” Marii Iwaszkiewicz, zmarłej w zeszłym roku córki Jarosława i Anny Iwaszkiewiczów. Część z nich opublikowały swego czasu „Zeszyty Literackie”, niektóre opowieści poznaliśmy wcześniej, z wydanego 15 lat temu tomu wspomnień „Z pamięci”. Teraz, w niejako leksykonowym układzie, opracowane i przygotowane do edycji przez Agnieszkę Papieską są jednak całkowicie oryginalną, nową pozycją we wcale niemałym dorobku twórczym pani Marii. W pewnym sensie przynależą „Portrety” do literatury mówionej, były bowiem nagrywane, gdyż ze względu na wiek (Maria Iwaszkiewicz zmarła, mając 95 lat) autorka nie mogła już sama spisywać tego, co miała do powiedzenia o Pawle Hertzcu i Irenie Krzywickiej, Słonimskim i Hanuszkiewicz, Hłasce i Wajdzie. A przede wszystkim o swoich rodzicach i o całej swej, jakże wyjątkowej, rodzinie.

A przecież Jarosław Iwaszkiewicz w „Dziennikach” z lat 50. co rusz wzdychał: „Gdybym miał inną żonę”, „Gdybym miał inną rodzinę” itd. itp. – Nie wygląda na to, by był z wami wszystkimi szczęśliwy... – prowokowałam panią Marię w wywiadzie, którego udzieliła mi w 2007 r.

– Czasami nas bardzo nie lubił, z pewnością – odpowiedziała. – Złościł się też na mamę, która szalała za wnukami. Bogdan [Wojdowski – przyp. K.M.] mówił złośliwie: „Bo zawiódła się na córkach”. Cóż, miałam trzech mężów, moja siostra dwóch, ciągle jakieś chłopcy koło nas się kręcili. A jednocześnie wszystko to się po śmierci rodziców rozpadło. Dziś nie ma więzi rodzinnych między nami i mówię to z wielką przykro-



FOT. BARTOŚ KRUPA/LEST NEWS

ścią. A ojciec... Pisał: „Modliłem się do Hani”. Nie za Hanię, tylko do Hani. Cenił matkę i jej zdanie o wszystkim, ale najważniejsze – oni się bardzo kochali. Wiele widziałam w życiu, ale nie widziałam – pomimo tego wszystkiego, co się działo u nas i wokół nas – żeby ludzie tak się kochali jak oni.

Ale to była trudna miłość, nie tylko ze względu na preferencje seksualne twórcy „Panien z Wilka”. Anna Iwaszkiewicz przeżywała załamania, chorowała psychicznie, przez dłuższy czas przed wojną leczyła się w zakładzie dla nerwowo chorych.

– Uratowała ją – kontynuowała pani Maria Iwaszkiewicz – pisałam o tym – wojna. To, co robiła w czasie okupacji, było niesamowite. Odnalazła w sobie ogromną odwagę, przecież nawet chodziła do getta, by zanieść papiery Żydom, których ratowała. Ale o tym,

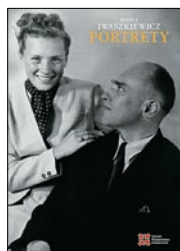
co się działo w jej wnętrzu... do końca nie wiemy.

Sławny ojciec podobno nie chciał, by jego starsza córka pisała. Na szczęście stało się inaczej, bo z całą pewnością odziedziczyła po nim talent literacki. A swoje „Portrety”, choć daleka była od wszelkich poprawności, zabarwiła – jak pisze Agnieszka Papieska – „ciepłym humorem, który nie ośmiesza bohatera, lecz zjednuje mu sympatię czytelników”.

Miała 15 lat, jej siostra 11, gdy w Zakopanem wołał do nich siedzący w restauracji Kornel Makuszyński: „Zostańcie ze mną, a stary niech sobie jedzie do domu!”. „U nas nigdy tak nie mówiono do dzieci, więc strasznie nam się to podobało” – komentowała pani Maria, dodając: „Jest dla mnie niewyjaśnioną tajemnicą, dlaczego ludzie bezdzietni piszą najlepsze książki dla dzieci: Makuszyński, Brzechwa, Tuwim”.

A pamięć miała znakomitą. To niesamowite, ale potrafiła odtworzyć np. rozkład pomieszczeń w redakcji „Wiadomości Literackich”, dokąd ojciec zabrał ją w roku 1936. „W dużym pokoju – czytamy – w kącie siedział Władysław Broniewski, ówczesny sekretarz redakcji, oraz Marian Eile. Który wymyślał wszystkie rebusy i zgadywanki. Wiele lat temu spotkałam Eilego w Krakowie. »Marian – powiedziałam – przecież już tylko ty i ja wiemy, jak Grydz [Mieczysław Grydzewski – przyp. K.M.] mówił«. Teraz już tylko ja”.

A dzisiaj kto pamięta charakterystyczne trochę jękanie, trochę seplenienie Grydza? Nikt. „Portrety” zamyka krótki „Autoportret” z takim oto pożegnaniem: „Droży Czytelnicy, dziękuję Wam za czytanie moich opowieści. I – cytując »Hamleta« – powiem: dobranoc, moi drodzy, dobranoc, dobranoc”. ©©



★★★★★
**MARIA
IWASZKIEWICZ**
„PORTRETY”
SEDNO
WYDAWNICTWO
AKADEMICKIE,
WARSZAWA 2020



PIOTR GOCIEK

POCZYTANKI

Długie pożegnania

Gdy w latach 80. słuchałem płyt Joy Division, o grupie nie wiedziałem prawie nic. Słyszeliśmy o samobójczej śmierci lidera, owszem, ale wystarczyły nam oszczędne, hipnotyzujące dźwięki. Gdy po latach zobaczyłem nagrania z koncertów, byłem zdumiony, jak niezwykle Ian Curtis wypadł na scenie. Owładnięty bez reszty muzyką, miotający się ekspresyjnie, jakby opanowała go jakaś obca siła. Porównanie z transami Jima Morrisona narzucało się samo.

W książce Jona Savage'a poznajemy historię Joy Division opowiedzianą przez byłych członków zespołu, ich żony, dziewczyny, menedżerów, producentów, wszystkich tych, którzy byli w środku wydarzeń lub w ich pobliżu. Savage nie napisał od siebie ani słowa, lecz tak precyzyjnie utkał całość, że choć nagrywani osobno, narratorzy uzupełniają się perfekcyjnie, w miejscu, gdzie jeden kończy, drugi podejmuje ciąg dalszy wywodu. Wciąż to jak najlepiej udokumentowana biografia. Historia zaś jest typowa dla rocka – grupa chłopaków, którzy grać umieją średnio, ale mają przyjaźń, ambicję i talent. Przełom więc przychodzi, tyle że Joy Division po samobójstwie

Curtisa przestała istnieć chwilę przed naprawdę wielką karierą. Słysząc poczucie winy we wspomnieniach ludzi z jego najbliższego otoczenia. Nawet po dekadach zadają sobie pytanie, czy nie okazali się głusi na wzywanie pomocy przez walczącego ze swymi demonami 24-letniego chłopaka.

„Rok Małpy” Patti Smith to z kolei opowieść weteranki, która karierę ma już za sobą. Zdobyła sławę i nieco pieniędzy, miejsce w historii rocka

też ma. Od pewnego czasu głównie pisze książki i odbiera honoraria za dawne dokonania. W „Roku Małpy” między notatkami z podróży, śniadaniowych menu, przeczytanych książek i obserwacji, które czasem są oryginalne, a czasem banalne, celebrytuje swoje 70. urodziny. Bywa nieznośnie pretensjonalna, tak jak wtedy, gdy przechwalała się lekturą Marka Aureliusza, ale są chwile, kiedy jej proza zamienia się w głęboko wzruszającą. Na łamach książki Patti rozmawia z duchami, wspomina zmarłego przyjaciela/kochanka Sama Sheparda, a pod koniec jej wyznania zamieniają się w przejmujący monolog w duchu Dylanańskiego „A Hard Rain's a-Gonna Fall”. Uroczą książką o niczym, ale jednak intrygującą. ©©



★★★★★
JON SAVAGE
„PRZENIKLIWE ŚWIATŁO, SŁOŃCE I CAŁA RESZTA. JOY DIVISION W USTNYCH RELACJACH”
KOSMOS KOSMOS 2020



★★★★★
PATTI SMITH
„ROK MAŁPY”
CZARNE 2020

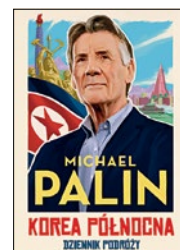
NOWOŚCI KSIĄŻKOWE

Obszerna biografia pióra wybitnej znawczyni tematu. Edycja przy współpracy Centrum Polsko-Rosyjskiego Dialogu i Porozumienia. Niektórzy pamiętają, że Czudakową poznaliśmy w Polsce w latach 70. także jako autorkę fantastyki.



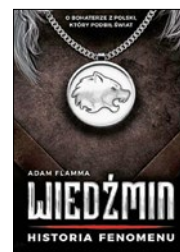
MARIETTA CZUDAKOWA
„MICHAŁ BUŁHAKOW. ŻYCIE NIEOCZYWISTE”
SEDNO

Dawny filar grupy Monty Python od ponad 30 lat publikuje także książki podróżnicze i występuje w podróżniczych serialach dokumentalnych. Dziennik z podróży do Korei Północnej to jego najnowsze dzieło.



MICHAEL PALIN
„KOREA PÓŁNOCNA”
INSIGNIS

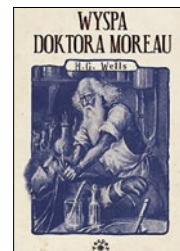
Obszerny tom poświęcony postaci wymyszonej przez Sapkowskiego, rozslawionej przez serię gier, a ostatnio przez serial Netflixa. Sporo ciekawych wywiadów, dużo ilustracji, widać, że to dzieło zaprzysięgłego fana.



ADAM FLAMMA
„WIEDŹMIN. HISTORIA FENOMENU”
WYDAWNICTWO DOLNOŚLĄSKIE

Przepiękne wznowienie klasycznej powieści Wellsa, chyba najbardziej mrocznej i niepokojącej, a co najważniejsze: wciąż aktualnej i kiedyś proroczej. Wszak doktor Moreau śnił o bioinżynierii, nim zaczął się wiek XX. ©©

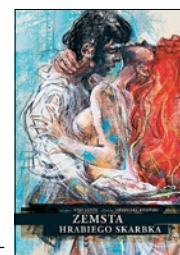
poleca Piotr Gociek



H.G. WELLS
„WYSPA DOKTORA MOREAU”
VESPER

KOMIKS TYGODNIA: „ZEMSTA HRABIEGO SKARBKA”

Arcydzieło światowego komiksu. Przeszycona erotyzmem opowieść przygodowo-histeryczna, w której znalazło się miejsce na piękny wykład o historii Polski w XIX w., na Fryderyka Chopina oraz na intrygę godną „Hrabiego Monte Christo”. Genialny malarz oczerniony przed laty przez nieuczciwego mecenasa powraca w przebraniu z wygnania do Ameryki. W poszukiwaniu sprawiedliwości



YVES SENTÉ, GRZEGORZ ROSIŃSKI
„ZEMSTA HRABIEGO SKARBKA”
EGMONT 2020

ści okaże się zrezygnowany i bezsilny. Malarskie kadry Rosińskiego to ucztą dla oka. Ten jeden komiks wystarczyłby na nazwanie go mistrzem, a wszak ma w dorobku wiele innych sukcesów, od „Thorgala” do „Skargi utraconych ziem”. ©©

poleca Piotr Gociek



Jemeńskie wspomnienia

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

Posiadająca polsko-jemeńskie korzenie Rasm Almashan, rocznik 1981, przyszła na świat w Krakowie, ale kiedy miała sześć lat, wyjechała razem z rodzicami do Jemenu. Tam chodziła do szkoły. „Atmosfera była świetna. Jak mieliśmy przerwy albo nie było nauczycielki, to chodziliśmy na plażę i graliśmy na bębnach, opowiadaliśmy sobie różne rzeczy, a po

sześciu godzinach – koniec lekcji i wracałam do domu. Tak naprawdę poza szkołą nie wychodziłam nigdzie” – wspominała w artykule na portalu dziennikpolski24.pl. Młodość w Jemenie to jednak nie tylko miłe wspomnienia. To także tragiczne doświadczenia wojny domowej i ucieczki przed nią.

Do Polski wróciła z mamą w 1998 r., tu zdała maturę

i poszła na studia. Tutaj na poważnie zajęła się muzyką. Zaczynała w zespole Kultura de Natura z Nowego Sącza, w czasach studenckich miała ciągle dwie, trzy różne kapele, później współtworzyła Soomood („Przeciwstawienie się złu”), występowała gościnnie z jazzrockowym Laboratorium. Od 2016 r. uczestniczy w projekcie World Orchestra Grzech Piotrowski.

Długo by jeszcze można wymienić składy i nazwiska, z którymi współpracowała, ale przejdźmy wreszcie do rzeczy najważniejszej, czyli autorskiego albumu, który ukazał się pod koniec ubiegłego roku. Rasm Almashan nie kopiuje jemeńskiej muzyki, ale ubiera orientalne melodie i zaśpiewy w nowoczesną formę. O albumie „YEMENIA” mówi tak: „Jeżeli chodzi o brzmienie i stylistykę, to jest to płyta bardzo kolorowa, World Music. Arabia i Afryka wspólnie zabrzmiały. To moja płyta marzeń [...]. Jest to muzyka świata inspirowana brzmieniami Jemenu, które zapamiętałam z dzieciństwa. Na płycie są historie z lat 80. i 90. z Jemenu. Słowa w piosenkach dotyczą biedy, wojny i pokoju oraz tęsknoty za krajem. Przesłaniem płyty jest budowanie mostów pomiędzy Bliskim Wschodem a Światem Zachodnim, apel o pokój dla Jemenu”. ©© **Radosław Wojtas**



GRZEGORZ BRZozowicz

NA SŁUCH

Jazz noir

To już szósty album tria wydany przez legendarną niemiecką wytwórnię. Natomiast pierwsze spotkanie zespołu z utytułowanym saksofonistą tenorowym Joe Lovano.

Zespół pianisty Marcina Wasilewskiego na dobre zadomowił się na pokładzie ECM. Jako nastolatki muzycy w latach 90. akompaniowali Tomaszowi Stańce. Później nagrywali razem z Jacobem Youngiem, Manu Katche, Aminom Alaoui i Joakimem Milderem. Joe Lovano zasłynął swingującymi, postbopowymi albumami dla wytwórni Blue Note. Przed rokiem zachwycił wyciszoną, ambientową płytą „Trio Tapestry”. „Arctic Riff” jest z jednej strony kontynuacją tego projektu, ale z drugiej szybuje ku abstrakcyjnym rejonom. Płytę otwiera piękna

ballada „Glimmer of Hope” przywołująca leniwą atmosferę czarnych kryminałów w rodzaju „Chinatown” Polańskiego. Druga w kolejności jest pochmurna kompozycja Carli Blay „Vashkar”. Pod koniec usłyszymy odmienną, zbudowaną na ciężkich akordach kontrabasu wersję tego standardu. Intrigująca jest impresjonistyczna „Arco”, w której pierwszoplanową rolę odgrywa basista Sławomir Kurkiewicz. Jedyne bardziej energetyczne nagranie, „L’amour Fou”, przywodzi na myśl dokonania Dextera Gordona. W finale, w „Old Hat”, muzycy wracają do oszałamiającej atmosfery.

Dla miłośników brzmień ECM to pozycja obowiązkowa, dla poszukujących bardziej śmiałych rozwiązań album może być zbyt zachowawczy. ©©

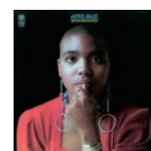


★★★★★
MARCIN WASILEWSKI TRIO/JOE LOVANO „ARCTIC RIFF” ECM



★★★★★
WOJCIECH WAGLEWSKI „GRA-ŻONIE” AGORA

Reedycja wydawnego w 1991 r. albumu wzbogaconą o koncertową wersję płyty nagrałą przed czterema miesiącami. Dedykowane żonie piosenki wciąż urzekają intymnym klimatem. Oryginał autor nagrał praktycznie sam, natomiast na scenie towarzyszy mu siedmiu wybranych muzyków.



★★★★★
DEE DEE BRIDGEWATER „AFRO BLUE” MR BONGO

Światowe uznanie zdobyła w latach 90., choć debiutowała trzy dekady wcześniej. W 1974 r. nagrała ten świetny album, który ukazał się tylko w Japonii. 24-letnia wokalistka z niebywałym wyczuciem, nie unikając improwizacji, wykonuje standardy, nadając im soulowego posmaku. ©©



PARTNER
STRATEGICZNY
VIII EDYCJI NAGRODY

STRAŻNIK PAMIĘCI

2020



Polityczna zemsta na Zybortowiczu

Rok temu również
blokowano tytuł
profesorski dla
Andrzeja Zybortowicza
FOT. MICHAŁ WOŹNIAK/EAST NEWS



Łukasz Warzecha

Politycznie motywowane utracenie profesury Andrzeja Zybortowicza każe stawiać pytania o rzetelność i sprawność przyznawania stopni naukowych w Polsce

Drugie posiedzenie Sekcji 1. Centralnej Komisji do spraw Stopni i Tytułów (CK) w sprawie wniosku o nadanie tytułu profesorskiego dr. hab. Andrzejowi Zybortowiczowi odbyło się 3 czerwca. Stało się to niemal równo rok po pierwszym posiedzeniu w tej sprawie, gdy stosunkiem głosów: 11 za, 24 przeciw, 4 wstrzymujące się zapadła uchwała o odmowie skierowania do prezydenta RP wniosku o nadanie tytułu profesorskiego. Profesor Tadeusz Gadacz – były zakonnik, członek Nowoczesnej, radny sejmiku małopolskiego z ramienia Koalicji Obywatelskiej – entuzjastycznie zapisał się wówczas na Facebooku, że „środowisko naukowe stanęło na wysokości zadania”. Już sam ten wpis powinien był zapalić lampki alarmowe. Wszak tytuł profesora nie ma zależeć od tego, czy dana

osoba politycznie zgadza się z jakąś częścią środowiska, czy nie, ale od oceny jej dorobku, której kryteria zawiera Ustawa o stopniach naukowych i tytule naukowym oraz o stopniach i tytule w zakresie sztuki. To jednak tylko teoria.

Na początku czerwca Sekcja Nauk Humanistycznych i Społecznych dysponowała oprócz pięciu recenzji dorobku kandydata także trzema tzw. superrecenzjami, sporządzonymi przez prof. Mirosławę Marodę (Instytut Studiów Społecznych Uniwersytetu Warszawskiego), prof. Krzysztofa Górlacha (Instytut Socjologii Wydziału Filozoficznego Uniwersytetu Jagiellońskiego) i prof. Rafała Drozdowskiego (Wydział Socjologii Uniwersytetu Adama Mickiewicza). Wszystkie trzy superrecenzje zawierały w konkluzjach opinię negatywną. Wniosek przepadł tym razem stosunkiem głosów 18 – za, 21 – przeciw, 5 – wstrzymujących się.

O sprawie dr. Zybortowicza pisałem w „Do Rzeczy” w maju ubiegłego roku. Już wtedy na stronach CK można było znaleźć recenzje dorobku doradcy prezydenta Andrzeja Dudy, w tym najbardziej kuriozalną z nich autorstwa prof. Marcina Króla. Tym razem treść recenzji autorstwa superrecenzentów dr. Zybortowicz poznał z „Gazety Wyborczej”, która z nieukrywaną satysfakcją poinformowała, że „Zyborto-

wicz nie będzie profesorem”. To, nawiasem mówiąc, nie tylko absurd, lecz także skandal: superrecenzji nie znajdziemy na stronach CK, choć cały proces powinien być stuprocentowo jawny. Znajdziemy je za to w postaci linków na stronach portalu gazety z Czerskiej. Ktoś powinien się chyba z tego wytłumaczyć.

RECENZJE I KONFLIKT INTERESÓW

Proces zatwierdzania wniosku o przyznanie przez prezydenta tytułu profesora zwyczajnego – wbrew temu, co można by sądzić – nie jest w stu procentach zobiektywizowany, bo tego nie da się zrobić. Mimo że ustawa zawiera kryteria, na podstawie których recenzenci mają oceniać całość dorobku kandydata, każda recenzja ma w sobie element uznaniowości. Dlatego właśnie recenzentów jest na początku pięcioro. Wybiera ich odpowiednia sekcja CK spośród listy 10 nazwisk, przedstawionej przez macierzystą radę wydziału, a ostateczna decyzja jest podejmowana w głosowaniu. Patrząc z zewnątrz, można by uznać, że skoro dostojne grono wniosków odrzuca, to sprawa jest jasna: kandydat nie zasługuje na tytuł profesorski. To jednak tylko pozory.

Punkt 2. spisu dobrych praktyk CK mówi: „Recenzent biorący udział w ocenie wniosku powinien odmówić udziału

w procesie jego oceniania, gdy występuje konflikt interesów pomiędzy nim a wnioskodawcą". Profesor Marcin Król, jeden z recenzentów dorobku Zybertowicza, był jednym z sygnatariuszy przedsądowego wezwania skierowanego do prezydenckiego doradcy za jego słowa, wygłoszone podczas debaty licealistów o Okrągłym Stole w lutym 2019 r.: „Dzisiaj wielu obserwatorów i komentatorów Okrągłego Stołu nie uświadamia sobie, jak głęboka prawda była w komentarzu Andrzeja Gwiazdy, po rozmowach Okrągłego Stołu, gdy powiedział: podczas Okrągłego Stołu władza podzieliła się władzą ze swoimi własnymi agentami". Niewiele zmienia tu fakt, że swoją recenzję prof. Król złożył wcześniej, w marcu 2018 r. Profesor Gorlach z kolei podpisał w 2016 r. list do wicepremiera Glińskiego, atakujący rząd za zmiany w Trybunale Konstytucyjnym. Czy to nie są konflikty interesów?

Recenzja prof. Króla jest zdawkowa i nawet dla laika jest jasne, że nie spełnia wymogów rzetelności. Kończy ją konkluzją, którą trudno traktować inaczej niż jako sarkazm: „Opinia moja jest wyjątkowo krótka, ponieważ przedstawione do oceny prace naukowe są nieliczne, a ich konkluzje na tyle niedopracowane, że trudno o polemikę. Jednak prace te są. Andrzej Zybertowicz kandyduje do tytułu profesora i trudno mu podstaw do tego zamiaru odmówić. Przy wszystkich zatem zastrzeżeniach opowiadam się za nadaniem Andrzejowi Zybertowiczowi naukowego tytułu profesora”.

Superrecenzje są aż trzy. To ewenement, ponieważ zwykle taka ponadplanowa recenzja, zamawiana przez przewodniczącego danej sekcji CK, jest jedna. Można to interpretować jako celowe poszukiwanie osób, które kandydaturę Zybertowicza utrąca. I faktycznie – wszystkie trzy superrecenzje kończą się negatywnymi konkluzjami.

Szczególnie mocną krytykę formuluje prof. Marody. Jej główne elementy to stwierdzenie, że stworzone przez dr. Zybertowicza po uzyskaniu habilitacji prace wskazują na „regres” wobec pracy habilitacyjnej oraz że jego książka „Samobójstwo oświecenia?” jest w dużej mierze tożsama z książką amerykańskiego medioznawcy prof. Neila Postmana (1931–2003), „Technopol: tryumf techniki nad kulturą”. W tej ostatniej kwestii recenzentka zarzuca też kandydatowi, że książka jest pracą zbiorową. Tyle że rzetelność jej ocen, pozostałych dwóch superrecenzji,

a także samego przebiegu posiedzenia komisji można zakwestionować.

Zrobiło to w obszernych pismach, skierowanych do prof. Jana Furtaka, przewodniczącego CK, dwóch członków komisji: profesorowie Tadeusz Żuchowski z Uniwersytetu Adama Mickiewicza oraz Bogusław Śliwerski z Uniwersytetu Łódzkiego. Ten pierwszy był członkiem Akademickiego Klubu Obywatelskiego im. Lecha Kaczyńskiego, ale z AKO wystąpił. Na swojej uczelni ma opinię naukowca całkowicie niezależnego, kierującego się wyłącznie kryteriami naukowymi. Profesora Śliwerskiego trudno zaś nazwać sympatykiem obecnej władzy. Z obu pisma wynika, że sprzeciw ich autorów budzi po prostu sposób działania CK.

„ZEMSTA POLITYCZNA”

Dotarłem do tych listów. Profesor Śliwerski pisze na wstępie: „Nie miałbym nic przeciwko temu, żeby głosować za odmową poparcia wniosku, gdyby nie sposób podejścia do niego jako swoistego rodzaju »zemsty politycznej« na Kandydacie w okresie trwającej kampanii wyborczej”. Autor listu wytyka superrecenzentom liczne uchybienia w ich recenzjach. O tekście prof. Marody pisze na przykład: „Powyższy zarzut [dotyczący książki „Samobójstwo oświecenia?”] nie powinien być wzięty pod uwagę przez Centralną Komisję, ponieważ cała recenzja ww. Profesor jest niezgodna z obowiązującym prawem. W przypadku wniosków profesorskich nie istnieje wymóg posiadania głównego osiągnięcia naukowego. Recenzentka pomyliła wymogi dotyczące wniosku habilitacyjnego z wnioskiem o nadanie tytułu! To jest oburzające, a w konkluzji nieuczciwe wobec Kandydata, który może tego typu dokument zaskarżyć. Nie wolno oceniać tylko i wyłącznie jednej książki”. Co więcej, prof. Śliwerski stwierdza, że książka dr. Zybertowicza nie powiela książki Postmana, którą zresztą swego czasu sam recenzował. Piszę też: „Nie będę odnosił się do argumentów socjologów, które moim zdaniem zostały przykrojone do finalnej konkluzji, jakże rozbieżnej z faktycznymi osiągnięciami Kandydata”.

Autor drugiego listu, prof. Żuchowski, zaczyna od stwierdzenia, że „zazwyczaj problemem Sekcji, której jestem członkiem, jest zbyt łagodne traktowanie dorobku naukowego kandydatów do tytułu. Pierwszy raz stałem się świadkiem zabiegów, których celem jest zupełnie coś przeciwnego”. Profesor Żuchowski

wytyka formalne błędy autorowi kolejnej superrecenzji, prof. Gorlachowi, oskarżając go o to, że swoją ocenę oparł na złym rozumieniu ustawy o stopniach naukowych, i przypomina swoje słowa podczas pierwszej dyskusji nad wnioskiem w sprawie Zybertowicza: „Stwierdziłem między innymi, że są kryteria stosowane do wniosków profesorskich i specjalne kryteria przyjęte do wniosku profesorskiego dr. hab. Zybertowicza. Gdyby te ostatnie uczynić obowiązującymi, Sekcja musiałaby poprzeć nie więcej niż dziesięć procent z dotychczas popieranych”.

Podczas spotkania 3 czerwca (zdalnego) prof. Żuchowski – jak pisze w liście – zarzucił ekspertom „nierzetelność wynikającą z niechęci do politycznych poglądów głoszonych przez dr. hab. Zybertowicza. Według mnie dobór ekspertów aż nadto to potwierdzał. W efekcie powstaje wrażenie, że »establishment polskich socjologów« robi wszystko, żeby dr hab. Zybertowicz nie uzyskał nominacji na profesora mimo oczywistych faktów”.

PO CO SYSTEM CENTRALNY?

Sprawa Andrzeja Zybertowicza – podobnie zresztą jak kiedyś sprawa habilitacji Marka Migalskiego – każe postawić ponownie pytanie o sprawność i rzetelność systemu przyznawania stopni naukowych. Centralna Komisja kończy już działalność. W jej miejsce został powołany nowy organ: Rada Doskonałości Naukowej. Znalazło się w niej wielu członków CK. Tymczasem powinniśmy postawić pytanie o to, czy sam tytuł profesora w obecnym wydaniu jest w ogóle potrzebny. W międzywojennej Polsce profesorami zostawali ci, którzy obejmowali katedrę profesorską, aczkolwiek przyznanie tejże musiało mieć akceptację ogółu profesorów i ministra. W świecie anglosaskim jest podobnie – tytuł profesora jest powiązany z katedrą. Nikt centralnie profesorów nie mianuje.

Czy w Polsce w ogóle muszą istnieć profesorowie mianowani przez prezydenta? Czy nie lepiej skasować tę okazję do powstawania i funkcjonowania kół wzajemnej adoracji, które wykorzystują swoją pozycję, żeby utrudniać życie tym, z którymi politycznie im nie po drodze albo którzy zwyczajnie budzą zawiść swoją popularnością medialną (to również przypadek dr. Zybertowicza)? Czy to nie element zbędnej autocelebry środowiska naukowego, bez którego doskonale polska nauka mogłaby się obyć?

TOMASZ P. TERLIKOWSKI: Jednym z twoich najczęściej powracających wezwań jest przypomnienie o konieczności walki z homolobby. Często odpowiedź na nie brzmi, że molestowane są także dziewczynki i że jest głęboką niesprawiedliwością zestawianie homoseksualizmu i pedofilii czy robienie z homoseksualistów kozła ofiarnego. Jak odpowiedziałbyś na te zarzuty?

KS. TADEUSZ ISAKOWICZ-ZALESKI: Trochę już o tym mówiliśmy, ale pozwolisz, że przypomnę kilka podstawowych faktów. Po pierwsze, nikt nie utożsamia pedofilii z homoseksualizmem. To dwa różne zjawiska, zarówno pod względem prawnym, jak i moralnym. Mówię jedynie o tym, że w Kościele (sytuację poza nim pozostawiam do oceny innym) nie da się rozważać tych dwóch zjawisk odrębnie. Aby zrozumieć problem nie tyle nawet wykorzystywania nieletnich, ile systemowego krycia takich przypadków, nie da się abstrahować od kwestii lawendowych powiązań. Wyjaśnię w tym miejscu, że dorastających chłopców czy młodych mężczyzn molestowanych przez duchownych jest więcej, niż wskazywałyby na to rozkład homo- i heteroseksualistów w przeciętnej społeczności...

... krytycy odpowiedzą, że powodem jest „łatwiejsza dostępność” chłopców czy młodych mężczyzn.

To akurat bzdura, bo w naszych parafiach jest więcej dziewcząt niż chłopców i wbrew pozorom to do nich jest łatwiejszy dostęp. Powody są inne; jednym z nich wydaje się pewna nadreprezentacja homoseksualistów wśród duchownych. Jednak istotniejszy jest drugi element wzajemnego powiązania tych dwóch odmiennych zjawisk, a jest nim fakt, że gdy wybucha afera, homolobby bardzo często blokuje możliwość głębszych wyjaśnień.

Taką tezę stawia w „Sodomie” pisarz i działacz gejowski Frédéric Martel. Jego zdaniem nie jest tak, że to homoseksualiści (jawni lub ukryci, konserwatywni lub liberalni, praktykujący lub nie) głównie molestują, ale że ich tendencja do ukrywania się i do współpracy w hipokryzji sprawia, iż uczestniczą w systemowym zatajaniu przestępstw seksualnych, tak żeby ich czynny, bardzo często zresztą niemający znamion przestępstwa, nie wyszły na jaw.

Nie do końca zgadzam się z diagnozą Martela, bo moim zdaniem nie wolno lekceważyć także nadreprezentacji wykorzystanych chłopców, ale faktem jest, że homolobby nie jest zainteresowane oczyszczeniem Kościoła, uporządkowaniem pewnych spraw, jawnością, bo to zagraża także sytuacji jego członków. Problem jednak

jest głębszy i nie dotyczy tylko przestępstw seksualnych czy hipokryzji, lecz także całej formacji. Jeśli lawendowe powiązania istnieją w Kościele, jeśli – jak pisał Benedykt XVI – w niektórych seminariach powstały niemal „kluby gejowskie”, jeśli są amerykańskie diecezje, w których prawie połowa albo nawet ponad połowa duchownych to homoseksualiści, to musi to wpływać na formację w seminariach, na relacje księży, na sam styl sprawowania posługi kapłańskiej.

W Polsce możemy mieć podobne problemy?

Jeśli jednym z wychowawców wielu pokoleń polskich opiekunów i ojców duchownych w seminariach był wykładowca KUL, ks. prof. Walerian Słomka, skazany

seminarium. Nie twierdzę, że takiego nie ma, ale że problem jest duży. To nie tak, że wiem o nim tylko ja czy ty; to jest wiedza powszechna, a jednak nie słychać szerokiej dyskusji między polskimi teologami i rektorami seminariów o tym, jak to zmienić. Gdzie jest burza mózgów, jak rozwiązać ten problem?

Problem, który – dodajmy – zniszczył wykształcenie seminaryjne, choćby w Irlandii. Gdy zorientowano się tam, jaka jest skala problemu, rozwiązano seminaria i powołano jedno. Po kilkunastu latach okazało się jednak, że i tam homoseksualne struktury są bardzo mocne. W efekcie kilku biskupów wycofało swoich kleryków również z centralnego seminarium.



Z ks. Tadeuszem Isakowiczem-Zaleskim
rozmawia Tomasz P. Terlikowski

Samymi słowami nie da się zmienić Kościoła

za molestowanie nieletnich chłopców, to odpowiedź jest oczywista. Ale żeby uświadomić skalę problemu, podam jeszcze jeden przykład. Zwrócił się do mnie młody człowiek, który zaraz po maturze poszedł do seminarium. Uciekł po pół roku – mówił, że trafił do środowiska czyisto gejowskiego. Nadal jest człowiekiem głęboko wierzącym, praktykującym, podjął studia świeckie, a po nich chce spróbować jeszcze raz wstąpić do seminarium. Dlatego napisał do mnie, bym wskazał mu seminarium, w którym nie ma gejów. I już samo to stanowi bolesny dowód, jaka jest skala zjawiska.

Co mu odpowiedziałeś?

Poza tym, żeby skończył studia świeckie, to nic, bo ja nie wiem, gdzie jest takie

Dokładnie te same struktury zniszczyły seminarium polskie w Stanach Zjednoczonych. To jest instytucja duchowo martwa, właśnie z tego powodu.

I nic się z tym nie robi?

Niewiele. Struktury zła tkwią zbyt wysoko i nikt nie jest zainteresowany ich zniszczeniem. Gdy Benedykt XVI próbował to zrobić, ostatecznie przegrał i zapewne właśnie ta klęska była jednym z powodów jego rezygnacji. Istnieje jeszcze jeden aspekt, przez który niewiele daje się zrobić. Otóż Kościół w ostatnich dziesięcioleciach opanowała mentalność korporacyjna. A korporacja za wszelką cenę broni swojego wizerunku. I tak będzie dopóty, dopóki będą jakieś pieniądze.

A obecny papież nie wymusi zmiany?

Papież Franciszek ma bardzo mądre i głębokie refleksje na temat przyczyn kryzysu, ale niewiele może albo chce zrobić. Wystarczy spojrzeć na sytuację w Polsce. Nuncjuszem, czyli przedstawicielem Ojca Świętego, jest człowiek, który nie reaguje na skargi, nie przekazuje ich dalej, brata się z biskupami, wobec których stawiane są najmocniejsze zarzuty. Samymi słowami nie da się zmienić Kościoła.

To może bunt świeckich?

Nie jestem zwolennikiem buntów ani akcji protestacyjnych, ale rozsądnego działania środowisk świeckich i części księży. Dobrym przykładem takiego

się na metropolitę, przedstawia poważne zarzuty, nie pierwsze przecież, i nic się nie zmienia. Nic. Arcybiskup spokojnie doczekał do emerytury. Trudno więc nie postawić pytania, gdzie jest nuncjusz apostolski. Gdzie jest przewodniczący Konferencji Episkopatu Polski? Dlaczego nikt nie próbuje zatrzymać patologii, która dręczy nasz Kościół?

Może cała nasza energia idzie na walkę z ideologią LGBTQ?

To jest ważna walka, nie można jej ignorować, ale jeśli toleruje się struktury gejowskie w swoich szeregach, to traci się wiarygodność również w tej sprawie.

Dlaczego walka z ideologią LGBTQ jest ważna?

robią ze swojego życia narzędzia politycznej i ideologicznej wojny. Oczywiście przyjmują nauczanie Kościoła w sprawie oceny moralnej takich aktów, przyjmują nauczanie Pisma Świętego, ale pamiętam, że każdy z nas jest grzesznikiem. Nie wolno nam jednak z grzechu czynić cnoty, a z propagowania go ideologii politycznej. W tej kwestii zgadzam się z naszymi biskupami, także z moim metropolitą, abp. Markiem Jędraszewskim. Zarzucam im jedynie, że w tej walce nie są wiarygodni, bo nie robią porządków na własnym podwórku, dopuszczając na nim istnienie struktur gejowskich oraz wykorzystywanie nieletnich i bezbronnych dorosłych. Nie da się zwalczać jednego, a tolerować drugiego, bo to są dwie strony tego samego zjawiska. Jednego w świecie, a drugiego w Kościele. Ludzie nie wybaczą nam podwójnych standardów, potępienia u innych tego, co u siebie tolerujemy.

Z tego można wyciągnąć wniosek – i na przykład o. James Martin SJ to robi – że zamiast walczyć z homoseksualnymi strukturami (on by powiedział: z homoseksualnymi księżmi), trzeba zaakceptować homoseksualizm jako coś zgodnego z naturą i dopuszczać go w Kościele, jako dar Boży...

To jezuita...

... ale ja go cytuję jako element pewnego stylu myślenia o Kościele. Identyczne opinie prezentuje część niemieckich teologów, którzy chcą wykorzystać drogę synodálną do tego, by ten styl myślenia przepchnąć w całym Kościele.

Tyle że aby to zrobić, trzeba by odrzucić całe nauczanie Pisma Świętego, a także wielką Tradycję Kościoła.

Wygląda jednak na to, że antropologia, etyka, rozumienie miłości, seksualności będą, a w zasadzie już są, tematami głęboko dzielącymi katolików. Nie spieramy się obecnie o Eucharystię, o dogmaty chrystologiczne, ale właśnie o kwestie moralne. Teologia ciała, głęboko, ale także krytycznie przemyślana, jest odpowiedzią na wiele pytań; konieczne jest jednak jej rozwijanie, a nie tylko powtarzanie. Zwłaszcza że nauki – przede wszystkim społeczne i neuronauki – stawiają nowe pytania i problemy, z którymi także trzeba się zmierzyć.

Zgadzam się, ale właśnie dlatego pytam, gdzie dyskusja na ten temat na polskich uniwersytetach katolickich? Gdzie spór? Gdzie wreszcie szukanie dobrych odpowiedzi? © Wszelkie prawa zastrzeżone



FOT. ADAM KHELOSTOWSKI/FOKUS

działania był list w sprawie pochówku w archikatedrze poznańskiej abp. Juliusza Paetza. Grupa świeckich liderów, kilku zacnych księży i udało się...

... ale księża potem za to zapłacili zakazami wypowiedzi.

To niestety prawda, która mi uświadamia, że daleka droga przed nami, ale innej nie ma. Wyprowadzanie ludzi na ulice, przed kurie to tylko wzmacnianie antyklerykalizmu i oporu struktur. Mówię to, choć wiem, że trudno znieść sytuację, gdy nic się nie zmienia, gdy próby załatwienia jakiejś sprawy kończą się niczym, gdy strategia „na przeczekanie” niemal zawsze się sprawdza. Zobacz, co się dzieje w Gdańsku: 16 księży – podpisanych imieniem i nazwiskiem – skarży

Niestety widzimy, jak mniejszość narzuca większości poprawność polityczną, jak tworzy się nową cenzurę, jak oskarża się wykładowców o to, że w czasie wykładu przypominają o chrześcijańskiej koncepcji moralności, jak wreszcie samą koncepcję normy uznaje się za niedopuszczalny faszyzm czy skandaliczną homofobię. Na to zwyczajnie nie wolno się zgodzić. I nie chodzi o to, by stygmatyzować homoseksualistów, by oceniać ich; chodzi o sprzeciw wobec pewnej formy ideologii. Sam znam osoby o takich skłonnościach, wiele z nich cenię, ale one nie



KS. TADEUSZ ISAKOWICZ-ZALESKI, TOMASZ TERLIKOWSKI „KOŚCIÓŁ MA BYĆ PRZEZROCZYSTY” ESPRIT 2020

ŁUKASZ KAPIEL: Stowarzyszenie im. Księdza Piotra Skargi wyprodukowało film pt. „Ich prawdziwe cele”. Skąd taki pomysł?

ARKADIUSZ STELMACH: Obserwujemy postępy wielkiej rewolucji obyczajowej, której częścią była rewolucja seksualna zapoczątkowana w latach 20. i 30. XX w. To proces, w którym co jakiś czas dochodzi do regularnych przyspieszeń. Taką właśnie rolę odgrywały wydarzenia z maja 1968 r., którym poświęciliśmy inny nasz film – „Rewolucję totalnej wolności”. Obecnie w przyspieszenie zmian zaangażowały się niektóre rządy zachodnich wpływowych państw oraz międzynarodowe organizacje na czele z ONZ i jej agendami. Chociaż ta rewolucja ma bardzo prohomoseksualny charakter, to dziś do jej agendy włączono także kolejne cele.

To naprawdę „rewolucja”? Przecież ciągle słyszymy, że chodzi „tylko o ludzi”...

Tak, w końcu obejmuje ona wszystkie dziedziny życia – indywidualnego i społecznego. Mówią o tym sami jej twórcy i teoretycy. Zresztą, w wielu zachodnich krajach obserwujemy ją w praktyce w postaci polityki „gender mainstreaming”. Konkretne założenia i koncepcje dotyczące płci oraz funkcjonowania społeczeństwa stają się centralnym punktem kształtującym rzeczywistość zgodnie z zapotrzebowaniem elit politycznych. Zmienić mają się: całe społeczeństwo, polityka, a nawet – niestety – życie religijne. Tej wizji nie można pogodzić z klasyczną antropologią ani chrześcijańskim sposobem postrzegania człowieka. To projekt świata deprawującego prawo naturalne i nie powinniśmy się temu dziwić, bo wyrasta on z myśli neomarksistowskiej. Tworzeniu nowej rzeczywistości służy „gender mainstre-



Z Arkadiuszem Stelmachem, wiceprezesem zarządu Stowarzyszenia im. Księdza Piotra Skargi rozmawia Łukasz Kapiel

Ujawniony cel

aming”. Jak zresztą powtarza ks. Dariusz Oko, aktywiści tego ruchu często sprawiają wrażenie, jakby byli opętani seksem. To też nie powinno nikogo dziwić, wystarczy sięgnąć do pism Wilhelma Reicha, Herberta Marcusego czy Judith Butler. Człowiek jest redukowany do seksualności i ma być wyzwany przez znoszenie norm moralnych i kulturowych.

Taka genderowa perspektywa serwowana jest także dzieciom i nastolatkom. Mieliśmy tego przykład: standardy dotyczące edukacji seksualnej, oficjalnie zalecane przez WHO. W praktyce sprowadzają się one do działań skandalicznych i gorszycielskich, pomijając zupełnie prawa i odpowiedzialność rodziców. Ta metoda przyjęta przez animatorów tej rewolucji polega na wchodzeniu do instytucji edukacyjnych, indoktrynowaniu od zółbka przez szkoły podstawowe i średnie do uniwersytetów. Mamy do czynienia z ideologią wchodzącą do świata biznesu oraz wielkich korporacji i naiwnie byłoby sądzić, że pozwoli ona na istnienie enklaw tworzonych przez ludzi mających inne zdanie.

„Ich prawdziwe cele” to film demaskatorski?



Arkadiusz Stelmach – wiceprezes zarządu Stowarzyszenia im. Księdza Piotra Skargi; stowarzyszenie działa od 1999 r., skupiając katolików świeckich; jest instytucją non profit propagującą wartości chrześcijańskie.

Po części tak. Mamy do czynienia z rewolucją i musimy bić na alarm, pokazywać, z czym tak naprawdę mamy do czynienia. To ostatni moment, żeby powstrzymać jej pochód i coś jeszcze uratować. Jeśli pozostaniemy bierni, to nastąpi zanegowanie tradycyjnego modelu rodziny i małżeństwa jako związku kobiety i mężczyzny.

Film został usunięty z serwisu YouTube. Zaskoczenie?

Nie, oczywiście spodziewaliśmy się takiej reakcji. Tym bardziej że tego doświadczyło także wiele innych mediów. Cenzura staje się coraz bardziej bezwzględna i – momentami – trudna do uchwycenia. „Niepoprawne” politycznie treści są demonetyzowane, ich twórcy muszą się liczyć z ograniczaniem dostępu, usuwaniem materiałów, a także z usuwaniem całych kanałów. Dzieje się tak w sposób zupełnie uznaniowy, a widzimy, że na celowniku są głównie media konserwatywne i prawicowe oraz każdy, kto ośmiela się sprzeciwiać rewolucji LGBT. To tym ciekawsze, że w „Ich prawdziwych celach” głos oddajemy „drugiej stronie” – prezentujemy aktywność i postulaty artykułowane przez to środowisko – i je-

steśmy przez to oskarżani o „mowę nienawiści”. Absurdalna sytuacja, ale absurd jest zawsze częścią smutnej rzeczywistości rewolucji obyczajowej.

„Mowa nienawiści” to bardzo poręczna rzecz...

Przypominająca pałkę, którą w dowolnej chwili – bez względu na fakty – można dzielić każdego, kto naraził się strażnikom rewolucji. Mimo tego na platformie Youtube.com film odnotował ponad 60 tys. odsłon. Dalej można go obejrzeć na portalu PCh24.pl.

Równocześnie skrót „LGBT” zrobił niesłychaną karierę w trakcie kampanii wyborczej. Ciągłe słyszeliśmy od „drugiej strony”, że nie ma żadnej ideologii, są tylko ludzie.

Tak, co więcej: że nigdy nie było, nie ma i nie będzie takiej ideologii. To kolejny absurd. Tam, gdzie mamy określoną grupę ludzi mającą własną wizję człowieka, historii i społeczeństwa, która ma swoje cele i wyobrażenie co do historycznej roli do odegrania, tam mamy ideologię. Tym bardziej że zgłasza ona polityczne postulaty, które... wskazują na realne, totalniackie ambicje. To naturalne, że chcemy zderzać zapewnienia i PR-owskie zabiegi z rzeczywistością, oceniać w perspektywie prawa naturalnego, klasycznej antropologii filozoficznej. Z jaką spotykamy się reakcją? Wyciągane są dobrze znane, dyskredytujące epitety: „faszysta”, „homofob”, „nienawistnik” itd. A w przypadku parad homoseksualnych obserwować możemy równocześnie niesamowite natężenie agresji i szyderstwa wymierzonego przede wszystkim w chrześcijaństwo, aż do deptania najświętszych wartości. To bardzo wymowne, że ta „walka z mową nienawiści” działa tylko w jedną stronę. © Wszelkie prawa zastrzeżone

DEBATY Z CYKLU „CZAS PRZEDSIĘBIORCÓW”

Czy tarcza antykryzysowa była dobrze zaadresowana? Ile firm z niej skorzystało? Czy wsparcie zostało uruchomione na czas? Dziennikarze Telewizji Republika rozliczają rząd z jego działań za ostatnie cztery miesiące.

Jolanta Pawlak i Krystian Kaźmierczyk podczas czterech debat ekonomicznych z cyklu „Czas Przedsiębiorców” przyglądali się skuteczności rządowej tarczy antykryzysowej i tarczy finansowej. Pytali ekspertów, ministrów i przedstawicieli funduszy, czy działania były efektywne i w jaki sposób realnie pomogły przedsiębiorcom.

Podczas głównej debaty minister Małąg przekonywała, że możemy zachować umiarkowany optymizm, gdyż wdrożone instrumenty chronią rynek pracy. – „Wsparcie dla miejsc pracy to przede wszystkim tarcza antykryzysowa. W sumie zostało wydanych 100 miliardów złotych” – poinformowała minister. – „Szacujemy, że ochroniliśmy 5 milionów miejsc pracy. W efekcie stopa bezrobocia wynosi 6 proc. Pod koniec czerwca zarejestrowaliśmy ok. 84 tysiące ofert pracy, a ta sytuacja się poprawia również, jeśli chodzi o rejestracje firm w CEIDG. Dniem krytycznym był 11 marca, kiedy najwięcej firm się zamknęło. Natomiast na koniec czerwca zanotowaliśmy przyrost 19 tysięcy nowych przedsiębiorstw. Zatem gospodarka nabiera oddechu” – przekonywała Marlena Małąg, minister rodziny, pracy i polityki społecznej.



CZAS PRZEDSIĘBIORCÓW

Zerwane łańcuchy powiązań gospodarczych

Redaktor Pawlak przyjrzała się, jak sprawdziły się instrumenty finansowe wdrożone przez Agencję Rozwoju Przemysłu, takie jak pożyczki obrotowe na finansowanie deficytów w kapitale obrotowym i pożyczki obrotowe finansujące wypłatę wynagrodzeń w sektorze MŚP. – „W obecnej fazie wychodzenia z przestoju gospodarczego wywołanego epidemią istotne jest, aby wszystkie łańcuchy powiązań gospodarczych, które zostały zerwane, płynnie przywrócić. Mamy szereg przedsiębiorców, którym środki pomocowe nie wystarczyły, aby odbudować swoje moce produkcyjne lub by w dłuższej perspektywie zatrzymać zatrudnienie sprzed epidemii. Właśnie tacy

przedsiębiorcy zgłaszają się do agencji rozwoju przemysłu z wnioskami, by finansować ich w dłuższej perspektywie” – mówił prof. Konrad Trzonkowski z Agencji Rozwoju Przemysłu. Deklarował, że rozszerzono program tarczy leasingowej o nowe finansowanie środków trwałych. Poszerzono ofertę również o pożyczkę na wypłatę wynagrodzeń dla przedsiębiorców. – „Trzeci nasz produkt to finansowanie deficytu w kapitale obrotowym. W tej chwili w procesie pożyczkowym mamy już transakcje na prawie 400 milionów złotych. Przy utrzymaniu tej trajektorii zakładam, że w ciągu następnych 17 tygodni cały kapitał, który został nam powierzony, czyli kwota miliard siedemset milionów złotych, zostanie efektywnie rozdyskrebowana w sektorze przedsiębiorstw” – wyjaśniał na antenie Telewizji Republika prof. Trzonkowski.

Polski Fundusz Rozwoju w trzy tygodnie wdrożył system, oparty często o bardzo skomplikowane algorytmy. Efektem tarczy finansowej dla małych i średnich firm jest pomoc dla blisko 291 tysięcy przedsiębiorstw. – „Można mówić o tym, że wsparliśmy ok. 40 proc. wszystkich firm w Polsce na kwotę ponad 53 miliardy złotych. W tych firmach pracuje 2,7 miliona osób łącznie z właścicielami. To gigantyczna skala na dwa miesiące działania” – podsumował Bartosz Marcuk z Polskiego Funduszu Rozwoju. Wyjaśnił, że fundusz zapewnił firmom szybko i sprawnie płynność finansową, kładąc nacisk na to, aby nie zwalniały pracowników.



Zapytany o zadania na przyszłość Marcuk podkreślił konieczność skupienia się na inwestycjach. – „Istnieje fundusz inwestycji samorządowych oraz pocovidowy fundusz inwestycyjny oraz są środki unijne, z których należy korzystać. Drugą sprawą jest wypełnienie luki w poprzerywanych łańcuchach dostaw, w szczególności, kiedy Europa zdała sobie sprawę, że nie można całej produkcji transferować poza swój obszar. To szansa dla Polski. Trzecią kwestią jest digitalizacja wszystkich procesów, to niezwykle podnosi efektywność ich działania zarówno w mikro jak i makro skali” – wyjaśnił. W rezultacie możliwe, że uda się przećkać pandemię w impuls wdrażania rewolucyjnych zmian, których wprowadzenie w normalnych warunkach zajęłoby znacznie więcej czasu.

Opracowała Maria Kądzielska

SPONSORZY:



Łatwy łup Niemiec

W obu krajach rośnie zainteresowanie tamtymi wydarzeniami. W 2016 r. powstał znakomity norweski film znany pod polskim tytułem „Wybór króla” – choć chyba tytuł norweski, „Kongens nei”, a więc „Królewskie nie”, jest lepszy. Rok wcześniej na ekrany wszedł duński „9 April” („9 kwietnia”), kto wie, czy nie ciekawszy. Oba ukazują historię w Polsce prawie nieznaną, a tam coraz szerzej dyskutowaną. Czy król Norwegii Haakon VII słusznie uczynił, nie poddając się Niemcom – i zarazem czemu nie wszyscy Norwedzy walczyli, choć mieli taki obowiązek? Czy mała Dania miała w ogóle jakiegokolwiek szanse na stawianie oporu i dlaczego nie zdołała wykorzystać nawet tych sił, którymi dysponowała?

3 marca rozpoczęły się zdjęcia do filmu o bitwie o norweski Narwik, właśnie tej, w której brali udział Polacy. Pierwotnie miał być to międzynarodowy serial z budżetem o równowartości ok. 90 mln zł, ale zrezygnowano z niego, gdy wycofali się Brytyjczycy. Powstał nie jedynie dwugodzinny film za ok. 30 mln zł. Tyle że ze względu na epidemię nie wiadomo kiedy...

OPÓR PRZESZ DWA MIESIĄCE

– W Norwegii od wielu lat istnieje duże zainteresowanie drugą wojną światową. Jeśli możemy mówić o jakiejś tendencji, to właśnie o wzroście zainteresowania. Filmów o tamtym okresie przybywa; „Kongens nei” jest jednym z najważniejszych – mówi tygodnikowi „Do Rzeczy” Truls Velgaard, norweski polityk liberalno-konserwatywny, a przedtem dziennikarz i m.in. szef polskiego wydawnictwa Presspublica.

Norwegowie od lat mają problem z kampanią kwietniową 1940 r. Z jednej strony byli bowiem norwescy żołnierze, walczący dzielnie z przeważającymi siłami wroga. Wielu z nich broniło kraju naprawdę bohatercko. Z drugiej byli jednak zwolennicy współpracy z Niemcami, którzy poddawali się bardzo szybko. No i był też Vidkun Quisling, człowiek, który urósł do rangi symbolu, jeszcze przed wojną dążący do sojuszu z Niemcami, który w okupowanej Norwegii usiłował tworzyć podporządkowane Hitlerowi struktury władzy w oparciu o swoją niewielką partię Nasjonal Samling (Jedność Narodowa).

W filmie „Kongens nei” widać przede wszystkim tych pierwszych. O świecie 9 kwietnia do Oslofjordu wpłynęły okręty niemieckie z ciężkim krążow-



Niemieckie wojska wkraczają do Oslo

FOT. ULLSTEIN BILD OTL./GETTY IMAGES



Piotr Kościński

Ten fragment drugiej wojny światowej jest dla nas znany jedynie dlatego, że brali w nim udział Polacy. 9 kwietnia 1940 r. Niemcy zaatakowali Norwegię i Danię. Duńczycy stawiali opór przez kilka godzin, Norwedzy przez dwa miesiące. W walce tych ostatnich wspierali alianci, w tym polska Samodzielna Brygada Strzelców Podhalańskich

nikiem „Blücher” na czele. Fiord był ufortyfikowany, ale liczne działa po obu jego brzegach milczały. W starej fortecy Oscarsborg dowodził płk Birger Eriksen, który za pół roku miał przejść na emeryturę. Gdy o godz. 5.18 znajdujący się na sąsiedniej wyspie Kaholmen norweski reflektor omiotti cieśninę, pojawiła się duża sylwetka krążownika. Pułkownik Eriksen, mimo wątpliwości swoich podwładnych, uznał, że niezapowiedziany i nieoświadczony okręt to wróg, i wydał rozkaz oddania strzałów. Dwa mocno już przestarzałe, ale potężne działa, jak na ironię noszące nazwy „Moses” („Mojżesz”) i „Aaron”, wystrzeliły pociski 280 mm, które trafiły „Blüchera” płynącego w odległości zaledwie około kilometra i wzniciły na nim pożar.

Co prawda Norwegowie nie mieli możliwości ponownego załadowania dział, ale za to na wyspie Kaholmen znajdowały się również stare, ale starannie konserwowane wyrzutnie torped. Dwie torpedy trafiły niemiecki krążownik, który został bardzo poważnie uszkodzony i zaczął tonąć. To wszystko spowodowało, że Niemcy dotarli do Oslo później, niż zamierzali, a co za tym idzie – zdołali się ewakuować norweski król, rząd i parlament.

QUISLING I CELNI STRZELCY

Dyskusja o kolaborantach i Quislingu ciągnie się właściwie od niemieckiej kapitulacji w 1945 r. Teraz trwa przede wszystkim w mediach. Dziennik „Dagsavisen” w ubiegłym roku wskazywał, że Hitlerowi Quisling wcale nie był potrzebny. Führer III Rzeszy miał nadzieję, że przekona króla Haakona VII i norweski rząd do współpracy. Mający nikłe społeczne poparcie lider małej partycji był w tym jedynie przeszkodą. Wrogo nastawiona Norwegia byłaby dla Niemców jedynie poważnym kłopotem. I takim się stała; po królewskim „nie” Quisling otrzymał co prawda pozory władzy, ale większość społeczeństwa była do niego nastawiona wrogo.

Dopiero niedawno pojawiły się nieznane wcześniej dokumenty, że Vidkun Quisling najprawdopodobniej świadomie brał udział w eksterminacji norweskich Żydów. Część z nich zdołała uciec (zwłaszcza do Szwecji), ale blisko 800 wywieziono do Niemiec i następnie zginęli w obozach śmierci. Lider Nasjonal Samling dowodził podczas powojennego procesu, że nic nie wiedział o tym, co ich czeka. Ostatecznie skazany został na śmierć za

zdradę stanu, a nie za udział w zbrodni na ludności żydowskiej. Wokół tej sprawy toczy się debata – jak było naprawdę? Czy przywódca norweskich nazistów, mając chociażby dostęp do szwedzkich gazet i radia, które o eksterminacji Żydów mówiły, miał świadomość, do czego prowadzi wywózka Żydów?

Ostatnie miesiące to wręcz wysyp artykułów na temat niemieckiej agresji i norweskiej na nią odpowiedzi. Gazety ekscytują się, że pod Narwikiem Norwegowie strzelali lepiej niż Niemcy – i to nie tylko dlatego, że ich karabiny typu Krag-Jørgensen były lepsze od niemieckich mause-rów. – Sam to widziałem. Jeden samotny norweski strzelec potrafił zatrzymać całą niemiecką drużynę żołnierzy na pół dnia – miał powiedzieć niemiecki dowódca, gen. Nikolaus von Falkenhorst. Można też przeczytać, że Niemcy mieli swoją tajną broń – amfetaminę, a mówiąc ściśle, zawierającą ją tabletki o nazwie Pervitin. Użyli jej w Norwegii, potem we Francji i na każdym froncie drugiej wojny światowej.

Wspominane są też dramatyczne chwile. Takimi było zatopienie dwóch starych pancerników obrony wybrzeża 9 kwietnia w Narwiku, kilka tygodni przed tym, nim zaczęła się walka o to miasto z udziałem Polaków, Brytyjczyków i Francuzów. „Eidsvold” zatonął, zanim oddał pierwszy strzał, w 15 sekund. Na 185 członków załogi przeżyło ośmiu. Niewiele później strzelac zaczął pancernik „Norge”, ale i on, trafiony torpedą, zatonął błyskawicznie. Spośród 191 oficerów i marynarzy uratowało się 90...

OPÓR PRZES DWE GODZINY

– Każdego roku rośnie liczba nowych książek dotyczących drugiej wojny światowej, wydawanych w języku duńskim – mówi tygodnikowi „Do Rzeczy” duński dziennikarz Uffe Gardel.

W przypadku małej Danii problem jest oczywiście inny: Czy w ogóle była szansa na stawienie skutecznego oporu? Pewno nie, ale na pewno można było zdziałać dużo więcej, niż zrobiono. Gdy niemieckie okręty przyplwały do portu w Kopenhadze, milczały potężne działa położonej na wyspie fortecy Middelgrundsfortet. Później ustalono, że nieprzeszkolona załoga nie potrafiła ich załadować (!). Milczały też działa okrętów w kopenhaskiej bazie Holmen, a pobliską twierdzę Kastellet Niemcy zajęli podstępem. Do strzelaniny doszło dopiero w pobliżu pałacu królewskiego

Amalienborg. Niemiecka agresja zaczęła się o godz. 4, o godz. 6 rząd duński podjął decyzję o kapitulacji (po groźbie zbombardowania Kopenhagi), a wiadomość o tym dotarła na Jutlandię dopiero ok. 8.

I właśnie wydarzenia z Jutlandii ukazuje „9 April”. Plutonowi kolarzy – czyli żołnierzy na rowerach – wspartemu przez motocyklistów z działkiem 20 mm rozkazano zatrzymać Niemców na południe od miasta Haderslev. Usiłowali powstrzymać czołgi i samochody pancerne – oczywiście bezskutecznie. Potem rozgorzała krótka bitwa o samo miasto.

Dla nas, w Polsce, może się to wydawać śmieszne. Dla Duńczyków to był dramat: niewielka grupka żołnierzy miała powstrzymać potężnego przeciwnika. Usiłowali – i dla Duńczyków są bohaterami. W ostatnim okresie w Danii włożono sporo wysiłku w zrekonstruowanie przebiegu tamtych wydarzeń. Według dotychczasowych danych w czasie kilkugodzinnych walk zabitych zostało kilkunastu obrońców i niewielu więcej napastników. Ale są też szacunki, że tak naprawdę Niemcy stracili ponad dwie setki żołnierzy. Dyskusja trwa. Na marginesie możemy sobie wyobrazić, jak musieli się czuć sami Niemcy – zginąć pod Stalingradem to honor dla żołnierza. Ale utracić życie podczas ataku na duńskie Haderslev?

W niewielkim wyspiarskim kraju dyskusja o drugiej wojnie światowej ma znaczenie inne niż w Polsce. Oni nie mogli liczyć na niczyją pomoc. Mieli tylko nadzieję, że powtórzy się sytuacja z pierwszej wojny, kiedy to zachowali neutralność. Ich armia liczyła ok. 25 tys. żołnierzy, ponad 100 dział, ok. 50 samolotów bojowych (w większości przestarzałych). Niemcy mogli im przeciwstawić wielokrotnie większe siły. Tak czy inaczej Duńczycy są bardzo dumni zarówno z tych żołnierzy, którzy skutecznie walczyli 9 kwietnia 1940 r., jak i z członków ruchu oporu, z początku niewielkiego, a po sierpniu 1943 r. coraz bardziej aktywnego.

Tak dla Danii, jak Norwegii, doświadczenia wojenne są ważne. I nawet, w miarę upływu czasu, ich znaczenie nie maleje. Chyba dlatego, że wojna oznacza sytuacje ekstremalne, a te pokazują zdolność ludzi do działania. Dla tych stosunkowo małych krajów wydarzenia z kwietnia 1940 r. były chyba najbardziej ekstremalne w całym XX w.

TOMASZ ZBIGNIEW ZAPERT: Jaką rolę w PRL odgrywał trzepak?

WOJCIECH PRZYLIPIAK: To na pewno jedno z najbardziej charakterystycznych miejsc związanych z relaksem tamtego czasu. Stał praktycznie na każdym podwórku – szczególnie tym pomiędzy blokami. Bawiły się przy nim dzieciaki, flirtowała młodzież. Oczywiście teoretycznie służył do trzepania dywanów (w określonych godzinach), ale był to przede wszystkim punkt kontaktowy młodych mieszkańców domu czy osiedla. Można było się na nim pobawić, pogimnastykować, zastępował siatkę w grze w kometkę i siatkówkę, bywał futbolową bramką... Ów kawałek metalu wbity w ziemię albo – częściej – osadzono w betonie, więc nie był zanieczyszczony. Bez wątpienia stał się podwórkowym symbolem Polski Ludowej. Wiadomo było, że prawie zawsze spotka się tam jakiegoś kumpla, pozna lokalne plotki, a czasem nawet poderwie koleżankę. Nikomu nie przeszkadzało, że obok zazwyczaj funkcjonował śmietnik. Zwykle też w pobliżu znajdował się plac zabaw z piaskownicą, rozklekotanymi huśtawkami (częstokroć z opon), skrzypiącą i zardzewiałą karuzelą, a zimą ze ślizgawką wylewaną szlauchem przez miejscowego dozorcę.

Kapsle, pikuty, zośka – to zapomniane wynalazki tamtej epoki?

Może nie do końca, na pewno emblematyczne. Dzisiaj też się gra w zośkę, choć to raczej zabawa nie dla dzieci, lecz nastolatków. Kapsle były bardzo popularne za sprawą fascynacji Wyścigiem Pokoju. Każdy z młokosów chciał być Szurkowskim albo Szozdą. Wycinało się z atlasu flagi Polski, ZSRS, NRD, Czechosłowacji – czyli kolarskich potęg w tych zawodach – i nalepiało na kit, plastelinę albo stearynę we wnętrzu metalowych nasadek, po czym pstrykało po narysowanej kredą na asfalcie trasie. Bywały na niej przeszkody, więc była to raczej imitacja cyklistyki górskiej, wtedy jeszcze konkurencji praktycznie nieznaną. Graliśmy też w piaskownicy, co kojarzyło się z zapomnianym dziś kolarstwem przełajowym, w którym biało-czerwoni także pedałowali w czubie peletonu tudzież biegli na czele przez błotniste bezdroża, taszcząc rower na barku. Z kolei pikuty to jedna z bardziej niebezpiecznych rozrywek dzieciństwa w Polsce Ludowej. Każdy z chłopaków miał wówczas scyzoryk lub finkę. Nożem rzucało się w ziemię na podwórku,



Z Wojciechem Przylipiakiem,
autorem książki „Czas wolny w PRL”
rozmawia Tomasz Zbigniew Zapert

Trzepak z PRL

zdobywając „terytorium” przeciwnika. Stosowano rozmaite techniki. W ferworze emocji dochodziło do skaleczeń. Rany cięte i klute nie odstraszały od tej zabawy. Przeciwnie, najlepsi zyskiwali uznanie i szacunek.

W życiu ówczesnej dzieciarni obecna była pirotechnika?

Jak najbardziej. Dzisiaj to już jest w zasadzie niemożliwe, lecz wtedy wykorzystywaliśmy saletrę albo siarkę zeszkrobywaną z zapalek. Wszystko, co eksplodowało i błyskało, było – że użyję terminologii współczesnej – trendy. Popularnością cieszyły się kapiszony, czyli miniaturowe porcyjki materiałów wybuchowych ukryte pod papierową osłoną. Oprócz tego modne stało się tworzenie wulkanów na podwórku – wybuchających bez erupcji lawy – oraz strzelanie z puszek wypełnionych karbidem.

Modelarstwo, czołowe hobby tamtej epoki, poległo na skutek rozwoju informatyki?

Chyba w każdym domu kultury prężnie działały sekcje modelarskie grupujące entuzjastów w różnym wieku. Jedni tworzyli w kartonie, inni wybierali plastik, kolejni drewno. Konstruowano modele samolotów, statków, rakiet, samochodów, pociągów. Efekt pracy prezentowano na pokazach, konkursach i zlotach. Kluby zrzeszające tych hobbystów powstawały przy Lidze Obrony Kraju. Regularnym miejscem ich spotkań stały się składnice harcerskie, oferu-

jące modelarskie akcesoria. W drugiej połowie lat 80. coraz więcej nastolatków uległo czarowi komputerów, wideo, niebawem pojawiła się też telewizja satelitarna. Modelarstwo bez wątpienia straciło na popularności, lecz żyje, tyle że na mniejszą skalę. Podobnie jest z filateliastyką, numizmatyką i filumenistyką.

Kluby osiedlowe miały służyć integracji społecznej?

Na pewno, ale też władza chciała w ten sposób kontrolować to, co obywatele robią. Jak wyglądały takie miejsca, przekonują seriale „Czterdziestolatek” oraz „Alternatywy 4”. W cyklu Jerzego Gruzy próbę założenia klubu lokatorskiego podjął inżynier Stefan Karwowski (Andrzej Kopiczyński). Zorganizował w nim odczyt dyrektora Wardowskiego (Janusz Kłosiński) o znaczeniu Trasy Łazienkowskiej dla Warszawy. Eksperyment zakończył się fiaskiem, przybyła jedynie rodzina „Czterdziestolatek”, a on sam został przez sąsiada (Andrzej Stockinger) określony społecznikiem, i nie był to komplement. Podobnie w serialu Stanisława Barei, w którym widać, jak mieszkańcy ursynowskiego bloku grają w urządzonym w piwnicy lokum w karty, szachy, majsterkują, muzykują, ale też ulegają nałogom. Oprócz tych inicjatyw, jak je określano – oddolnych, funkcjonowały też Kluby Praktycznej Pani, uczące szycia, gotowania, kosmetyki, oraz Kluby Międzynarodowej Prasy i Książki (dziś znane jako empiki), dysponujące nawet prasą zza żelaznej kurtyny.



FOT. ELŻBIETA OPRZANOWSKA / GAST NEWS

Co kryje pojęcie „kinofikacja”?

Docieranie z filmem – w latach 50. i 60. zwłaszcza – do najdalszych zakątków kraju. Rozbudowywano sieć kin, letnimi wieczorami seanse organizowano pod chmurką, do miasteczek i wsi dojeżdżały kinowozy. Pokazywano „Polską Kronikę Filmową”, dominowały filmy sowieckie, ale też i telewizyjne produkcje, na przykład odcinki „Czterech pancernych i psa” czy „Stawki większe niż życie”. To było doskonałe narzędzie propagandowe, tym bardziej że jako dodatki wyświetlano krótkometrażówki piętnujące bumelan-tów, kulaków, sabotażystów, dzolców oraz brakorobów i tym podobne figury epoki oraz sławiące Plan Sześćioletni czy flagowe inwestycje Polski Ludowej. Zdarzało się, że przed projekcją prelegent wygłaszał referat zachwalający działania rządu. Oryginalnym zjawiskiem był pociąg kinowy. W 1953 r. na trasę Warszawa–Rogów wyruszył skład z wagonem-świetlicą. Takie specjalne kinokluby na szynach zatrzymywały się na bocznicach i tam pasażerowie wraz z okolicznymi mieszkańcami mogli obejrzeć film, a przy okazji się posilić w pociągowej stołówce.

Bardziej celebrowano urodziny czy imieniny Polski Ludowej? Obchodzono je podobnie czy inaczej? Sprawdzano listę obecności?

„Urodzinami PRL” nazywano rocznicę ogłoszenia Manifestu PKWN. 22 lipca – dzień wolny od pracy – państwo organizowało dla obywateli festyny, akademie i tym podobne okolicznościowe imprezy,

na których występowali popularni artyści i zespoły folklorystyczne. Brali w nich udział również działacze partyjni. Przed jubileuszem robiono w miastach generalne porządki, dekorowano wystawy sklepowe. Tego dnia oddawano do użytku sztandarowe projekty. Na przykład w roku 1955 Stadion Dziesięciolecia oraz Pałac Kultury i Nauki im. Józefa Stalina – o czym się dziś nie pamięta – chociaż stosowna inskrypcja jest ciągle widoczna nad wejściem do gmachu.

Z kolei „imieninami PRL” określano obchody 1 maja. Przed trybuną wypełnioną dygnitarzami defilowali robotnicy, rolnicy, nauczyciele, członkowie różnych organizacji społecznych, sportowcy, animatorzy kultury, uczniowie... Powiewały białoczerwone i czerwone chorągwie. Wznoszono okrzyki ku czci. Na transparentach sekowano wrogów klasowych. A po części oficjalnej odbywały się występy artystyczne, którym towarzyszyła konsumpcja dóbr trudno dostępnych. W zakładach pracy na ten czas nie udzielano urlopów, za to sprawdzano listy uczestników pochodów. Absencje wymagały usprawiedliwienia.

Skąd wziął się pomysł na święta branżowe?

To był sposób na uhonorowanie przodowników pracy, ale też okazja do pokazania się władzy. Jej przedstawiciele chętnie uczestniczyli w dniach górnika, hutnika, leśnika, metalowca, stocznio-wca, strażaka itp. Chętnie fotografowali się, wręczając odznaczenia i dyplomy wyróżnionym branżowcom.

Dlaczego ociekające propagandą Dni Prasy gromadziły tłumy?

Ponieważ zapraszano tam gwiazdy estrady i oferowano towary rzadko widywane w sklepach: czekoladę, pomarańcze, chałwę, piwo, rajstopy, dżinsy. „Trybuna Ludu” organizowała swe święto w spektakularnej lokalizacji na placu Defilad, w samym sercu stolicy. Przybyli gasili pragnienie wodą z saturatora, zakąszaną lodami Bambino bądź watą cukrową.

Organizowane w weekendy czyny społeczne także przytłaczała ideologia...

Oczywiście, bo bardzo często wiązały się one ze świętami państwowymi i zjazdami partii. Zależnie od rodzaju działań nazywano je czynami drogowymi, kolejowymi, w zakresie oświaty czy kultury.



WOJCIECH PRZYLIPIAK
„CZAS WOLNY
W PRL”
MUZA 2020

W zakładach pracy zwiększano produkcję, remontowano urządzenia albo sprzątano hale produkcyjne. W ramach pokazówek ochoczo uczestniczyli w nich notabie. Czasami przy okazji wspomagano spektakularne przedsięwzięcia. Choćby największe powojenne roboty melioracyjne w Polsce, czyli kanał Wieprz–Krzna (województwo lubelskie). Czynnów nie brakowało i na wsiach.

Wolne soboty należało odpracowywać?

Początkowo tak. Warto przy tym pamiętać, że pierwszą z nich państwo wprowadziło dopiero w lipcu 1973 r. Z biegiem lat przybywało ich, u schyłku dekady Gierka obowiązywała jedna w miesiącu. W sierpniu 1980 r. wśród postulatów umieszczonych przy bramie nr 2 Stoczni Gdańskiej przez Międzyzakładowy Komitet Strajkowy na ostatnim, 21. miejscu widniało, by „wprowadzić wszystkie soboty wolne od pracy”. Na mocy porozumień wolne stały się trzy soboty w miesiącu.

A jakie atrakcje oczekiwali w Polsce Ludowej wczasowicze?

Tu było bardzo różnie. W ośrodkach wypoczynkowych, podległych przeważnie Funduszowi Wczasów Pracowniczych, na urlopowiczów przede wszystkim czekał referent kulturalno-oświatowy, czyli kaowiec, organizujący im wieczorki zapoznawcze i pożegnalne, zawody sportowe, wyjścia do teatrów, kin, galerii, zwiedzanie okolicznych zabytków. W ośrodkach mieściły się biblioteki, świetlice z telewizorami, szafami grającymi, stołami do ping-ponga i bilarda. Jeśli przybysze wybierali popularne destynacje, typu Sopot, Zakopane, to korzystali z miejscowych przybytków. Z kawiarni na Krupówkach i dansingów w zakopiańskich knajpach, a nad morzem – ze słynnego sopockiego klubu Non-Stop. Nad jeziorami można było wypożyczać łódki, rowery wodne, kajaki, pływać żaglówkami. U schyłku PRL pojawiała się też grupa amatorów windsurfingu.

© Wszelkie prawa zastrzeżone



Wojciech Przylipek –

dziennikarz, kolekcjoner zabawek, komiksów i innych przedmiotów z epoki Commodore i składnic harcerskich. Prowadzi blog: Bufet PRL. „Czas wolny w PRL” jest jego książkowym debiutem.



PIOTR ZYCHOWICZ

REALHISTORIK

As pancerny na froncie wschodnim

Niebawem dotarliśmy do szosy, gdzie ujrzeliśmy trudny do opisanego widok: przed nami, na poboczu, stały jeden za drugim wypalone rosyjskie czołgi. Niektóre z wielkimi dziurami po pociskach artyleryjskich i czołgowych, inne zniszczone przez pilotów naszych myśliwców atakujących w locie koszącym. Tylko tego jednego przedpołudnia widzieliśmy zniszczone maszyny przynajmniej jednej pełnej sowieckiej dywizji pancernej. Do tego dochodziły działa różnego kalibru, kuchnie polowe i inny sprzęt wojenny. To było naprawdę nie do pojęcia”.

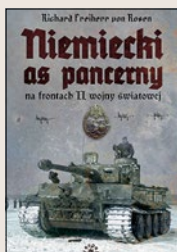
To fragment wspomnień Richarda Freiherra von Rosena, młodego niemieckiego czołgisty, który brał udział w operacji „Barbarossa”. W pierwszych tygodniach kampanii był świadkiem pogromu Armii Czerwonej. Jadąc na wschód, mijał nieprzebrane masy sowieckich jeńców odprowadzanych na tyły przez piechotę Wehrmachtu. Klęska Sowietów była totalna i – jak się wydawało latem 1941 r. – ostateczna.

Stało się jednak inaczej. Niemcy popełnili fatalne błędy polityczne i strategiczne. Opór Armii Czerwonej zgęstniał i osta-

tecznie Wehrmacht połamał sobie na bolszewii zęby. Wspomnienia von Rosena ukazują ten proces oczami dowódcy czołgu. W książce roi się od wartkich opisów pojedynków pancernych, potyczek i bitew. Ataków i odwrotów. Autor dokonywał na polach bitew niesamowitych czynów, rozbił wiele maszyn przeciwnika.

Sam był kilkakrotnie ranny. Niemal cudem wyrwał się z objęć śmierci. Wraz z grupą kolegów znalazł się poza linią wroga. Musiał porzucić czołg i – ścigany przez sowieciarzy – ukrył się w opuszczonym bunkrze. Z terytorium opanowanego przez bolszewików uciekł, przeprawiając się pod osłoną nocy przez Dniestr.

Książkę czyta się jak powieść przygodową. Ciekawa jest również ostatnia, powojenna część wspomnień asa pancernego. Rodzinna miejscowość von Rosena znalazła się pod okupacją francuską. Sprawowali ją francuscy komuniści, którzy – wraz komunistami niemieckimi – wprowadzili rządy terroru i bezprawia. Autor po wojnie został majorem Bundeswehry i w stan spoczynku przeszedł dopiero w 1982 r. ©©



★★★★★

**RICHARD
FREIHERR VON
ROSEN**
„NIEMIECKI
AS PANCERNY
NA FRONTACH
II WOJNY
ŚWIATOWEJ”
VESPER



SŁAWOMIR KOPER

HISTORIA WIECZNIE ŻYWA

Pokój w Kaliszu

Kazimierz przez potomnych zwany Wielkim obejmował władzę w katastrofalnej sytuacji politycznej. Za kilka miesięcy miał wygasnąć rozejm z zakonem krzyżackim, nieco później z Brandenburgią. Król Czech, Jan Luksemburski, nie zapomniał o pretensjach do tronu polskiego, a jego zwierzchnictwo uznawali

w zamian za 20 tys. kóp groszy praskich. To była ogromna kwota, więcej niż roczne dochody królewskie z kopalni soli. Ale Kazimierz osiągnął cel, zapłacił bardzo drogo, ale kupił pokój na dłuższy czas. Postanowił też odsunąć zagrożenie krzyżackie. Skoro nie przyniosły efektów sąd arbitrażowy ani sąd papieski, podpisał w Kaliszu pokój z zakonem. Krzyżacy opuścili Kujawy i ziemię dobrzyńską, ale zachowali Pomorze. Król osiągnął maksimum tego, co mógł w takiej sytuacji.

Zawarcie pokoju w Kaliszu było błędem polityków krzyżackich

większość Piastów śląskich oraz książę Płocka. Na progu panowania młody król musiał rozwiązać problemy, które przyniosła awanturnicza polityka jego ojca.

Nie tracił czasu i jeszcze przed koronacją prołongował rozejm z zakonem na kolejny rok. Niebawem zawieszenie broni zostało ponownie przedłużone i stało się oczywiste, że Kazimierz nie zamierza dopuścić do wybuchu wojny. Król i jego doradcy zdawali sobie sprawę z tego, że państwo polskie nie ma żadnych szans w otwartej walce z wojowniczymi mniłymi. Zdecydowali czekać i próbować osiągnąć sukcesy metodami dyplomatycznymi. To była powolna droga, ale rokowała większe nadzieje niż rozwiązania siłowe.

Kazimierz odnowił rozejm z Brandenburgią, a Jan Luksemburski zrezygnował z pretensji do polskiej korony

Uroczystość zawarcia pokoju odbyła się zgodnie z rycerskimi obyczajami. 8 lipca 1343 r. Kazimierz i wielki mistrz krzyżacki spotkali się w pobliżu Inowrocławia. Podjechali do siebie konno i podali sobie dokumenty pokojowe. Następnie wymienili pocałunek pokoju i każdy z nich pojechał w swoją stronę.

Zawarcie pokoju w Kaliszu było poważnym błędem polityków krzyżackich. Zakon nie zniszczył słabego państwa polskiego i pozwolił na wzmocnienie sił. Kazimierz nie miał złudzeń co do własnych możliwości i osiągnął to, co było realne. Zachował się jak wielki monarcha, który pamięta, że buduje potęgę państwa na całe stulecia. Jego panowanie było tylko epizodem w dziejach królestwa, a jego efekty można było docenić dopiero po latach. Dla króla nie miało znaczenia, że sławę zwycięzcy miał zebrać ktoś inny. Liczyło się tylko dobro królestwa i temu celowi podporządkował swoje postępowanie. ©©



Fundacja
im. Przemysława
Gintrowskiego

ZA WOLNOŚĆ W KULTURZE

NAGRODA IM. PRZEMYSŁAWA GINTROWSKIEGO

VEDYCJA NAGRODY



SZCZEGÓŁY NA WWW.GINTROWSKI.PL
LUB FUNDACJA@GINTROWSKI.PL

MECENAS KONCERTU:

PARTNERZY

PARTNER WSPIERAJĄCY:



eprasa.pl c79f70b1f



CO TRZECI PILOT Z FAŁSZYWĄ LICENCJĄ

W maju w Karaczi rozbił się samolot i zginęło 97 osób. Przeżyli jedynie załoga i dwóch pasażerów. Prowadzono szerokie śledztwo. Okazało się, że na 860 pilotów obsługujących obecnie w Pakistanie krajowe linie lotnicze i linie zagranicznych przewoźników 30 proc. z nich zapłaciło komuś innemu, by zdał za nich egzamin. Ghulam Sarwar Khan, minister lotnictwa tego kraju, poinformował o tym właśnie Zgromadzenie Narodowe. W związku z tym natychmiast uziemiono 262 osoby latające bez wymaganego doświadczenia.

FOT. ADARSH STOCK

SZACHY ZBYT RASISTOWSKIE

Chorwacki szachista nagrał film. Jak to szachista – mówił na nim o szachach. Szło mu nieźle, bo miał blisko milion osób obserwujących kanał. I nagle zaczęli mu zgłaszać, że jeden z filmów jest niedostępny. Próbował się od tej decyzji odwołać, ale tylko pogorszył sytuację, bo zawieszono mu konto na tydzień. Zdaniem Chorwata algorytm YouTube opatrnie zrozumiał jako naruszenie zasad objaśnienie sytuacji szachowej, w której mówił: „Czarne idą na pole B6 zamiast C6, w tej pozycji białe zawsze będą lepsze”. Szachiści w mediach społecznościowych muszą teraz pamiętać, że wszelkie przykładowe rozwiązania należy planować tak, by to „czarne” były w lepszej pozycji i wygrywały.

OBRAŻENI NA CESARZA

W Wielkiej Brytanii, przed katedrą w York, stoi posąg cesarza Konstantyna. Wystawiono go 20 lat temu, pragnąc uczcić i docenić zasługi cesarza

w zakończeniu przesładowań chrześcijan w Cesarstwie Rzymskim. Ten cesarz zresztą był też pierwszym, który przeszedł na chrześcijaństwo. Teraz jednak arcybiskup Canterbury Justin Welby poinformował, że wszystkie posągi zostaną przejrane pod kątem tego, czy niektórych z nich nie należy usunąć. Brytyjskie media ujawniły, że napływają skargi na posąg cesarza. Na fali antyrasistowskich protestów w USA w Wielkiej Brytanii Konstantyn przestał się podobać, bo... miał popierać niewolnictwo.

ODDZIAŁ OBRONY POMNIKÓW

W Stanach Zjednoczonych szaleństwo związane z przewracaniem i dewastacją pomników osiągnęło takie rozmiary (zniszczono m.in. pomnik Tadeusza Kościuszki w Waszyngtonie), że prezydent kraju polecił Departamentowi Bezpieczeństwa Krajowego powołanie specjalnego zespołu do spraw ochrony pomników. Członkowie tego zespołu będą oceniać miejsca historyczne pod względem możliwego chuligańskiego zagrożenia. Oni też będą kierować w takie miejsca policjantów czy służby Secret Service. ©

Łukasz Zboralski



JACEK PRZYBYLSKI

GLOBALNE OCHŁODZENIE

W imię zasad

Trzech marines zginęło w wyniku wybuchu bomby w Afganistanie, bo agenci rosyjskiego wywiadu wojskowego GRU płacili talibom za zabijanie Amerykanów lub żołnierzy międzynarodowej koalicji. A to tylko jeden z przykładów płatnych egzekucji. Pieniądze mieli oferować i wypłacać funkcjonariusze jednostki nr 29155, którzy w CV mogliby wpisać spore doświadczenie w realizacji zabójstw „wrogów Rosji” poza jej granicami, w tym również w krajach UE.

Sprawa wyszła na jaw, bo Amerykanie odnaleźli ślady przelewów dokonywanych z rachunku

bankowego kontrolowanego przez rosyjski wywiad na konto powiązane z talibami. Dopiero potem pieniądze miały być przekazywane bojówkom już mniej formalnymi sposobami. W domu jednego z aresztowanych bojowników znaleziono pół miliona dolarów.

Informację o tym podał pierwszy „The New York Times”. Doniesienia te błyskawicznie zdemontowali Rosjanie oraz rzecznik talibów, co oczywiście dodaje im jedynie wiarygodności.

Najciekawszy miał być motyw działań rosyjskiego wywiadu: ataki dokonywane na Amerykanów miały służyć storpedowaniu

porozumienia między Waszyngtonem a talibami i w konsekwencji spowodować, że wojska USA będą dłużej uwięzione w wojnę w kraju, którego nigdy nikomu nie udało się jeszcze podbić i spokojnie okupować. Z punktu widzenia kraju granicznego, jakim jest Polska, dobrze, że Trump nie dał się sprowokować, kończy tę beznadziejną wojnę i będzie miał do dyspozycji więcej oddziałów. Jeszcze lepiej byłoby jednak, aby po niedawnych rosyjskich mordach w Wielkiej Brytanii czy Niemczech i opłacaniu zabójstw w Afganistanie Zachód nałożył na osłabioną przez kryzys Rosję dodatkowe sankcje. W imię zasad. ©

Duże miasta i przedsiębiorcy wymagają planu

Według wyników pierwszej tury Andrzej Duda, mimo ogólnego zwycięstwa, przegrał z Rafałem Trzaskowskim o wielkomiejski elektorat. W dużych miastach dostał wynik dwa razy gorszy od swojego konkurenta. W miastach powyżej 500 tys. mieszkańców na urzędującego prezydenta zagłosowało jedynie 24,7 proc. wyborców, na włodarza stolicy ponad 47 proc. To duża różnica, która wskazuje na konieczne działania w drugiej turze. Andrzej Duda musi zawalczyć o głosy mieszkańców dużych miast. Walka musi być jednak



Piotr Hofman, prezes Rady
Gospodarczej Strefy Wolnego Słowa

wsparta odpowiednimi inicjatywami. Na te inicjatywy najbardziej czekają przedsiębiorcy. Podczas obecnej kampanii poczuli się oni pominięci, co pokazali, idąc do urn. I to właśnie o nich powinno się teraz zabiegać. Zwłaszcza że – jak wynika z badania exit poll przeprowadzonego przez pracownię IPSOS – wyniki wyborów byłyby zupełnie inne, gdyby liczyły się wyłącznie głosy przedsiębiorców.

Kandydat Koalicji Obywatelskiej Rafał Trzaskowski mógł

liczyć na 43,3 proc. głosów osób prowadzących własną działalność gospodarczą. Urzędujący prezydent Andrzej Duda uplasował się na drugim miejscu, zdobywając 25,1 proc. głosów. W bieżącej kampanii wciąż pozostaje pewien niedosyt, jeśli chodzi o problematykę gospodarczą. Kampanijny przekaz adresowano przede wszystkim do beneficjentów programów społecznych. Palących tematów, w szczególności w obszarach gospodarki, jest znacznie więcej i warto, aby znalazły się one w publicznej debacie przy okazji prezydenckiej kampanii. Co budzi strach w przedsiębiorcach? Boją się oni oczywiście podwyżki podatków, które miałyby sfinansować programy socjalne. Zdecydowanie w tej kampanii zabrakło więc dialogu, który rozwiałby takie obawy. Kolejna irytująca biznes rzecz to nieustanna rewolucja w przepisach. Ostatnimi czasy przedsiębiorcy musieli oswoić się z nowymi obostrzeniami. Ścigając sprawców karuzel VAT-owskich i innych godnych potępienia przestępstw finansowych, odbija się to na wszystkich – Jednolite Pliki Kontrolne, split payment. Oczywiście obecnie wszyscy walczą ze skutkami pandemii i tu rząd na razie zdaje egzamin. Co potem? Wiele osób prowadzących działalność wciąż czeka na rozwiązanie problemów sprzed kryzysu. A jest ich nadal wiele: system podatkowy, skomplikowane i niejasne przepisy, które od lat duszą potencjał rodzimych firm. Prezydent może w tym kontekście zapowiedzieć jakąś wartościową inicjatywę ustawodawczą, wiele rozwiązań jest już przecież na stole. Warto wymienić tu choćby wprowadzenie znanej z podatku VAT metody kasowej do podatków dochodowych czy rozszerzenie możliwości zaliczania wydatków inwestycyjnych z zatrzymanego zysku do kosztów uzyskania przychodu. Warto tak-

że pomyśleć o zmniejszeniu klina podatkowego i jakiejś formie ulgi dla pracodawców związanej ze składkami na ubezpieczenie społeczne czy pomysł dobrowolnego ZUS, którego propagatorem jest przecież rzecznik MŚP Adam Abramowicz. Kolejną kwestią jest sprawa usprawnienia rozstrzygania sporów gospodarczych – tani i szybki arbitraż jako alternatywa dla przewlekłych postępowań w polskich sądach. Z jednej strony mamy już przepisy dające możliwość korzystania z alternatywnych form rozwiązywania sporów gospodarczych, z drugiej zaś wielu przedsiębiorców nie stać na to, aby z nich skorzystać. Czy to oznacza, że Andrzej Duda nie ma szans w walce o głosy przedsiębiorców? W żadnym wypadku. Kampania wchodzi w decydującą fazę i to ważny moment, w którym także osoby prowadzące działalność gospodarczą powinny doczekać się propozycji skrojonej na swoje potrzeby. Przedsiębiorcy, z których wielu żyje właśnie w aglomeracjach miejskich, wciąż liczą na jasną i konkretną ofertę. W najbliższych dniach toczyć się będzie walka o każdy głos, idącego w miliony elektoratu, jakim są ludzie biznesu, nie należy zaniedbywać. Przy tym przedsiębiorcy to ludzie wymagający, dla nich liczą się zatem propozycje konkretne, najlepiej z dużą liczbą szczegółów. Nie da się ich przekonać ogólnymi hasłami. Walka o miasta musi więc w dużej mierze polegać na konkretnych i dobrych propozycjach dla polskich przedsiębiorców.

**Autor jest prezesem
Rady Gospodarczej Strefy Wolnego Słowa
www.radagospodarcza-sws.pl
www.fpg24.pl**

**Rada Gospodarcza
STREFA WOLNEGO SŁOWA**

Tajwan, nowy Donbas?



Xi Jinping dokonuje przeglądu sił zbrojnych podczas obchodów 70. rocznicy założenia Chińskiej Republiki Ludowej, Pekin, 1 października 2019 r. FOT. LI TAO/XINHUA/EAST NEWS



Krzysztof
Tyska-Drozdowski

Czy spór o Tajwan to początek nowej zimnej wojny? Byłoby ironią losu, gdyby woła wzmocnienia zdolności wojennych przyszła w chwili, gdy Ameryka, wyczerpana kryzysem gospodarczym, nie ma na nie środków

Jedna z rzeczy, które u zachodnich elit zdumiewają najbardziej, to wyparcie zimnej wojny. Dwa wielkie mocarstwa skazane na zderzenie, do którego nie doszło. Jaki ciąg decyzji, posunięć i postaw doprowadził do pokojowego wygaszenia napięcia między Stanami a Rosją? Niewielu intelektualistów bada to zagadnienie, woła spędzać czas na budowaniu teorii dla nowych rewolucji obyczajowych. To

lekceważenie zimnej wojny budzi dzisiaj niepokój, bo znaleźliśmy się w samym centrum nowego sporu, który podzieli świat. Umknęło nam, że ugaszenie konfliktu między dwiema potęgami wcale nie było koniecznością czy wynikiem jakichś praw dyktujących historię. Tak wielkie problemy nie rozwiązują się same, a prawdopodobieństwo wskazuje, że częściej prowadzą do tragedii niż do pokoju.

KONIEC CZASU POKORY

Ameryka i Chiny, jak głosi geopolitolog Graham Allison, zmierzają wprost w „pułapkę Tukidydesa”. To nawiązanie do wojen peloponeskich i greckiego historyka, który opowiedział o nich tak subtelnie, że do dzisiaj czerpiemy lekcje z jego dzieła. Ta słynna pułapka polega na tym, że gdy jedna panująca potęga słabnie, a druga nabiera siły, to walka o pierwsze miejsce – tak jak pomiędzy Atenami a Spartą – staje się nieunikniona.

Przewodniczący Chińskiej Republiki Ludowej Xi Jinping parokrotnie odwo-

ływał się do tej zbitki, robiąc to m.in. w przededniu zaprzysiężenia Trumpa na urząd. Publicystyczna formuła, która nie znajdowała odzwierciedlenia w rzeczywistości, może niebawem zostać przez tę rzeczywistość potwierdzona. To pandemia zmieniła sytuację. Chiński Instytut Współczesnych Stosunków Międzynarodowych, blisko powiązany z Ministerstwem Bezpieczeństwa Państwa, zaleca w jednej ze swoich analiz, aby Państwo Środka przygotowywało się na zbrojną konfrontację z USA, bo antychiński sentyment na świecie nigdy, nawet po masakrze na placu Tiananmen, nie był tak silny jak dziś.

Panowanie Xi Jinpinga oznacza zamknięcie epoki Deng Xiaopinga. Ten ostatni, reformator, któremu Chiny zawdzięczają swój gospodarczy skok, ostrzegał rodaków, aby cierpliwie i pokornie wspinali się na szczyt. Czas pokory dobiegł jednak końca. Liberalny porządek międzynarodowy, z którego dobrodziejstw korzystał Pekin, zaczął krępować komunistów. Chiny stały się zbyt potężne,

aby uginać się przed zasadami, których nie ustalały. Partyjni dygnitarze roztoczyli wizję nowego ładu, wyłaniającego się z gruzów świata, który zbudowała Ameryka. Wielu analityków ocenia, że celem jest tu wielobiegunowość, sprawiedliwsza równowaga w kształtowaniu losów globu. Mylą się, Chiny dążą do panowania i zmierzając do niego, będą wywracać do góry nogami pojęcie, do których przywiązany jest Zachód. Jedno z takich pojęć to „dwa ustroje, jeden kraj”, określające chwiejną relację między Państwem Środka a Tajwanem.

ZDOBYĆ TAJWAN, ZRUJNOWAĆ JAPONIĘ

Wokół Tajwanu rozpuściła się burza, gdy na drugą kadencję wybrano prezydent Tsai Ing-wen. Jej ugrupowanie, Demokratyczna Partia Postępu, zyskało popularność dzięki twardej antychińskiej postawie. Notowania Tsai Ing-wen wzrosły znacznie – osiągając pułap 75 proc. – w czasie epidemii, którą Tajwan powstrzymał z niebywałą skutecznością, zanotowując jedynie 442 przypadki zachorowań i siedem zgonów (stan na 31 maja). Triumfu wyborczego pogratulował jej Mike Pompeo, amerykański sekretarz stanu. Rozsierdziło to chińskich komunistów, którzy zapowiedzieli, że dalsze mieszanie się w sprawy Tajwanu spotka się z ostrą reakcją. W dniu zaprzysiężenia prezydent chińskie czasopismo poświęcone marynarce wojennej i handlowej zamieściło na swojej stronie film, który pokazuje, jak wyglądałaby inwazja na Tajwan. Rzecznik chińskiego ministra spraw zagranicznych, Wu Qian, oświadczył bez ogródek: „Władze Demokratycznej Partii Postępu z Taipei opierają się na pomocy sił zewnętrznych i podążają drogą separatyzmu”. Tsai Ing-wen nie uległa się i stanowczo przypomniała w czasie inauguracji, że nigdy nie przystanie na zasadę „dwa ustroje, jeden kraj”. Jej niepodległościowe przekonania uczyniły ją wrogiem publicznym komunistów.

W połowie maja rozpoczęły się zakrojone na dużą skalę ćwiczenia wojenne chińskiej marynarki. Obejmują one Morze Południowochińskie i będą trwać przez 11 tygodni. Amerykanie nie pozostali bierni i wysłali na manewry bombowce, oblatujące to newralgiczne morze, a w dniu startu chińskich ćwiczeń jeden z okrętów US Navy przepłynął przez Cieśninę Tajwańską. Zhu Feng, ekspert od spraw międzynarodowych

z uniwersytetu w Nanjing, stwierdził, że „Amerykanie obawiają się, iż pandemia otworzyła Chińczykom okno możliwości do działań na Morzu Południowochińskim, a nawet do interwencji na Tajwanie”. Prawdopodobieństwo wojny w tym regionie gwałtownie wzrosło.

Tajwan ma kluczowe znaczenie strategiczne, bo jeśli zostanie przejęty, to Japonia znajdzie się w patowej sytuacji. Podręczniki Chińskiej Armii Ludowej (ChAL) kładą nacisk na to, że zdobycie wyspy pozwoli szybko wykończyć Kraj Kwitnącej Wiśni. Według szacunków ChAL 90 proc. importowanej ropy, 99 proc. surowców mineralnych i 100 proc. paliwa nuklearnego jest dostarczane do Japonii drogą morską przez Cieśninę Tajwańską. Odciecinie tego szlaku, jak wykłada podręcznik dla czerwonych oficerów, zrujnuje cały kraj.

ChAL zwiększyła swój potencjał uderzeniowy, zdolny osiągnąć japońskich wysp. Dziesięć lat temu rozporządzała jedynie setką pocisków balistycznych, które mogłyby dolecieć do amerykańskich baz w Japonii. Dzisiaj ten arsenał poszerzył się do tysiąca głowic. Symulacje ataków przedstawiają ponury obraz, jak podał raport Center for New American Security z 2017 r.: pierwsza salwa chińskich rakiet przytłoczyłaby wszystkie amerykańskie systemy przeciwrakietowe.

AMERYKA BEZ SZANS?

Rzesza ekspertów, którzy z pobłażaniem wypowiadają się o możliwości zimnej albo i gorącej wojny między mocarstwami, kurczy się z dnia na dzień. Do tej grupy zalicza się prof. Daniel Drezner. W jego oczach wpadliśmy w geopolityczną histerię. Zwraca on uwagę, że Ameryka ma za sobą długą tradycję paranoicznego myślenia o innych państwach; nieraz wyobrażała sobie, że Europa albo Japonia prześcigną ją i zakończą jej hegemonię. Porządek liberalny jednak ciągle trzyma się mocno i szybko się nie rozpadnie, przepowiada Drezner, a Chiny, zanim naprawdę będą w stanie go rozbić, pogrążą się w kryzysie. Państwo Środka ma przed sobą problemy na wielu frontach; prędzej się zestarzeje, niż stanie się bogate, nierówności majątkowe bez przerwy rosną, produktywność słabnie, a środowisko naturalne ulega coraz głębszej degradacji.

Czy jednak niepokój, który Ameryka odczuwa wobec komunistycznej potęgi, jest rzeczywiście pozbawiony podstaw? Christian Brose podaje w swojej książce

„The Kill Chain” – wyszła właśnie pod koniec kwietnia – że w symulacjach wojennych Stany uzyskują nieodmiennie ten sam wynik: klęska w starciu z Chinami. Brose wyjaśnia, że satelity szpiegowskie zostałyby natychmiast zneutralizowane, węzły komunikacyjne zerwane, a bazy w Japonii i na Guam zmiążdżone falą pocisków. Lotniskowce byłyby zmuszone do ucieczki, aby uratować się przed atakiem, myśliwce F-35 nie mogłyby osiągnąć celu, bo tankowce zostałyby zestrzelone. Do takiego położenia doprowadziła, zdaniem Brose’a, skostniała i niemrawa biurokracja, wyrobiona w przygotowywaniu Stanów do wojen z przeszłości i dbająca głównie o lobbystyczne interesy.

Bez przemyślanych inwestycji w obronność wydostanie się z tej matni może okazać się niemożliwe. Pandemia wymusiła posunięcia, które nałożyły na budżet ogromne obciążenia. Po kryzysie z lat 2008–2009 Pentagon obciął wydatki o 500 mld dol. Eksperci z Rand Corp. sugerują, że po koronawirusie w najlepszym wypadku budżet na obronność zmniejszy się o podobną sumę.

Czy Stany są więc skazane na to, by ulec Chinom, przynajmniej w Azji? Historia nigdy nie wydaje wyroków z góry. Wojna w Korei wybudziła amerykańskich decydentów ze złudzeń, zrozumieli, że Rosjanie chcą rozszerzać swoje panowanie nad światem i jeśli dostrzegą słabość u swoich rywali, to nie zawahają się jej wykorzystać. Tak zaczęły się wielkie zbrojenia. Byłoby jednak ironią losu, gdyby wola wzmocnienia zdolności wojennych przyszła w chwili, gdy Ameryka, wyczerpana kryzysem gospodarczym, nie miała na nie środków.

Pozostaje inne pytanie, o charakter konfliktu, który wybuchłby wokół Tajwanu. Qiao Liang, pułkownik sił powietrznych ChAL, twórca podręczników strategii dla komunistycznej armii, mających duży wpływ na jej działanie, udzielił niedawno wywiadu, w którym poruszył tę kwestię. Stwierdził, że wojna nie stanowi wcale jedynego sposobu, aby powstrzymać tajwańskie dążenie do niepodległości. Między konfliktem zbrojnym a pokojem, oznajmił, rozpościera się szara strefa, w której można prowadzić militarne operacje nieeskalujące do poziomu wojny. Jednym słowem: ma on na myśli wojnę hybrydową. Tajwan może stać się nowym Donbasem, nigdy niegasnącym punktem zapalnym.



Piotr Włoczyk

Od początku krytykuje rząd PiS, ostatnio domagał się odwołania wizyty Andrzeja Dudy w USA. Kilka dni później okazało się, że Eliot L. Engel po 31 latach kończy swoją karierę w Kongresie. Lewicowy polityk padł ofiarą „antyrasistowskiej rewolucji” w USA, która zmienia oblicze Partii Demokratycznej

Neomarksizm kontra Engel

Ta wizyta to dowód na zauroczenie prezydenta Trumpa przywódcami, którzy wykazują się autokratycznymi tendencjami” – ten fragment listu Eliota L. Engela, przewodniczącego Komisji Spraw Zagranicznych w Izbie Reprezentantów, zrobił prawdziwą furorę w polskich mediach wspierających opozycję. List, opublikowany na stronie internetowej komisji, był przedstawiany przez niektórych naszych dziennikarzy i polityków jako stanowisko całej Izby Reprezentantów.

Engel, choć zajmuje w tej kontrolowanej przez demokratów izbie eksponowane stanowisko, nie mógł się wypowiadać jako jej rzecznik. Trudno też podejrzewać, że jego głos jest poważnie traktowany przez obecną amerykańską administrację – ten polityk partii demokratycznej dał się poznać jako nieprzejednany wróg Donalda Trumpa, a także jako jeden z głównych rzeczników rozpoczęcia procesu impeachmentu przez Izbę

Reprezentantów. To wszystko jednak nie miało żadnego znaczenia dla naszych polityków i dziennikarzy związanych z opozycją – Engel stał się głosem Kongresu, który stanowczo potępia polskiego prezydenta i żądał od Donalda Trumpa odwołania wizyty Andrzeja Dudy.

PRZECIW POLSCE W NATO

„Prezydent Duda i jego partia Prawo i Sprawiedliwość podważyli niezależność polskiego sądownictwa, zainstalowali ludzi partii na wpływowych stanowiskach w wojsku i atakowali niezależne media” – alarmował Engel w swoim liście. „Prezydent Duda i jego partia promują przerażające stereotypy homofobiczne i anty-LGBTQ, a także politykę, która idzie w poprzek praw człowieka i wartości, które Ameryka powinna umacniać” – napisał w oświadczeniu, które stało się dla opozycji kluczowym argumentem, że również amerykańscy obrońcy demokracji nie chcą, by czerwcową wizyta doszła do skutku.

To nie pierwszy raz, kiedy Engel uderza w polskie władze. W 2019 r. był on jednym z sygnatariuszy listu 13 demokratycznych kongresmenów do Donalda Trumpa, w którym podkreślali oni konieczność restytucji mienia żydowskiego w Polsce. „Jesteśmy zaniepokojeni niedawnym zerwaniem rozmów między Polską a Izraelem w sprawie restytucji prywatnej własności zabranej polskim Żydom podczas Holokaustu” – pisali wówczas kongresmeni.

73-letni Engel – jego dziadkowie byli żydowskimi imigrantami z Ukrainy – już w latach 90. po raz pierwszy zaangażował się w działania stojące wbrew polskiemu interesowi. Jak przypominał Tomasz Wróblewski z Warsaw Enterprise Institute, demokratyczny kongresmen był przeciwny przystąpieniu Polski do NATO. Z jego niedawnych wypowiedzi wynikałoby wprawdzie, że nasze członkostwo w NATO nie jest już dla niego problemem, ale reformy PiS to dla niego czysty autorytaryzm.



Eliot L. Engel podczas przemówienia, 30 czerwca 2020 r.
FOT. NICHOLAS KAMM/AFP/EAST NEWS

a także głębokiego konfliktu interesów prezydenta na całym świecie. Powtarzające się łamanie prawa przez prezydenta Trumpa zaprowadziło amerykańską demokrację na niebezpieczne rozdroża” – tak tłumaczył, dlaczego będzie głosował za oskarżeniem Donalda Trumpa.

ZJEDZONY PRZEZ REWOLUCJĘ

To wszystko już jednak historia, ponieważ Engel właśnie przegrał – i to w spektakularny sposób – w demokratycznych prawyborach w Nowym Jorku. W ciągu 32 lat kariery w Kongresie ten polityk wydawał się nie do ruszenia, 16 razy wygrywając prawybory, a następnie wybory, prawie zawsze z bardzo solidnym zapasem. Do niedawna zdawał się być idealnym reprezentantem liberalnych światopoglądowo mieszkańców Wielkiego Jabłka, podkreślając na każdym kroku przywiązanie do postulatów LGBTQ, „praw reprodukcyjnych”, a także m.in. szerokiego otwierania granic.

Wszystko zmieniło zabójstwo w Minneapolis. Rewolucyjna fala, która wezbrała po śmierci George’a Floyda, zmyła go jako polityka niewystarczająco progresywnego.

Eliot Engel, wspierany m.in. przez Hillary Clinton, przegrał sromotnie w 16. dystrykcie wyborczym Nowego Jorku z Jamaalem Bowmanem, czarnoskórym dyrektorem szkoły średniej na Bronxie. Bowman na ostatniej prostej kampanii, rozgrywanej w cieniu brutalnych zamieszek, bardzo mocno akcentował walkę z „systemowym rasizmem” w USA. Dało mu to miążdżące zwycięstwo nad Engelem. Inna rzecz, że w prawyborach wsparli Bowmana m.in. Bernie Sanders, Elizabeth Warren oraz Alexandria Ocasio-Cortez.

Jego program trudno nazwać inaczej jak tylko neomarksizmem. Nic dziwnego, skoro polityk ten, oprócz członkostwa w Partii Demokratycznej, dzierży również legitymację Demokratycznych Socjalistów Ameryki – skrajnie lewicowej organizacji, która stara się zepchnąć demokratów jeszcze dalej na lewo. Bowman podkreśla, że jego inspiracją jest Alexandria Ocasio-Cortez – jego koleżanka z Demokratycznych Socjalistów Ameryki, która od półtora roku robi wielką karierę w Kapitolu.

Przegrana Engela z tak skrajnym politykiem wydaje się martwić nawet Donalda Trumpa. „Eliot Engel był bardzo znany, a przegrał 37 punktami procen-

towymi. Został zmasakrowany w wyborach, które się właśnie odbyły. Miał być pewniakiem w tych wyborach, a został zmieciony przez kandydata skrajnej lewicy” – mówił Trump w wywiadzie z Seanem Hannitym, wyraźnie ubolewając z tego powodu. Na odpowiedź Bowmana nie trzeba było długo czekać: „Wiecie, kogo Donald Trump boi się bardziej niż czegokolwiek innego? Czarnego mężczyzny z władzą” – powiedział pogromca Engela, który deklaruje, że pomoże zasypać podziały rasowe.

Takich historii było w tych prawyborach dużo więcej. W nadchodzącej elekcji do Kongresu Partię Demokratyczną czeka wysyp radykalnych kandydatów, którzy wygryli starych wyjadaczy uznanych nagle za zbyt umiarkowanych. Weźmy choćby sąsiadujący z okręgiem wyborczym Bowmana i Engela 17. dystrykt Nowego Jorku. Prawybory wśród demokratów wygrał tam Mondaire Jones, 33-letni czarnoskóry zdeklarowany gej, przy którym Engel wypada na dość zachowawczego polityka. Z kolei w 15. dystrykcie wśród demokratów zwyciężył Ritchie Torres, 32-letni czarnoskóry gej, który oprócz antyrasizmu mocno stawia sprawę systemowej pomocy dla seniorów LGBTQ.

Magazyn „The New Yorker” w bardzo pozytywny sposób opisał zmiany w Partii Demokratycznej w Nowym Jorku wywołane ostatnimi zajściami na ulicach amerykańskich miast: „Płynąc na fali entuzjazmu, zaangażowania społecznego i świadomości problemów rasowych wywołanej protestami przeciw zamordowaniu przez policję George’a Floyda, kampanie tych imponujących kandydatów zyskały rozpędu w ostatnich tygodniach. Żaden jednak z wyścigów prawyborczych nie unaocznili tego procesu politycznego bardziej niż nadchodzące zwycięstwo Bowmana nad kongresmenem Eliotem Engelem” (tekst „The New Yorkera” ukazał się pod koniec czerwca, kiedy zwycięstwo Bowmana nie było potwierdzone).

Jedno jest pewne – następca Engela raczej nie będzie w Kongresie zajmował się Polską. Trudno podejrzewać, by interesowały go reformy PiS czy kwestia mienia pożydowskiego. Amerykańskim konserwatystom ta zamiana nie wróży jednak niczego dobrego. Tym bardziej że wszystko wskazuje na to, iż takich polityków jak Bowman będzie w kolejnym Kongresie o wiele więcej.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

Nowy CIT, ale czy na pewno estoński?

O zamiarze wprowadzenia „estońskiego CIT” mówiło się od dłuższego czasu, lecz cała sprawa nabrała rozpędu dopiero za sprawą koronawirusa i związanego z nim kryzysu. Do powrotu na ścieżkę rozwoju pilnie potrzebne są inwestycje prywatne, a te mają częściowo ruszyć m.in. za sprawą nowego rozwiązania, które przewiduje, że spółki nie będą płaciły podatków od osiągniętych dochodów, jeśli tylko będą te dochody przeznaczać na inwestycje i rozwój, a nie wypłatę dywidend dla udziałowców. Pomysł ten został przyjęty w 2000 r. w Estonii i wydatnie pomógł w bujnym rozkwicie tamtejszej gospodarki, która rozwijała się do czasu wybuchu kryzysu w 2008 r. średnio w tempie nawet 8,4 proc. rocznie.

KORZYSTNY AUTOMATYZM

Zasada stojąca u podstaw podatku dochodowego od spółek obowiązującego w Estonii wydaje się prosta: przedsiębiorcy zyskują bardzo istotny bodziec zachęcający do ciągłego inwestowania w rozwój swoich biznesów, a dodatkowo są zwolnieni ze znacznego ciężaru niepotrzebnej biurokracji. Jednocześnie Estończycy częściowo zabezpieczyli swój



Jakub Wozinski

Rząd zamierza wprowadzić nowe rozwiązanie podatkowe, które od 20 lat stosowane jest przez „bałtyckiego tygrysa”. Polskiej wersji daleko jednak do prostoty i klarowności, która charakteryzuje model przyjęty w Estonii

system przed nadmiernym ryzykiem wyprowadzania przez międzynarodowe korporacje zysków za granice kraju.

– Sama idea, że dochód nie jest opodatkowany aż do wypłacenia dywidendy, to z pewnością krok w dobrym kierunku. W polskim systemie podatkowym jest to na razie praktycznie niedostępne poza tzw. decyzją o wsparciu. Podatek estoński wprowadza bardzo korzystny automatyzm. Istnieją wprawdzie pewne warunki brzegowe, które trzeba spełnić, ale nie trzeba już występować dodatkowo o żadną decyzję administracyjną – uważa ekspert Klubu Jagiellońskiego ds. podatkowych Łukasz Kempa.

Obecnie wspomnianych automatyzmów w polskim systemie podatkowym wciąż zdecydowanie brakuje. Eksperci zajmujący się kwestiami podatkowymi

od wielu lat zwracają uwagę na nadmierne skomplikowanie poszczególnych przepisów, które stają się z roku na rok coraz mniej czytelne. Zapowiedź wprowadzenia „estońskiego CIT” daje pewne nadzieje na to, że podatki w Polsce będą wreszcie uproszczone choćby w jednym obszarze. W rzeczywistości sytuacja jest jednak nieco bardziej złożona.

Propozycja Ministerstwa Finansów korzysta wprawdzie z określenia „estoński CIT”, lecz uważne prześledzenie wszystkich założeń prowadzi do wniosku, że nad Wisłą wprowadzone zostanie rozwiązanie bardziej zawiłe i skomplikowane, a przez to gorsze. Prezydent Centrum im. Adama Smitha Andrzej Sadowski uważa, że polska kopia jest zdecydowanie gorsza od estońskiego pierwowzoru: „Umiejętnie

zastosowana przez firmy zmiana w CIT likwiduje podwójne opodatkowanie. Nie można spodziewać się jednak przełomu w Polsce, skoro lepsza wersja funkcjonuje w pobliskiej Estonii, która w dodatku oferuje zdalny kontakt nie tylko z urzędami skarbowymi, lecz także z całym państwem. Trudno konkurować, oferując produkt skopiowany oraz bardziej skomplikowany, oczekując, że pokona oryginał, który wraz z jego otoczeniem są zauważalnie lepszej jakości”.

W polskim wariancie „estońskiego CIT” zawartych jest sporo dodatkowych warunków dodatkowych, których istnienie z pewnością ucieszy doradców podatkowych, lecz niekoniecznie przedsiębiorców. Projekt zakłada m.in., że ubiegający się o zwolnienie z podatku dochodowego nie będą mogli mieć przychodów większych niż 50 mln zł, będą musieli zatrudniać przynajmniej trzy osoby, ich współnikami będą mogły być tylko osoby fizyczne, a właściciele nie będą zaangażowani w działalność innych spółek. Zdaniem Łukasza Kempy wprowadzenie tych dodatkowych warunków znacznie komplikujących estoński pierwowzór jest do pewnego stopnia uzasadnione: „Można zrozumieć, dlaczego rząd wprowadza pewne ograniczenia, odnoszące się do wielkości podatnika, jego przychodów itd. Kryteria te spełniają właśnie firmy z polskim kapitałem. Jedyne, do czego można by się przyczepić, to zbyt niskie progi. W niektórych branżach przychody rzędu 50 mln zł nie są wcale czymś rzadkim. Rząd szacuje, że 97 proc. spółek spełnia to kryterium. To pewnie prawda, ale wśród tych 3 proc. jest wiele firm prowadzących rzeczywistą działalność, które chcą inwestować i zasługują na tę ulgę”.

W ocenie eksperta Klubu Jagiellońskiego wprowadzenie „estońskiego CIT” ma tę zaletę, że zmienia jeden z fundamentów systemu podatkowego: „Jest to odejście od obecnych reguł, które do inwestowania nie zachęcają. W Estonii obowiązuje prosta zasada, że dopóki dochód nie zostanie wypłacony w formie dywidendy, dopóty pozostaje nieopodatkowany. [...] Natomiast w Polsce obecnie obowiązuje zasada odwrotna: dochód jest opodatkowany, z racji uregulowań dotyczących amortyzacji nawet wtedy, gdy jest przeznaczany na inwestycje. W tym sensie mamy więc kompletne zaprzeczenie podatku estońskiego. Mamy bowiem system, który sprawia, że nawet

jeśli przeznaczyłem cały swój dochód na inwestycje, np. zbudowałem nowy zakład, kupiłem nowe maszyny, to i tak od mojego »wirtualnego« dochodu muszę zapłacić podatek, a dopiero w kolejnych latach przez odpisy amortyzacyjne mogę zaliczyć sobie to wszystko do kosztów”.

NA RATUNEK INWESTYCJOM I SONDAŻOM

Czy więc rzeczywiście polskich przedsiębiorców czeka prawdziwa rewolucja, która pozwoli na stworzenie silnych rodzimych marek? W założeniach rządu dzięki proponowanym zmianom ma powstać 120 tys. nowych miejsc pracy, a już w przyszłym roku stopa inwestycji wzrośnie o 2 punkty procentowe. Niski poziom inwestycji stanowił podstawową bolączkę rządów „dobrej zmiany” już od kilku lat, dlatego wypada mieć nadzieję, że przedstawione prognozy rzeczywiście

**Dobra zmiana ewidentnie
nie lubi obniżać ani
upraszczać podatków**

się sprawdzą, gdyż w dłuższej perspektywie gospodarka nie może bazować przede wszystkim na inwestycjach publicznych.

Na sprawie cieniem kładzie się to, że propozycja zmian w podatku CIT skrytykowała się w szczytowym okresie kampanii wyborczej. Naciskany coraz wyraźniej przez stawiającą na wolnościowe rozwiązania Konfederację obóz rządzący potrzebował wyraźnego argumentu, że działa na rzecz przedsiębiorców i wolności gospodarczej. „Estoński CIT” ma w zamierzeniu twórców zamknąć usta krytykom, choć wszyscy pamiętają wciąż niezrealizowaną obietnicę sprzed pięciu lat. Andrzej Duda obiecał podwyższyć kwotę wolną od podatku, lecz ostatecznie nigdy do tego nie doszło. „Dobra zmiana” ewidentnie nie lubi obniżać i upraszczać podatków.

Doceniając wolę rządzących do dokonywania zmian, trzeba jednak pamiętać, że modyfikacji ulega podatek, który i tak daje stosunkowo najwięcej sposobności do uniknięcia go. Andrzej Sadowski uważa, że zmiany powinny iść zdecydowanie głębiej, a rząd powinien skupić się na przedstawieniu naprawdę konkurencyj-

nego rozwiązania: „Rząd może pokonać konkurencję, ale zrywając z CIT-em, który jest podatkiem głupim i szkodliwym. Im mniejszy CIT, tym mniej szkodliwy. CIT czyni cnotę z ponoszonych kosztów tak, żeby zapłacić mniejszy podatek. Analiza, którą przedstawia od lat rząd, ukazująca największych płatników CIT, w tym także największe korporacje, które go de facto w Polsce nie płacą, pokazuje, że pójście drogą »lepszego CIT-u« jest skazane na niepowodzenie, jak próby wprowadzenia »socializmu z ludzką twarzą«. Lista największych sieci handlowych w Polsce czy największych korporacji technologicznych wskazuje, że prowadzą one idącą w dziesiątki miliardów złotych działalność na terenie Polski, płacąc z tytułu korzystania z miejscowych zasobów (dróg, pracy itd.) podatki jedynie w śladowych ilościach. Doświadczenie oraz wiedza powinny skłonić rząd do działania na rzecz wprowadzenia lepszego rozwiązania niż w Estonii. Przyjmowanie gorszej wersji estońskiego rozwiązania nie poprawi naszej konkurencyjności”.

DALEKO DO ESTONII

Zapowiedź wprowadzenia „estońskiego CIT” ma stworzyć wrażenie, że Polska przyjmuje sprawdzone i odważne rozwiązanie, które odpowiada za sukces podziwianej przez cały świat Estonii. Faktem pozostaje jednak, że „bałtycki tygrys” bije nas wciąż o głowę w wielu istotnych rankingach, a podatek CIT stanowi zaledwie jeden z wielu elementów sprawiających, że Estonia już kilka lat pozostaje krajem o najbardziej konkurencyjnym systemie podatkowym wśród wszystkich krajów OECD. Estońskie państwo jest także prawdziwym prymusem w zakresie digitalizacji usług dla swoich obywateli – ponad 99 proc. wszystkich spraw urzędowych można załatwić online 24 h na dobę. Gdyby Polska chciała osiągnąć naprawdę dynamiczne tempo wzrostu, powinna więc naśladować Estonię także w wielu innych dziedzinach.

Mimo wszystko wypada mieć nadzieję, że przyjęcie nowych zasad w rozliczaniu podatku CIT pomoże w rozwoju polskich przedsiębiorstw, z których tylko nieliczne odgrywają znaczącą rolę na światowych rynkach. „Estoński CIT” ma szansę wesprzeć rozwój sektora małych i średnich przedsiębiorstw, choć kompleksowych ułatwień dla przedsiębiorców w prawdziwie „estońskim” duchu wciąż w Polsce brak.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone



Miliardy, których nie było



Jacek Przybylski

Komisja Europejska wszczęła śledztwo w sprawie niemieckiego urzędu nadzoru finansowego BaFin. Wszystko w sprawie gigantycznego skandalu związanego z upadłością

Wyniki audytów firm giełdowych to z reguły nudna lektura. W tej sprawie żmudne sprawdzanie kolejnych rzędów cyferek, bilansów, raportów i potwierdzeń przelewów doprowadziło jednak do odkrycia afery, na podstawie której może powstać scenariusz niezłego hollywoodzkiego filmu akcji. W grę wchodzi bowiem gigantyczne kwoty, miliony klientów odciętych od własnych pieniędzy, a także kreatywna księgowość, fałszowanie dokumentów, ucieczka przed pracownikami wymiaru sprawiedliwości na co najmniej dwóch różnych kontynentach, a być może również międzynarodowy romans.

AMBER GOLD TO PIKUŚ

Zaczęło się od tego, że audytor nie mógł się doliczyć gotówki podawanej w raporcie spółki Wirecard za rok 2019. Nie było jakiejś spółki, bo do niedawna Wirecard był uznawany za największego dostawcę nowoczesnych usług finansowych w Unii Europejskiej i zajmował się m.in. przetwarzaniem płatności oraz wydawaniem kart płatniczych (również wielu Polaków ma w portfelu kartę płatniczą wydaną właśnie

przez Wirecard). Utworzona w 1999 r. firma od roku 2005 notowana jest na giełdzie we Frankfurcie, a we wrześniu 2018 r. zastąpiła Commerzbank w prestiżowym indeksie Dax 30.

Co gorsza, audytorowi nie chodziło o zaginione gdzieś w kolumnach ksiąg setki czy nawet tysiące euro. Gdzieś „zniknęło” aż 1,9 mld euro, czyli równowartość 8,5 mld zł. Dla przeciętnego zjadacza chleba to kwota trudna do wyobrażenia. Nic dziwnego – w głośnej w Polsce aferze Amber Gold gdzieś „zniknęło” marne 850 mln (!) zł. Dla Wirecard zaginiona kwota to niemal jedna czwarta całej gotówki, która miała znajdować się na kontach spółki.

Początkowo szefowie niemieckiej firmy poinformowali akcjonariuszy, że spółka mogła paść ofiarą oszustwa na gigantyczną skalę. Kurs spółki zaczął lecieć na łeb na szyję, ale sytuację miał uratować dyrektor operacji spółki, który zobowiązał się odnaleźć „zagubione” pieniądze. Niestety, szybko się okazało, że to misja podwójnie niewykonalna. Po pierwsze dlatego, że nagle pod ziemię zapadł się sam dyrektor Jan Marsalek. A po drugie

dlatego, że zaginione pieniądze najprawdopodobniej nigdy tak naprawdę nie istniały i były jedynie wynikiem skomplikowanych manipulacji księgowych.

Jak to możliwe? Miliardy niemieckiej spółki miały znajdować się na kontach dwóch azjatyckich banków: BDO Unibank oraz Bank of The Philippine Islands (BPI). Oba oficjalnie stwierdziły jednak, że nigdy nie prowadziły kont dla spółki Wirecard. – To nieuczciwy pracownik użył fałszywych dokumentów i podrobił podpisy naszych menedżerów – oświadczył prezes BDO Unibank, największego pod względem aktywów banku Filipin. Według specjalizującej się w audytach firmy doradczej Ernst & Young zapewne fałszywe są również dokumenty potwierdzające „przelewy”. Audytor EY stwierdził, że oszustwo, które doprowadziło de facto do upadku spółki, było „skomplikowane i wyrafinowane”.

W wyjaśnienie afery błyskawicznie zaangażował się filipiński bank centralny. Jego przedstawiciele ogłosili jednak, że do systemu finansowego tego kraju nigdy nie wpłynęły miliardy niemieckiej spółki. Media ustaliły z kolei, że na Filipiny trafił

za to wspomniany wyżej dyrektor Jan Marsalek (którego żona jest Filipinką). W pięknym wyspiarskim kraju pochodzący z Austrii 40-latek miał ponoć wylądować 23 czerwca, ale oficjalnie nie zabawił w nim jednak długo.

Teoretycznie miał odlecieć do Chin – na to przynajmniej wskazują formalne dane filipińskich służb imigracyjnych. Prawdopodobnie to kolejne fałszerstwo. Żadna z kamer bezpieczeństwa międzynarodowego lotniska Mactan Cebu nie zarejestrowała bowiem w danym dniu obecności podejrzanego dyrektora ani jego żony. Władze podejrzewają więc, że ktoś próbował pomóc poszukiwanemu dyrektorowi w zacieraniu śladów, a sam Marsalek nigdzie nie uciekł, tylko zaszył się gdzieś na Filipinach. Do zamknięcia tego numeru „Do Rzeczy” poszukiwały go więc już zarówno niemieckie, jak i filipińskie organy ścigania.

19 czerwca rezygnację ze stanowiska ze skutkiem natychmiastowym złożył zaś prezes spółki Markus Braun. Nie wyjaśnił jednak inwestorom powodów swojej decyzji. 23 czerwca z pytaniem o wszelkie szczegóły w tej sprawie zwrócili się więc do niego niemieccy prokuratorzy. Markus Braun został aresztowany, ale sąd zgodził się na wypuszczenie go za kaucją w wysokości 5 mln euro. Pieniądze grzecznie wpłacono, więc Markus Braun wolnością cieszył się już następnego dnia po aresztowaniu. Jego przyszłość na wolności stoi jednak pod znakiem zapytania. Wirecard poinformował bowiem, że w dniu, w którym audytor odmówił złożenia podpisu pod rocznym sprawozdaniem firmy ze względu na gigantyczną dziurę w jej bilansie, prezes Wirecard wyprzedawał posiadane przez siebie akcje niemieckiego fintechu, zmniejszając tym samym swoje zaangażowanie w nim z ponad 8 proc. do niecałych 5 proc.

Zarząd spółki Wirecard deklarował co prawda zamiar normalnego kontynuowania działalności, okazało się jednak, że miliardy, które rozplynęły się w powietrzu, będą miały wpływ nie tylko na wyniki firmy za 2019 r., lecz także na raporty za wcześniejsze lata. Po kilku dniach zarząd Wirecard złożył więc do sądu w Monachium wniosek o wszczęcie postępowania upadłościowego.

Jedna akcja spółki, która jeszcze w szczytowym momencie w sierpniu 2018 r. kosztowała aż 191 euro, spadła po tej aferze do... niecałych 3 euro (choć potem odbiła i w dniu zamknięcia tego

wydania „Do Rzeczy” kosztowała nieco poniżej 6 euro).

WSTYD DLA BERLINA

Zaledwie w ciągu kilku dni czerwca giełdowa wartość spółki stopniała o ok. 40 mld zł. Największy od lat skandal finansowy w Berlinie okrzyknięto już „niemieckim Enronem” (skandal w tej amerykańskiej firmie uznawany jest za jedną z największych afer ostatnich dekad).

Straty ponieśli nie tylko niemieccy inwestorzy, lecz także wierzyciele spółki, której długi szacuje się na 3,2–3,5 mld euro. W chwilowe tarapaty wpadło też wiele europejskich firm, które były obsługiwane przez Wirecard. Kłopoty macierzystej niemieckiej spółki sprawiły bowiem, że Financial Conduct Authority (FCA), brytyjski odpowiednik naszej Komisji Nadzoru Finansowego, zawiesił działalność brytyjskiego oddziału firmy Wirecard.

Nagle klienci części fintechów stracili dostęp do swoich pieniędzy, a ich karty płatnicze przestały działać. Zawierowania odczuli nawet niektórzy polscy klienci fintechów, takich jak np. Curve – w tym przypadku wydane przez Wirecard karty płatnicze przez kilka dni były kompletnie bezużyteczne, ale w ubiegłym tygodniu

1,9 mld euro

**TAKA KWOTA MIAŁA „ZAGUBIĆ SIĘ”
W WYNIKU KSIĘGOWYCH MANIPULACJI**

znów zaczęły działać. Z usług Wirecard w przeszłości korzystał również popularny nad Wisłą Revolut – na szczęście dla jego klientów już kilka lat temu brytyjski fintech zakończył tę współpracę. W dużo gorszej sytuacji są jednak klienci tych fintechów, które nadal są uzależnione od współpracy z Wirecard. – Zostałam bez niczego. Gdy odetnął mi gaz, nie będę miała nawet jak zagotować sobie wody – opowiadała Dawn Guilfoyle, jedna z tysięcy osób, która nagle straciła dostęp do własnych pieniędzy. Miliony klientów takich fintechów, jak np. Pockit, od wybuchu afery żyje zaś w strachu, że ich pieniądze po prostu znikną (to przynajmniej teoretycznie powinno być jednak niemożliwe) lub że jeszcze długo nie uzyskają do dostępu do zamrożonych środków.

Sąd w Monachium wyznaczył już administratora spółki Wirecard, który ma jej pomóc w kontynuowaniu działalności. Afera związana z niemiecką firmą stała się jednak głośna w całej Europie. I to głośna na tyle, że na władze w Berlinie spadły gromy ze strony wielu cudzoziemców wściekłych na to, że pracownicy Federalnego Urzędu Nadzoru Usług Finansowych (BaFin) nie dostrzegli w porę problemów spółki. Pod koniec czerwca śledztwo wobec BaFin wszczęła oficjalnie nawet Komisja Europejska. Ci, którzy śledzą unijny kalendarz, wiedzą, że trudno było o gorszy moment na taką wiadomość dla władz w Berlinie. 1 lipca Niemcy – niby zawsze tacy uporządkowani, solidni i skrupulatni – rozpoczęli bowiem oficjalną prezydencję w Unii Europejskiej pod hasłem „Wspólnie. Uczynimy Europę znowu silną”.

Śledztwo Komisji Europejskiej ma zaś ustalić, czy niemiecki urząd nadzoru finansowego naruszył unijną ustawę o stosunkach finansowych. W wyjaśnienie afery zaangażować ma się również Europejski Urząd Nadzoru Giełd i Papierów Wartościowych (ESMA), którego pracownicy mają sprawdzić, jakie błędy popełnił BaFin w nadzorze nad Wirecard.

FORTUNA NA UPADKU

Niestety, niemieccy urzędnicy nawet nie mogą próbować się tłumaczyć, że oszustwa w spółce Wirecard nie sposób było dostrzec wcześniej. Już w styczniu zeszłego roku prestiżowy dziennik „Financial Times” opublikował artykuł, który ostrzegał przed dziwnymi praktykami księgowymi w tej finansowej spółce: według dziennikarzy spółka miała zawyżać liczby dotyczące przychodów oraz zysków. W lutym 2019 r. do azjatyckiego biura Wirecard wkroczyła zaś singapurska policja.

Dużo lepsi od niemieckich urzędników okazali się też zarządzający funduszami hedgingowymi, którzy obstawiali nagły spadek kursu akcji tej niemieckiej spółki. I gdy afera w końcu ujrzała światło dzienne, w zaledwie jeden tydzień na tzw. krótkiej sprzedaży zarobili według różnych szacunków od 1,5 nawet do 2,6 mld euro. Według portalu MarketWatch była to jedna z największych od lat okazji tego typu na światowych giełdach.

Komisja Europejska pierwszych odpowiedzi z Berlina spodziewa się w połowie lipca. Śledztwo w tej sprawie zapewne będzie się jednak ciągnęło o wiele dłużej. Na cenzurowanym znalazła się też firma Ernst & Young.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone



PIOTR GABRYEL

PROSTO ZYGZAKIEM

Podatek inflacyjny imienia...

Polacy, zaprawieni w bojach o swoje, i tym razem nie poddadzą się bez walki tym, którzy niedawno nałożyli na nich sięgający aż kilku procent rocznie podatek – kilku procent nie tylko ich obecnych dochodów, lecz także całego zgromadzonego w bankach dorobku. Chodzi o podatek inflacyjny, który od miesięcy zżera bieżące dochody i oszczędności Polaków – i to zżera w tempie oszałamiającym jak na standardy świata, do którego Polska przynależy.

Wskutek uprawiania od pewnego czasu przez Radę Polityki Pieniężnej, która odpowiada za stan polskiej waluty, a więc i za poziom inflacji, konsekwentnie nieroztropnej polityki monetarnej – w styczniu 2020 r. Polska „awansowała” na trzecie miejsce w UE pod względem tempa wzrostu cen – za Rumunią i Węgrami. A w maju pod względem stopy inflacji cen konsumpcyjnych (HICP) była już niekwestionowanym „liderem” (3,4 proc.) – przed Czechami (3,1 proc.), Węgrami (2,2 proc.) i Słowacją (2,1 proc.) – podczas gdy w całej UE średni poziom inflacji wyniósł 0,6 proc. Jeśli dodać do tego, że po wielu kwartałach uporczywego utrzymywania przez RPP stóp procentowych na nieadekwatnie niskim do zmieniającej się sytuacji poziomie – tak niskim, że wzrost zachęcający do wzrostu inflacji – stopy te zostały ostatnio ścięte przez nią niemal do zera, a w ślad za tym w bankach zagościło faktycznie ujemne oprocento-

wanie oszczędności, jasne jest, że w Polsce ustanowiono właśnie niezmiernie wysoki, bo sięgający nierzadko 4 proc., podatek inflacyjny. (Trochę inaczej takie niskie – nawet zerowe – stopy procentowe wyglądają, gdy inflacja wynosi 0,6 proc., nieprawdaż?).

Ustanowiono podatek, który jeszcze bardziej umocni w Polakach to, co władze Polski – jak rozumiem – z premedytacją (bo chyba nie przez przypadek lub wbrew sobie?), taką właśnie, świadomie prowadzoną przez siebie polityką, chcą umacniać – niechęć do oszczędzania. Niechęć do oszczędzania, z której Polacy – wbrew własnemu interesowi oraz interesowi Polski – i tak już, niestety, „słyną”.

Wszelako – jak zazna- czyłem na wstępie – jestem spokojny o to, że Polacy i z tym podatkiem sobie poradzą. Po pierwsze – jako się rzekło – „jeszcze bardziej” przestaną oszczędzać, a po drugie – już zgromadzone oszczędności szybko zamienią na inne waluty, ulokują w nieruchomościach, na giełdzie lub w funduszach inwestycyjnych albo po prostu je „przejdą” – po to, by tego haraczu – i słusznie – nie zapłacić.

I tylko się zastanawiam, czyim nazwiskiem ten wysoki podatek inflacyjny zostanie nazwany, tak jak podatek od dochodów kapitałowych raz-dwa okrzyknięto „podatkiem Belki” – od nazwiska jego autora, ówczesnego ministra finansów Marka Belki. Czyje nazwisko państwo obstawiają? ©©



ŁUKASZ WARZECHA

NOTATNIK MALKONTENTA

Czy przyjdzie gajowy?

Debaty kandydatów przed drugą turą wyborów raczej nie będzie. Wszystko wskazuje na to w momencie, gdy piszę ten tekst. Zamiast tego będziemy mieli nie debatę, ale kolejną kampanijną ordynarną bójkę o to, kto debaty nie chciał, kto stchórzył i dlaczego. Sztaby głowią się, jak sprawić, żeby u wyborców pozostało wrażenie, że to nie ich kandydat konfrontacji unikał, że to ten drugi zawinił, a najpewniej dlatego, że się bał.

Brak u kandydatów zaufania, że godząc się na debatę we wrogim sobie otoczeniu, nie padną ofiarą pułapki

Jasne jest, że w wyścigu dwóch kandydatów o wyrównanych szansach spotkanie przed kamerami nie jest na rękę żadnemu z nich. Zysk jest bardzo niepewny, a stracić można dużo. Wystarczy byle potknięcie, zła mina, zawahanie, brak refleksu, nieprzygotowanie w jakiejś sprawie. Mimo to tego typu spotkanie powinno być obowiązkiem. Nikt tutaj wyborcom łaski nie robi.

Kiedyś to było możliwe. Ba, kiedyś debaty były w stanie organizować wspólnie wszystkie trzy największe stacje telewizyjne. W każdej z nich znajdowali się dziennikarze, spełniający zdaniem obu rywalizujących sztabów warunki rzetelności. I dziś

tacy by się znaleźli. Tyle że dwie stacje telewizyjne spośród trzech stanęły po dwóch stronach politycznej walki. Brak u obu kandydatów zaufania, że godząc się na debatę we wrogim sobie otoczeniu, nie padną ofiarą pułapki. Trudno się dziwić i Andrzejowi Dudzie, i Rafałowi Trzaskowskiemu.

Wiem, że pisano to już tysiące razy, ale to kolejny symptom rozpadu nawet najbardziej podstawowych zasad i zwyczajów. Jednak to też odpowiedź na oczekiwania najbardziej nakręconej części elektoratów. Ci wyborcy nie chcą się już niczego dowiedzieć, bo wszystko wiedzą: nasz jest najwspanialszy, ten drugi jest wrogiem, cykorem, skorumpowanym, złym do głębi człowiekiem, który – w zależności od tego, z której patrzymy strony – ułaskawia pedofilów i nie ma własnego zdania albo zaleje Polskę szambem i słucha się Berlina. O czym tu debatować? Wszystko jasne.

Moja mama powiedziała mi ostatnio, że zastanawia się, czy dożyje czasów, gdy poziom najgorszych emocji opadnie. Tak żeby można było choćby obejrzeć normalną dyskusję przedwyborczą ludzi ubiegających się o najwyższy w Polsce urząd. Chciałbym powiedzieć, że tak, ale zaczynam sobie zadawać pytanie, czy ja sam mam szansę ich dożyć. Czy może kiedyś, za mojego życia, stanie się jak w starym dowcipie o ganiających się po lesie partyzantach i Niemcach – przyjdzie skądś jakiś gajowy i wszystkich wyrzuci z lasu. ©©

NAJNOWSZY NUMER JUŻ W SPRZEDAŻY!



TYLKO U NAS!

**Uciekłem z piekła Korei.
Wywiad z ofiarą
azjatyckiego
bolszewizmu**

Jan Sadkiewicz – W obronie ostatniego króla
Tymoteusz Pawłowski – Porwanie Poniatowskiego
Sławomir Koper – Romans Stanisława z Katarzyną
Jakub Ostromięcki – Pojedyunki snajperów w Stalingradzie
Mikołaj Iwanow – Polska republika sowiecka
Sławomir Cenckiewicz – Powrót Adolfa Bocheńskiego
Piotr Zychowicz – Dlaczego Hitler przegrał ze Stalinem

I WIELE, WIELE WIĘCEJ
CZYTAJ TAKŻE NA **HISTORIA.DORZECZY.PL**



Wojciech Cejrowski

Gujana – jeden z krajów najbiedniejszych. Nie stać go na utrzymanie wielu ambasad

Dlatego po wizę polecałem do sąsiedniej Wenezueli, a gdybym tam wizy nie dostał, miałem gotowy plan B – łódzie do „importu” piwa, które dyskretnie pokonują rzekę graniczną. Wiedziałem, że istnieją, choć nigdy tam wcześniej nie byłem. Na każdej rzece granicznej w Ameryce Południowej są takie łódzie. „Import” piwa to pewnik, którego możesz się trzymać.

Dzięki pomocy kilku przyjaciół, znanych mi z poprzednich wypraw do Wenezueli, gujańską wizę dostałem od ręki. Z formalnego punktu widzenia była nielegalna, bo moje podanie powinno przejść długie rzędy biur, przelecieć z Caracas do Gujany i z powrotem z odmową lub zatwierdzeniem... Na szczęście Gujana jest krajem biednym i konsulat nie stać ani na znaczki pocztowe, ani na drukowane wizy w postaci naklejek z numerem seryjnym – w konsulacie wciąż korzystali z pieczęci na tusz, więc sekretarka pana konsula uznała, że jedna pieczęć więcej nikomu nie robi różnicy, a pan konsul nie będzie zbyt uważnie sprawdzał, co podpisuje. Miała rację.

W normalnych warunkach pojechałbym potem na przejście graniczne, ale między Wenezuelą a Gujaną nie ma żadnego. Te kraje wprawdzie łączy kilkaset kilometrów granicy, ale dzieli zastarzały konflikt dotyczący jej przebiegu – Wenezuela uważa, że należą się jej ziemie aż do rzeki Essequibo, czyli mniej więcej połowa terytorium Gujany. Od czasu do czasu dochodzi z tego powodu do utarczek zbrojnych.

Na co dzień jednak, na pograniczu, panuje cisza, spokój i straszliwa stagnacja. Żadne z państw nie ma zamiaru inwestować w rozwój ziem, które mogą przyspać drugiemu. W konsekwencji przez granicę nie poprowadzono żadnych dróg. Tereny sporne to w gruncie rzeczy ziemia niczyja porośnięta dżunglą. Miejsce wymarzone do eksploracji przez podróżników pragnących zejść z utartych szlaków.



Ruszyłem do Gujany na pewniaka. To nie mogło być trudne... W tamtejszej dżungli jest sporo złota. Wydobywa się je wyłącznie w małych prywatnych kopalniach. Większość jest nielegalna i często przenosi się z miejsca na miejsce. Największe mają własne lądowiska – wykarczowane maczetami pasczki startowe dla awionetek. Pozostałe korzystają z różnych form transportu wodnego. A te najmniejsze to po prostu odpowiednio wyposażone kutry. Doskonała infrastruktura dla kogoś takiego jak ja – transport dyskretny, który nie pozostawia urzędowych śladów.

Ponadto tam, gdzie jest złoto, kwitnie kontrabanda. Przemysłowcy korzystają z tajnych szlaków i żyją z tego, że za odpowiednią opłatą przewożą trefny towar. Tym razem przewiozłam mnie.

Z Caracas jechałem autobusem ostatniej klasy – nie pierwszej, drugiej ani trzeciej, lecz ostatniej. Stary gruchot oznaczał zero turystów; sami miejscowi. Jechał początkowo w bardzo turystycznym kierunku – na Gran Sabana. To kraina geograficzna, gdzie ponad płaską jak stół sawannę wyrastają góry stołowe, jak bezludne wyspy. Każda z nich ma na szczycie florę i faunę lekko różniącą się od tego, co można znaleźć na szczytach sąsiednich. Na Gran Sabana jadą wszyscy turyści odwiedzający Wenezuelę.

Zatrzymują się tu na kilka dni, by popatrzeć na buńczuczny pejzaż, a następnie jadą na południe w stronę Brazylii. Bardzo dobra asfaltowa droga łączy Caracas z Manaus.

Mój autobus pojechał trochę inaczej, bo miał inne cele. W miejscowości Tumeremo byłem jedynym białym na ulicy. Stąd odchodziły trzy drogi w kierunku granicy gujańskiej. Jedna wiodła do Czyścica (Purgatorio), druga do Nadziei (La Esperanza) – te nazwy wymyślono raczej dla kopalń złota niż dla pospolitych wiosek. Trzecia droga była najciekawsza – nie kończyła się w żadnej konkretnej miejscowości, lecz rozpyływała w pobliżu granicznej rzeki Cuyuni. Wszyscy pytani, dokąd prowadzi, odpowiadali wymijająco, że właściwie donikąd, ot, taka sobie droga, ale lepiej, żebyś tam nie jechał, gringo, bo po co się pchać w kłopoty.

Cały dzień kręciłem się to tu, to tam, rozpytując, kto i kiedy jeździ tą trzecią drogą. W końcu powiedziano mi, że codziennie o szóstej rano można się załapać na biały furgon jednego pana, który mieszka w pobliżu szkoły. Poszedłem do szkoły, znalazłem furgon i tego pana, kilka dolarów zmieniło właściciela.

Następnego dnia około południa wysiadłem nad rzeką Cuyuni, a biały furgon natychmiast zawrócił i odjechał.



FOT. WOJCIECH CEJROWSKI

w środku dżungli, zastawione ciasno od podłogi do sufitu. Przed nimi lada. Na ladzie waga z przyczepioną kartką: „Nie dotykać! Suzana”.

Suzany niestety nie było. Za ladą stał czarny jak smoła Murzyn. Był wielki, jak gdański kredens. Na pierwszy rzut oka – groźny potwór. Na szczęście, gdy się do mnie uśmiechnął, zrobiło się jaśniej, a po drugie miał w tym uśmiechu coś wspólnego ze Świętym Mikołajem.

– Dzień dobry, szukam Suzany.

– To ja – odparł po prostu.

– Jak to? Przecież ty jesteś facet, a Suzana to babskie imię?

– Jeżeli ci nie pasuje, gringo, możesz na mnie mówić dowolnie, ważne, żeby nasza rozmowa skończyła się słowem „... dolarów”.

Doskonały początek rozmowy! Bez ceregieli do sedna. Za to lubię kapitalizm pierwotny. Szkoda, że przetrwał jedynie na takich odległych pograniczach.

W ciągu kilku minut dowiedziałem się, że przekroczenie granicy nie stanowi najmniejszego problemu, bo nieliczne posterunki wojskowe pilnują głównie siebie nawzajem. Tylko co potem? Jak udać się w głąb kraju?

Suzana pomyślał chwilę, a potem wynajął mnie do roboty.

– Pojedziesz z moim piwem, gringo, dobra?

– Dokąd?

– Do bazy wojskowej przy nieczynnym lotnisku.

– Przemyt piwa do bazy wojskowej?

– Coś pić muszą, a gujańskie piwo im się czasami nudzi i wtedy piją moje „importowane”.

– Mam zostać przemytnikiem?

Dobra, już wiele razy byłem, ale czy oni się nie przestraszą, gdy nagle z transportem przyjedzie ktoś obcy i w dodatku biały?

– Nie będziesz przemytnikiem, lecz nadzorcą. Ten facet, który wozi moje piwo, zawsze kradnie. Albo chłpa po drodze, albo sprzedaje na boki, albo zwyczajnie kradnie połowę forsy, którą dostanie za towar. Pojedziesz z nim i będziesz mu patrzył na ręce.

– Dobra, ale jak ja mam ci potem powiedzieć, ile on za to piwo wziął? Nie wracam tu wcześniej niż za miesiąc, dwa.

– Nie musisz wracać wcale, ważne, żeby on o tym nie wiedział. Ma myśleć, że cokolwiek zrobi, ty mi o tym powiesz.

– No, ale i tak ostatecznie nie będziesz wiedział, ile dostał za to piwo.

– Po pierwsze, kiedyś może wrócisz i wtedy mi powiesz. Co się odwlecze, to nie uciecze. Po drugie, tym razem to on mi raczej uczciwie odda wszystko, tak sądzę, i wtedy sobie policzę, ile przywiózł teraz, a ile przywiózł poprzednio. I spotka go stosowna kara.

– Jeżeli jego spotka stosowna kara, to to oznacza, że jeżeli, powiedzmy, za miesiąc ja tu będę chciał z nim wrócić, to mnie spotka stosowna kara od niego. Za donosicielstwo. Nie podoba mi się ten układ.

– Nie spotka cię żadna kara. Ty jesteś biały, ja jestem czarny, a on jest Metys. Na tym terenie żaden Metys nie zrobi krzywdy żadnemu białemu ani czarnemu. Uwierz mi.

– ?

– W tej rzece jest złoto, a na tej sawannie bywają szmaragdy albo diamenty. Nigdy ich nie widziałem, ale słyszałem, że bywają. I operacje wydobywcze zawsze prowadzą biali lub czarni, lub razem. Wszyscy miejscowi wiedzą, że lepiej nam nie wchodzić w drogę.

– A...cha.

– Twój biały pyszczek jest tutaj jak immunitet, rozumiesz?

– A...cha. To w zasadzie dobrze, bo w Gujanie wybieram się szukać Indian.

– Ajajaj... to niedobrze.

– Bo?

– Bo wśród Indian to działa dokładnie na odwrót. Indianie skutecznie tępią każdego, kto zapuszcza się na ich teren w poszukiwaniu złota lub cennych kamieni. U Indian twój biały pyszczek będzie działał jak wyrok, a nie immunitet. Specyfika terenu.

– A...cha. Ale ja nie idę szukać złota.

– Bez znaczenia, bo Indianie tego nie wiedzą, prawda? I w jakim języku chciałbyś im to oznajmić? Znasz indiański?

– Nie znam. Ale dam sobie radę. Jakoś.

Dnia następnego zajechałem z transportem piwa do bazy wojskowej przy nieczynnym lotnisku. Mnie witano nieufnie, piwo entuzjastycznie. Stamtąd wyruszyłem na wyprawę w poszukiwaniu Indian. Potem znalazłem Indian, spędziłem u nich Wielkanoc i wróciłem bezpiecznie. Ale to osobna historia na inną okazję. Może za tydzień..

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

Była tu tylko przystań i nic więcej. Kilka osób, które ze mną jechały, nie kwapiło się do rozmowy. Traktowali mnie, jakbym był trędowaty. W końcu jeden zlitował się i powiedział, że kilka kilometrów w dół rzeki mieszka Suzana. Ma jedyny w okolicy sklep i wszystko mi wyjaśni.

Za drobną opłatą wynająłem łódź i kazałem się wieźć do Suzany.

Wkrótce wysiadłem na innej przystani. Przy pomoście zacumowanych było kilka łodzi różnego rozmiaru i fasonu. Na wysokim brzegu stał dom na palach. To wszystko.

Po wejściu do środka okazało się, że to sklep i coś w rodzaju pubu. W jednej sali grał telewizor podłączony do ogromnej anteny satelitarnej. Przed nim siedziało kilku Indian. Nie zwrócili na mnie uwagi wpatrzeni w film kung-fu. Indianie traktują filmy kung-fu jak komedie. Wydaje im się absurdalnie śmieszne, że ktoś się męczy zadzieraniem nogi tylko po to, by kopnąć drugiego w gardło. Po co? Przecież można ten sam efekt uzyskać prostym uderzeniem pięścią.

Pod telewizorem przyczepiono kartkę z napisem: „Zanim przyjdiesz się na mnie gapić, zapłać! Bo ja tu muszę płacić za prąd”. Podpisano: „Telewizor”.

W następnym pomieszczeniu był sklep. Półki ze wszystkim, co potrzebne

Wyprawę do ostatniej wioski plemienia Wai Wai nasz autor opisał w książce „Gringo wśród dzikich plemion”



Joanna Bojańczyk

Na oczach francuskiej publiczności toczą się walki o spadek po zmarłych celebrytach: rockowym idolu Johnnym Hallydayu i kreatorze mody Karlu Lagerfeldzie. W spektaklu zwroty akcji, tajemnicze zaginięcie i oczywiście setki milionów do wzięcia

Gdy 5 grudnia 2017 r. po kilkuletniej walce z rakiem w wieku 74 lat zmarł francuski gwiazdor piosenki Johnny Hallyday, Francja pogrążyła się w żałobie. Pogrzeb narodowego idola (naprawdę nazywał się Jean-Philippe Léo Smet) miał uroczysty charakter państwowy. Mszę godną bohatera narodowego celebrowano w paryskim kościele La Madeleine. Orszak żałobny przy dźwięku przebojów piosenkarza przedelfował Polami Elizejskimi od Łuku Triumfalnego aż do kościoła La Madeleine. Na całej długości towarzyszył mu milion fanów oplakujących ukochanego artystę.

Na ceremonii głos zabrał sam prezydent Macron. Zmarłego, odznaczanego wcześniej Legią Honorową, nazwał bohaterem. Oprócz prezydenta stawiała się cała wierchuszka: były prezydent François Hollande, premier Édouard Philippe, mer Paryża Anne Hidalgo... Francuskie media przez tydzień nie donosiły o niczym innym. Na chwilę zapomniano o skandalach politycznych, protestach, żółtych kamizelkach, imigrantach. Naród zjednoczyła żałoba. Jeszcze kilka miesięcy po uroczystości w kościele Madeleine odbywały się comiesięczne msze ku pamięci artysty, na które przychodziło kilkuset fanów. Prywatna ceremonia pogrzebowa z udziałem najbliższej rodziny odbyła się na wyspie Saint-Barthélemy, gdzie gwiazdor miał posiadłość. Tam też został pochowany.

KOLEKCJA DOMÓW I HARLEYÓW

Śmierć rockmana rozpoczęłaciągającą się do dziś walkę między spadkobiercami. Toczy się ona już drugi rok w kolejnych odsłonach przed sądami we Francji i w Stanach Zjednoczonych między



Przykre skutki spadku

wdową po piosenkarzu Laeticją i dwójgiem adoptowanych dzieci a dwójgiem starszych, biologicznych dzieci: Laurą Smet i Davidem Hallydayem. Serial spadkowy relacjonują oczywiście media.

W testamencie Johnny Hallyday zapisał cały majątek żonie i adoptowanym dzieciom. Starsze dzieci nie dostały nic. To Francuzów wzburzyło, gdyż według francuskiego prawa nie można dzieci wydziedziczyć. Testament zakwestionowali zatem Laura i David. Laeticia próbuje udowodnić przed sądem, że jej mąż podlegał prawodawstwu amerykańskiemu, gdzie coś takiego jest możliwe. Aby uciec od francuskich morderczych podatków,

Johnny Hallyday kilka lat temu próbował uzyskać obywatelstwo szwajcarskie. Jednak Szwajcaria posiadanie przez piosenkarza rezydencji w kurorcie Gstaad nie uznała za wystarczający powód. W tej sytuacji gwiazdor zamieszkał w Los Angeles, stając się rezydentem Stanów Zjednoczonych.

Jest o co walczyć. Majątek Hallydaya w ruchomościach i nieruchomościach szacuje się na ok. 40 mln euro. Willa na wyspie Saint-Barthélemy, dwa domy w Los Angeles, dom we Francji, Szwajcarii, kolekcja harleyów davidsonów... Kariera piosenkarza obdarzonego pięknym, mocnym głosem i wykonawczą chary-

Na pogrzebie Johnny'ego Hallydaya stawiała się cała wierchuszka, z prezydentem Francji na czele FOT. POOL/REUTERS/FORUM

W międzyczasie odezwał się francuski fiskus, który twierdzi, że poza aktywami w spadku po artyście jest też sporo pasywów. Z tytułu podatków urzędowi podatkowemu należy się kwota 30 mln euro... Ciekawe, czy długami spadkobiercy podzielią się równie chętnie jak majątkiem.

SIEDMIU FAWORYTÓW I KOT

Gdy jeden spektakl zmierza powoli ku końcowi, na horyzoncie pojawia się następny. Spadek po francuskim kreatorze mody Karlu Lagerfeldzie, który zmarł w lutym 2019 r., osierocając rzesze fanów, kotkę Choupette oraz zostawiając po sobie siedmiu potencjalnych spadkobierców. Ci teraz, zgodnie ze scenariuszem podobnych historii, skaczą sobie do gardeł.

Mimo że inwentaryzacja licznych dóbr kreatora nie została jeszcze zakończona, wiadomo, że będzie o co walczyć. Majątek pozostawiony przez projektanta ocenia się na ponad 200 mln euro. Składa się na niego m.in. apartament w VII dzielnicy Paryża, kolekcja designerskich mebli, księgozbiór liczący 300 tys. tomów... Na razie w czołówce peletonu aspirujących spadkobierców są dwa nazwiska: Baptiste Giabiconi i Sebastien Jondeau. Obaj walczą o tytuł pierwszego faworyta.

Karl Lagerfeld, jako że nie posiadał spadkobiercy biologicznego, stworzył sobie rodzaj „bliskiej rodziny” składającej się z siedmiu członków. Dla nich zrobił zapisy w testamencie.

W gronie tym znajdują się: Baptiste Giabiconi, Sebastien Jondeau, Françoise Caçote (której powierzono opiekę nad kotką Choupette), szefowa PR Caroline Lebar, amerykański model Brad Kroenig i jego syn Hudson (chrześniak Lagerfelda) oraz amerykański model Jake Davis.

Jak donosi dziennik „Le Parisien”, ta siódemka podzieliła się na dwie grupy: zwolenników Giabiconiego i stronników Jondeau. Dwaj rywale zaprzęgli media do walki jako sojuszników swojego pojedynku. W programach telewizyjnych, w gazetach prześcigają się w wychwalaniu roli, jaką odegrali w życiu sponsora. Giabiconi swoją „synowsko-ojcowską” relację z mistrzem Karlem opisał nawet w książce „Karl i ja”. W wywiadzie telewizyjnym powiedział: „Karl miał siedmiu spadkobierców. Na czele jestem ja”. Jednak według doniesień magazynu „Voici” Giabiconi kilka miesięcy przed śmiercią Lagerfelda miał jakoby pokłócić się z nim

i relacja została zerwana. Faworyt informację dementuje.

Tymczasem pojawia się zagadka związana z jedną osobą, która mogłaby przyczynić się do wyjaśnienia okoliczności całej sprawy. Chodzi o tajemnicze zniknięcie głównego księgowego Lagerfelda, Luciena Frydlera. Od września 2019 r. nie daje on znaku życia. Wcześniej odmawiał komunikowania się ze spadkobiercami, nie odbierał od nich telefonów. Małżonka 87-letniego zaginionego twierdzi, że wcale nie uciekł na egzotyczną wyspę, tylko jest bardzo chory, zamknął gabinet i przebywa w odosobnieniu w Paryżu.

CHOUPETTE ODZIEDZICZY?

A co z Choupette, kotką birmańską, którą Kaiser otrzymał na Boże Narodzenie 2011 r. od swojego faworyta Baptiste'a Giabiconiego? „Jeśli mi się coś stanie, to ona zostanie moją spadkobierczynią” – powiedział jej pan pięć lat temu w programie telewizyjnym.

Czy to możliwe, żeby otaczana luksusami kotka odziedziczyła majątek swojego pana?

Takiego przypadku, który możliwy jest w ustawodawstwie amerykańskim, francuskie prawo nie przewiduje. Można jednak wyznaczyć opiekuna zwierzęcia, którą to rolę powierzono Françoise Caçote. Koteczka przebywa w paryskim mieszkaniu zmarłego projektanta, spędza dnie na zabawach, żyjąc od posiłku do posiłku. Oczywiście specjalnie dla niej przygotowywanego, gdyż Whiskas ani temu podobne przemysłowe gotowce absolutnie nie wchodzi w grę. Na pytanie, czy kotka będzie miała kiedykolwiek potomstwo, Karl Lagerfeld odpowiadał, że jest to kwestia zbyt intymna, żeby o niej mówić publicznie.

Tymczasem znalazł się ktoś, kto postanowił kotkę umiejętnie zmonetyzować. W zeszłym roku Lucas Bérullier, założyciel agencji zwierzęcych gwiazd, podpisał z maskotką Lagerfelda (czytaj: jej opiekunką) kontrakt na prawa do dysponowania wizerunkiem. Tak że, kto wie, Choupette rozpocznie być może nową karierę influencerki... Podobno świetnie czuje się przed obiektywem swojej obecnej pani. Jej konto ma już prawie 40 tys. followersów. Pieniądze z kociego profilu mają być przeznaczane na pomoc bezdomnym zwierzętom. Przynajmniej to.

Przecież jej pan zawsze chciał, by poszła w jego ślady i została sławna.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone



FOT. ADRIAN STOK

To jest żywy lek



Z prof. Sebastianem Giebelem, hematologiem
rozmawia Katarzyna Pinkosz

KATARZYNA PINKOSZ: W styczniu w kierowanej przez pana klinice komórki CAR-T, czyli zmodyfikowane genetycznie limfocyty T, dostała druga pacjentka w Polsce. Była chora na chłoniaka, wcześniejsze terapie nie pomogły. Jak dziś się czuje?

PROF. SEBASTIAN GIEBEL: Bardzo dobrze, cieszy się życiem. Efekty zastosowania komórek CAR-T są u niej znakomite, a była to pacjentka praktycznie bez szans. Do dziś ten sposób leczenia zastosowaliśmy u dwóch kolejnych osób.

O terapii CAR-T mówi się, że jest to „nadzieja dla pacjentów bez nadziei”. Na jakim etapie choroby się ją stosuje?

Dzisiaj jest zarejestrowana w dwóch wskazaniach: chłoniak rozlany z dużych

komórek B (u osób dorosłych) i ostra białaczka limfoblastyczna (u dzieci i młodych osób do 25. roku życia). Dotyczy to pacjentów, u których wcześniej bez powodzenia stosowano co najmniej dwie linie leczenia. Zwykle nie mamy im już nic więcej do zaoferowania, a przewidywany czas życia wynosi najwyżej kilka miesięcy.

Na dziś komórki CAR-T to najbardziej obiecująca metoda leczenia w onkologii. W badaniach klinicznych była stosowana, gdy zawiodły wszystkie inne formy terapii. U ok. 50 proc. chorych na chłoniaka udało się uzyskać całkowitą remisję (wycofanie choroby), a u ok. 30–40 proc. ta remisja jest trwała, co w praktyce

może oznaczać wyleczenie z choroby nowotworowej. Czas obserwacji nie jest jeszcze długi, bo wynosi ok. dwóch lat, jednak w tego typu chorobach, jeśli ma dojść do nawrotów, dzieje się to zwykle już po kilku miesiącach. Pacjenci, którzy mają remisję powyżej dwóch lat, z dużym prawdopodobieństwem są wyleczeni. W przypadku dzieci chorych na ostrą białaczkę limfoblastyczną szansa na wyleczenie sięga nawet 60 proc. A dotyczy to dzieci, których rokowanie było beznadziejne.

W czym tkwi sekret skuteczności tej metody?

To leczenie wykorzystuje komórki własnego układu odpornościowego. Każdy ma wyspecjalizowane komórki, które na co dzień starają się nie dopuścić do rozwoju nowotworu. U osób, u których on się rozwinął, te komórki tracą skuteczność, przechodzą w stan uśpienia. Metoda

polega na tym, żeby „wyłować” je z krwi i przeprogramować. Wprowadza się do nich gen, który pozwala im na nowo rozpoznawać nowotwór. Potem dodatkowo się je namnaża. Mówiąc obrazowo: z rozproszonych oddziałów wojska robimy silną, wyspecjalizowaną armię, która potrafi rozpoznać przeciwnika i z nim walczyć. Po modyfikacji genetycznej wprowadza się je z powrotem do krwi pacjenta, by mogły wykonywać swoje zadania.

Niezwykłość tej metody polega też na tym, że to nie jest lek, który zadziała i zniknie. Część z tych komórek może przetrwać wiele miesięcy, być może nawet lat, stanowiąc straż, która chroni przed nowotworem. To jest żywy lek.

Jest szansa, że CAR-T będą stosowane też w innych chorobach?

Toczy się wiele badań. Spodziewamy się, że nowe tego typu produkty – mówię „produkty”, bo to nie są leki, które pojawiają się na półce – będą mogły być zarejestrowane u chorych na szpiczaka plazmocytozy. Na dziś jest to choroba nieuleczalna, być może dzięki CAR-T otworzy się szansa na wyleczenie. Prowadzone są też badania w innych nowotworach krwi, a także w tzw. nowotworach litych. Potrzebne są jednak dalsze badania i dalsze doskonalenie tej technologii. Wierzę, że za kilka, kilkanaście lat stanie się ona powszechnie stosowana, pozwoli wyleczyć większość chorych na nowotwory.

Na dziś to jedna z najdroższych metod leczenia onkologicznego: koszt terapii to ok. 1,3–1,5 mln zł. Tak wysoka cena wynika z tego, że to terapia przygotowana indywidualnie dla chorego, z wykorzystaniem jego własnych komórek. Limfocyty trzeba pobrać, zamrozić, przetransportować do laboratorium, zmienić genetycznie, namnożyć, znów zamrozić, przewieźć do pacjenta, podać.

Agencja Badań Medycznych ogłasza grant na wsparcie stworzenia komórek CAR-T w Polsce. Czy jest u nas szansa na rozwinięcie tej technologii i podawanie chorym?

Jak najbardziej. Wiele obiecujemy sobie po tym konkursie. Są w Polsce laboratoria, które mogłyby wytwarzać komórki CAR-T, opracowywać je od początku lub wykorzystywać licencję udostępnioną przez innych producentów. Są też ośrodki, które mają doświadczenie w leczeniu w ten sposób pacjentów: oprócz naszej kliniki to ośrodek hematologii w Poznaniu oraz



dr Radosław Sierpiński, prezes Agencji Badań Medycznych: 100 mln zł od ABM na „polskie komórki CAR-T” – najnowocześniejszą technologię w medycynie

Konkurs startuje w tym tygodniu, do końca sierpnia chcemy zakończyć proces naboru. ABM przeznaczy 100 mln zł jako grant dla jednego konsorcjum, w którego skład wejdą naukowcy wytwarzający tę technologię oraz grupy klinicystów podających pacjentom komórki CAR-T. Spośród wszystkich złożonych wniosków wyłonią jednego beneficjenta, który będzie zajmował się w Polsce tą technologią. Zakładamy, że jednym z kryteriów premiujących będzie posiadanie partnera międzynarodowego. Deklaracja o współpracy prezydentów Donalda Trumpa i Andrzeja Dudy otwiera możliwość współpracy polskich naukowców z amerykańskimi. MD Anderson, który konsultował polski Cancer Plan, być może będzie też służył wsparciem przy tworzeniu polskich komórek CAR-T.

Pomysł na grant z zakresu wprowadzenia do Polski technologii CAR-T cells zrodził się przede wszystkim z potrzeby społecznej. To technologia skuteczna, ale niezwykle droga, leczenie jednego pacjenta kosztuje obecnie minimum pół miliona dolarów. Jeszcze w ubiegłym roku była całkowicie niedostępna dla polskich pacjentów; żeby ją otrzymać, musieli wyjeżdżać za granicę. Postanowiliśmy wdrożyć technologię CAR-T w Polsce, ponieważ jest skuteczna i obiecująca, a polscy naukowcy są gotowi, by tę technologię wytworzyć i wdrożyć na stałe do polskiego systemu ochrony zdrowia. Liczymy, że w ciągu kilku lat dzięki tym działaniom otrzyma ją kilkuset pacjentów: wszyscy, którzy będą kwalifikować się do leczenia.

Technologia CAR-T się zmienia, lista wskazań do jej stosowania wydłuża się, kolejne prace naukowe pokazują, że może ona znaleźć zastosowanie w leczeniu kolejnych nowotworów. Tym bardziej uważamy, że Polacy zasługują, by była to technologia rodzima. To technologia bardzo innowacyjna, jednak realny koszt podania może być nawet dziesięciokrotnie niższy niż obecne ceny. Chcemy, by dzięki grantowi ABM to najnowocześniejsze leczenie mogli otrzymać wszyscy pacjenci w Polsce, którzy będą się do niego kwalifikować.

hematologii dziecięcej we Wrocławiu. Mamy kompetencje, naukowców, którzy są w stanie taką technologię opracowywać, oraz infrastrukturę, by bezpiecznie leczyć. Taka technologia stworzona od zera w Polsce na pewno byłaby znacznie tańsza, a więc też bardziej dostępna dla pacjentów.

Jak dużo czasu trzeba, by można było taką technologię w Polsce wytworzyć i móc zastosować?

Sądzę, że taka praca od początku, czyli od prac laboratoryjnych do rejestracji leku, to co najmniej pięć–sześć lat. Nie startujemy jednak od zera, pewne kroki zostały już podjęte, są laboratoria, które przeprowadziły pierwszy etap badań, dlatego mam nadzieję, że udałoby się to zrobić szybciej. Badania nad technologią CAR-T toczą się na całym świecie w różnych wskazaniach. Nie powstanie jeden uniwersalny produkt, on będzie dla każdej choroby nieco inny. Obszar badań jest więc bardzo szeroki i musimy w nim znaleźć własne miejsce.

Na pewno prace można by skrócić dzięki zakupowi licencji, co pozwoliłoby na pominięcie wszystkich etapów badań przedklinicznych – laboratoryjnych. Uważam jednak, że niezależnie od tego powinny toczyć się prace nad stworzeniem w Polsce takich terapii zupełnie od podstaw, żebyśmy mieli swój wkład w tę dziedzinę wiedzy.

To ważne nie tylko dla pacjentów, lecz także dla polskiej nauki?

Tak. Uważam, że leki, które zostaną przebadane w Polsce, będą mogły zostać zarejestrowane przez Europejską Agencję Leków (EMA) i być stosowane u polskich pacjentów, ale też w innych krajach.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone



prof. Sebastian Giebel
– jest kierownikiem Kliniki
Transplantacji Szpiku
i Onkologii Narodowego
Instytutu Onkologii w Gliwicach.



JACEK KOMUDA

RYCERZE I WARCHOŁY

Żywot Halszki Ostrogskiej

Elżbieta z Ostrogskich, córka Eliasza, możnowładcy litewsko-ruskiego, zwana także Halszką z Ostroga, stała się ofiarą jednej z najbardziej krwawych waśni magnackich XVI stulecia. Historia to ponura, niemal gotowy scenariusz albo konspekt powieści historycznej, z nieciekawym zakończeniem. Jakby na pamiątkę tych wydarzeń pozostała legenda, jakoby duch bohaterki miał ukazywać się po dziś dzień na zamku w Szamotułach w Wielkopolsce jako zjawy Czarnej Halszki.

Elżbieta, jedyna córka Eliasza Ostrogskiego i Beaty Kościeleckiej, straciła ojca, kiedy była jeszcze w łonie matki. Odziedziczyła jednak po nim połowę ogromnego majątku na Ukrainie – miasta Połonne, Kropiów i Cudnow z zamkami, a także wielkie połacie ziemi. Już w kołysce stała się najbogatszą panną na Litwie i w Polsce, a rodowa fortuna Ostrogskich stała się jej przekleństwem, gdyż nieszczęsną dziedziczkę wydzierano sobie siłą, zmuszając do kolejnych małżeństw i zabijano konkurentów do jej ręki. Halszka była zdominowana psychicznie przez matkę – Beatę z Kościeleckich, urodzoną intrygantkę, wychowywaną na dworze królowej Bony, być może nawet nieślubną córkę Zygmunta I Starego. Chciała ona znaleźć dla córki najbogatszego męża spośród książąt i magnatów i dlatego decydowała o każdym jej kroku, odbierając Halszce nawet pozory wolności. Prawa wdowy ograniczali jednak opiekunowie ustanowieni przez ojca i sejm. Byli to: kniaź Fiodor Sanguszko i Konstanty Ostrogski, przyrodni brat Eliasza. A także król będący jednocześnie wielkim księciem litewskim, Zygmunt August miał w wyborze męża dla Halszki głos decydujący.

Tymczasem w 1553 r. Wasyl Ostrogski postanowił wydać Elżbietę za Dymitra Sanguszkę, syna



FOT. WIKIPEDIA

zmarłego właśnie Fiodora. Kiedy jednak król sprzeciwił się temu, nieprzychylna była też wdowa, postanowił uciec się do podstępu. Wysłał najpierw Dymitra niby to w gościnę do Ostroga, a kiedy ten wywołał w bramie awanturę, jego ludzie wpadli z zaskoczenia do zamku, biorąc szturmem twierdzę, chwytając Beatę Ostrogską i jej córkę. Matka została uwięziona, a Halszkę Wasyl zmusił do ślubu z Sanguszką. Był to jednak dopiero początek awantury. Kiedy bowiem Zygmunt August dowiedział się o zajeździe, nakazał Wasylowi i Dymitrowi stawić się na sąd w Knyszynie. Gdy tego nie uczynili, skazał Ostrogskiego na utratę opieki nad Elżbietą, a Sanguszkę na infamię i utratę dóbr; nakazał też oddać 14-letnią Halszkę matce. Dymitr jednak uciekł z wybranką do Czech, chcąc schronić się pod skrzydłami ówczesnego cesarza Ferdynanda Habsburga. Od razu jednak po tak łakomy kąsek ruszyła pogoń. W pościg rzucili się Kościeleccy, Górkowie, najwięcej jednak szczęścia miał Marcin Zborowski, ojciec niesławnego Samuela. Ten dopadł Sanguszkę w Łysej pod Pragę, już na terytorium cesarstwa, gdzie Dymitr urządził uroczyste weselne. Ludzie Zborowskiego zmienili ją w krwawe swaty, gdyż wpadli tam, schwytali Sanguszkę, zakuli go w kajdany i uwięzili do Jaromierza. Tutaj, obawiając się, że jeniec może się wymknąć, Zborowski kazał go

zamordować, zamierzał bowiem z kolei wydać Halszkę za jednego ze swoich siedmiu synów. Sam jednak został uwięziony przez cesarza oburzonego jego postępowaniem (Sanguszko wszak został zabity poza granicami Rzeczypospolitej), Halszkę zaś zwrócono matce.

Tym razem król postanowił wydać nieszczęsną za Łukasza Górkę, wojewodę brzesko-kujańskiego. I znów sprzeciwiła się temu Beata, którą jednak zmuszono siłą; ślub odbył się na zamku w Krakowie w 1559 r., nie został jednak uznany przez wdowę, która upatrzyła sobie dla Halszki innego kandydata – księcia słuckiego Siemiona Olelkowicza. W dodatku małżeństwo nie zostało skonsumowane. Korzystając zatem z tego, że Górka wyjechał na wojnę, wdowa uprowadziła córkę i schroniła się z nią w klasztorze Dominikanów we Lwowie. Kiedy rozwścieczony wojewoda rozpoczął jego obłężenie, wytrwała do chwili, gdy przeciwnicy odcięli mnichom dostęp do wody. Kiedy jednak triumfujący Górka wkroczył do klasztoru, okazało się, że... Halszka zaślubiła w tym czasie Olelkowicza, który dostał się do konwentu w przebraniu żebraka, małżeństwo zostało zaś natychmiast skonsumowane. Król jednak nie uznał tego związku, więc Górka zabrał żonę i osadził pod strażą na zamku w Szamotułach, gdzie pozostawała w niewoli aż do jego śmierci w 1573 r. Wówczas o rękę 34-letniej wdowy poprosił Jan Ostoróg; do małżeństwa jednak nie doszło, gdyż opiekunem Halszki został Janusz Ostrogski, syn jej stryja Wasyla, który udzielił jej dożywotniej gościnności na zamku Dubno. Elżbieta, wymęczona kolejnymi awanturami, w których kandydaci do jej ręki, a przede wszystkim – do majątku, wydzielali ją sobie z rąk, mieszkała tam w spokoju aż do śmierci w 1582 r. ©©

Dokładnie trzy miesiące temu zaczęła działać stworzona przez rząd tarcza antykryzysowa, będąca kompleksowym pakietem narzędzi pomagających stłumić gospodarcze skutki pandemii koronawirusa. Jej skuteczność to w dużym stopniu zasługa zaangażowania Ministerstwa Rodziny, Pracy i Polityki Społecznej, które od wybuchu pandemii postawiło sobie za priorytet ochronę miejsc pracy. Aby to osiągnąć, zastosowało różne instrumenty finansowego wsparcia, m.in. dofinansowanie do wynagrodzeń pracowników czy zwolnienie ze składek ZUS dla tych przedsiębiorców, których sytuacja finansowa pogorszyła się na skutek epidemii koronawirusa.

– Już od trzech miesięcy realnie wspieramy polską gospodarkę, pracowników i przedsiębiorców. To efekt dobrej współpracy rządu oraz pana prezydenta Andrzeja Dudy – mówiła pod koniec czerwca minister rodziny, pracy i polityki społecznej Marlena Małag podczas briefingu w Zakopanem.

SKUTECZNE MECHANIZMY POMOCOWE

Dowodem na skuteczność działań rządu, a w szczególności resortu rodziny, pracy i polityki społecznej, jest przekazanie do gospodarki w ciągu 100 dni pandemii 100 mld zł, które uratowały 5 mln miejsc pracy.

W ostatnich dniach MRPiPS podsumowało trzy miesiące działań w ramach

Miliardy na ochronę 5 mln miejsc pracy

Gospodarczy kryzys, w obliczu którego stanęliśmy na skutek pandemii koronawirusa, byłby znacznie poważniejszy, gdyby nie przygotowane przez rząd skuteczne i efektywne narzędzia pomocowe dla przedsiębiorców i pracowników

tarczy antykryzysowej. Do 2 lipca br. na ochronę miejsc pracy i polskiej gospodarki przeznaczono ponad 106 mld zł.

– To realne wsparcie dla przedsiębiorców i pracowników. Dzięki naszym działaniom, przygotowanym instrumentom i finansowemu wsparciu przedsiębiorców udało się ochronić ponad 5 mln miejsc pracy – mówi minister Małag.

Co istotne, rozwiązania wdrożone dzięki przygotowanej przez rząd specustawie związanej z COVID-19 nie tylko zneutralizowały, lecz także nadal minimalizują negatywne skutki epidemii koronawirusa. Najistotniejsze z nich to m.in. przygotowane przez MRPiPS dofinansowanie do wynagrodzeń. Pomoc przysługuje przedsiębiorcom,

u których wystąpił istotny spadek obrotów z działalności gospodarczej.

Instrument ten pomógł pracodawcom wypłacać należne pracownikom wynagrodzenia za pracę. Kolejnym rodzajem pomocy dla przedsiębiorców jest okresowe zwolnienie na trzy miesiące (marzec, kwiecień, maj) z opłacania składek na ubezpieczenia społeczne, ale składki te są przypisywane na kontach pracowników. MRPiPS przygotowało też świadczenie postojowe. To pomoc dla osób samozatrudnionych i świadczących usługi na podstawie umów cywilnoprawnych. Przypomnijmy, że postojowe to trzykrotna wypłata po 2080 zł, z której do końca czerwca br. skorzystało już blisko 1,8 mln osób – w sumie wypłacono ponad 3,44 mld zł.

DOFINANSOWANIA, UMORZENIA I POŻYCZKI

W przetrwaniu ciężkich chwil związanych z pandemią mikroprzedsiębiorcom pomagają też umarzalne pożyczki w wysokości 5 tys. zł. Łącznie wypłacono 8,3 mld zł dla 1,67 mln wnioskodawców. Warunkiem umorzenia jest kontynuacja działalności gospodarczej przez trzy kolejne miesiące od dnia udzielenia pożyczki. Dodatkowo tym wsparciem objęte zostały organizacje pozarządowe. Do tego dochodzi również dodatek solidarnościowy dla byłych pracowników, których pracodawcom nie udało się pokonać trudności związanych z koronawirusem. To efekt udanej współpracy z prezydentem Andrzejem Dudą, dzięki czemu polskie rodziny w jak najmniejszym stopniu odczuwają skutki kryzysu. Dodatek otrzymują osoby, które w następstwie epidemii koronawirusa po 15 marca straciły pracę w wyniku rozwiązania z nimi umowy lub jeśli ich umowa wygasła z uwagi na upływanie terminu. Przysługuje on od 1 czerwca, przez trzy miesiące, w kwocie 1400 zł miesięcznie. Od września podniesiony zostanie zasiłek dla bezrobotnych do kwoty 1200 zł miesięcznie. Trzeba tu także wspomnieć o bonie turystycznym w wysokości 500 zł, z którego skorzysta ok. 6 mln dzieci, a który pomoże także polskiej branży turystycznej. Otrzyma go każde dziecko, bez względu na wysokość dochodów w rodzinie – tak jak to obecnie działa w przypadku programu „Rodzina 500+”.



Ministerstwo Rodziny,
Pracy i Polityki Społecznej



Tarcza
Antykryzysowa

BABKA ZIEMNIACZANA POŚŁA LISIECKIEGO

Tradycyjna babka ziemniaczana to potrawa pochodząca z Białorusi, dość dobrze znana także na Podlasiu. Jej podstawą są ziemniaki, czyli warzywo na terenach przygranicznych wśród ludności i polskiej, i białoruskiej dosyć rozpowszechnione, będące w przeszłości ratunkiem przed głodem. Babka ziemniaczana może przybierać różne formy, np. kieszki ziemniaczanej, czyli kieszki wypchanej ziemniakami. Potrawa ta zdobyła na Podlasiu taką popularność, że teraz urządza się nawet mistrzostwa w jej pieczeniu. Jako że część mojej rodziny po kądzieli pochodzi z tamtych stron, w czasach mojego dzieciństwa babka ziemniaczana dość często gościła na naszym stole.

Składniki:

- 2 kg ziemniaków
- 1 duża cebula
- 2 jajka
- 1 łyżka mąki pszennej
- 1 łyżka mąki ziemniaczanej
- 30–40 dag wędzonki (boczek lub słoninka)
- pieprz ziołowy, sól

Przygotowanie:

Ziemniaki umyć, obrać, zetrzeć na tarce o drobnych otworach i lekko odcisnąć sok. Wędzonkę pokroić w kostkę i podsmażyć na smalcu

lub oleju, dodać pokrojoną w kostkę cebulę i połączyć z masą ziemniaczaną. Dodać mąkę oraz jaja. Masę dobrze wymieszać, przyprawić do smaku i wyłożyć do wysmarowanej smalcem blachy (ewentualnie do blachy wyłożonej papierem do pieczenia). Wstawić do rozgrzanego piekarnika (220 st. C) i piec około godziny. Podawać z surówkami lub kiszonym ogórkiem. ©©

oprac. raw
Paweł Lisiecki
jest posłem
PiS.



FOT. RAFAŁ LATOSZEK/FOTONOWA



JOANNA BOJAŃCZYK

NIEPRAKTYCZNA PANI DOMU

Opowieści rodzinne

Pamiętasz, wtedy jechaliśmy naszym starym garbusem, ty z tyłu razem z Krzysiem, tata prowadził. To było na tej wąskiej, krętej drodze na Głodówkę. Styczeń, 20 stopni mrozu. I nagle zobaczyliśmy przed sobą, dosłownie metr od maski, wielki tir, musiał jechać od granicy...

Tak rozpoczynała się opowieść naszej ciotki Zosi, w zamyśle narratorki mroząca krew w żyłach. To nic, że obecni przy rodzinnym stole słyszeli ją już wiele razy. To nic, że w najważniejszych punktach rozmijała się z rzeczywistością.

– Ciociu, ale to nie był volkswagen, tylko skoda – zauważył kuzyn, który wtedy miał 10 lat. – I Krzysia tam nie było, był chory. I to wcale nie był tir, tylko żuk, furgonetka. No i nie było takiego mrozu, raczej roztopy...

Opowieści rodzinne w miarę ich rozpowszechniania obrastają w grzę i w nowe szczegóły. Od pierwszego narratora przechodzą do następnych; każdy kolejny nie tylko wnosi własną interpretację utworu, lecz także tworzy jego zupełnie odmienną wersję. Niektórzy zawłaszczają historię i opowiadają ją jako własną. Ale powieźdonka, piosenki, przekręcone dziecięce słowa i lektury pełnią też funkcję łącznika rodzinnego. Tylko wtajemniczeni wiedzą, o co chodzi. I to wystarczy.

Jednak czasem zdarza się, że gdy nucimy którąś z dziecięcych piosenek albo gdy mowa jest o zapamiętanym zdarzeniu z dalekiej przeszłości, pojawia się nagle ktoś



FOT. AUBREY STOCK

z zewnątrz, kto tę piosenkę, tę historię również zna.

Właśnie coś takiego zdarzyło mi się niedawno. Znajomy/nieznajomy zacytował w swoim poście refren z piosenki ze słuchowiska „Lato Muminków”. To wspaniałe słuchowisko radiowe według książki Tove Jansson z końca lat 70., z udziałem wybitnych tamtego czasu: Holoubka, Hanin, Czechowicza, Kęstowicza, Bończaka. Dla Teatru Dramatycznego w Wałbrzychu tekst zaadaptował reżyser Andrzej Maria Marczewski. Teksty piosenek napisał Bogdan Chorażuk, muzykę skomponował Tadeusz Woźniak. W naszym domu słuchowisko było milion razy odsłuchiwane. Uwielbialiśmy je. Dzieci i wnuki znają piosenki na pamięć.

I oto spotykam kogoś, kto przemawia tajnym kodem.

„Muminki puszczałyśmy też w okresie studenckim na stacji. Robiły furorę. Cała grupa mówiła tymi tekstami... sama radość. W samochodzie też puszczałyśmy nasze ulubione piosenki”.

To wystarczyło, żebyśmy zawarli przyjaźń. Internetową. Bliskość poglądów politycznych też miała znaczenie, szczerze mówiąc. W braterstwie wspomnień moim towarzyszem został Marek Bańczyk. ©©

Smartfonowa rewolucja z eDO App



FOT. ADRIAN STOK

Sprawy urzędowe, ubezpieczenia, bankowość, kwestie medyczne czy usługi dla małych firm. Do tej pory, aby załatwić te formalności, potrzebne były tradycyjny dowód i czasochłonne wizyty w różnych instytucjach. Dzięki aplikacji eDO App stworzonej przez Polską Wytwórnię Papierów Wartościowych oraz e-dowodom to już melodia przeszłości. Żeby w pełni korzystać z dobrodziejstw elektronicznych usług, wystarczy telefon, który używa popularnej technologii NFC. Prościej się nie da!

W zamyśle twórców eDO App jest alternatywą dla tradycyjnych czytników e-dowodów. Umożliwia logowanie do e-urzędów, użycie podpisu elektronicznego w sieci, potwierdzenie Profilu Zaufanego czy podpisanie wniosku o kartę tachografową w serwisie Info-Car. To oczywiście nie koniec, bo twórcy aplikacji zapewniają, że wkrótce funkcjonalności będzie więcej. I najważniejsze: aplikacja jest bezpłatna i można ją pobrać ze sklepów Google Play oraz App Store na smartfony z systemami Android i iOS.

– Jako producent polskich dokumentów PWPW od lat stawia na pierwszym miejscu obywateli i ich bezpieczeństwo. Teraz, dzięki eDO App, dajemy Polakom możliwość wygodnego wykorzystywania e-dowodu w sposób zdalny – mówi Konrad Jaczewski, dyrektor Pionu Rozwiązań Cyfrowych PWPW. Podkreśla, że z aplikacji można korzystać o dowolnej porze z każdego miejsca miejsca na świecie.

APLIKACJA PEŁNA KORZYŚCI

Możliwości, które daje eDO App, docenią osoby aktywne zawodowo

ale również młodzi, wchodzący dopiero w dorosłe życie a także emeryci. Ci, którzy dzielą swój czas pomiędzy wychowywanie pociech i pracę z domu oraz ci, którzy kochają być w ruchu lub muszą dużo podróżować. – Wniosek o świadczenie „500+” czy Kartę dużej rodziny można łatwo i szybko złożyć przy użyciu aplikacji i e-dowodu, który od tradycyjnego dokumentu różni się tym, że posiada warstwę elektroniczną, czyli wbudowany, niewidoczny z zewnątrz chip – mówi Jerzy Judycki, menedżer produktu eDO App.

Więcej czasu dla siebie będą mieć też m.in. przyszli kierowcy. Oni także nie muszą odrywać się od swoich zajęć, ponieważ będą mogli zapisać się na egzamin na prawo jazdy za pośrednictwem portalu Info-Car przy pomocy eDO App.

Użytkownicy, którzy już korzystają z nowego narzędzia, chwalą aplikację. Ich zdaniem jest ona bardzo funkcjonalna i prosta w użyciu. – Tworzysz dokument i podpisujesz go. Odbiorca ma pewność, że to od ciebie i nic nie zmieniono – tłumaczy.

Jeśli ktoś zdecyduje się na wymianę dowodu na dokument z warstwą

elektroniczną, to może liczyć na same korzyści. Co ważne, taka wymiana jest bezpłatna. Wystarczy złożyć odpowiedni wniosek: w dowolnym urzędzie gminy, niezależnie od adresu zameldowania, albo przez Internet. Posiadanie e-dowodu jest coraz popularniejsze – ma go już ponad 3 mln Polaków.

Co zrobić, żeby zacząć korzystać z eDO App? Najpierw trzeba ściągnąć aplikację na swój smartfon. Następnie w Internecie wybieramy operację, którą chcemy wykonać. Sprawdzamy, czy dane się zgadzają, a jeśli tak, należy kliknąć przycisk „POTWIERDZAM”. Zatwierdzenie danej czynności wymaga podania numeru CAN (znajdziemy go w prawym dolnym rogu e-dowodu). Przykładamy swój dokument do telefonu, wprowadzamy czterocyfrowy PIN nadany w urzędzie i... gotowe!

CO Z BEZPIECZEŃSTWEM DANYCH?

Twórcy eDO App zapewniają, że ich produkt jest w pełni bezpieczny. Dane przesyłane są bowiem godnym zaufania, szyfrowanym połączeniem, a aplikacja chroni informacje przed nieuprawnionym skopiowaniem i dalszym wykorzystaniem.

– Aplikacja nie zapisuje żadnych danych z e-dowodu w telefonie. Jedyną informacją, jaką możemy zapisać, to numer CAN, który jest nadrukowany na e-dowodzie. Ale nawet on jest ukryty po uruchomieniu aplikacji – zapewnia Jerzy Judycki. Podkreśla, że nawet po stracie telefonu użytkownicy aplikacji nie muszą się obawiać o bezpieczeństwo.

Nie ma możliwości, żeby ktokolwiek używał naszych informacji bez naszej zgody. – Rozwiązania użyte w eDO App bazują na jednorazowych operacjach, podobnie jak transakcja płatnicza. Każda jest unikalna – tłumaczy Judycki. Przekonuje, że osoby nieuprawnione nie mają żadnej możliwości, żeby przejąć nasze dane.

Twórcy aplikacji wciąż pracują nad poszerzeniem katalogu partnerów o kolejnych usługodawców. Już niebawem eDO App zyska więc kolejne funkcjonalności. Więcej o aplikacji i usługach, które oferuje, znajdziesz na: www.edoapp.pl.

TEST „DO RZECZY”: MINIPC INTEL NUC 10

Nowoczesny design, bardzo małe rozmiary, dobra wydajność i możliwość łatwej rozbudowy – to największe zalety mieszczącego się na dłoni komputerka stacjonarnego.

Z badań prowadzonych podczas pandemii wynika, że większość pracowników polubiła zdalną pracę w domu i ani myśli na stałe wracać do biura. W domowym gabinecie, który często służy też np. jako pokój zabaw, prasownia lub miejsce do suszenia prania, zwykły duży komputer stacjonarny może istotnie przeszkadzać. Intel proponuje więc zastąpić go zminiaturyzowaną wersją, czyli wydajnym komputerem ukrytym w niewielkiej obudowie o wymiarach 11,7 cm x 12,2 cm x 5,1 cm (w wersji, w której jest miejsce na dysk twardy). Jej wierzch został pokryty czarnym, lśniącem plastikiem. Lśniący plastik widnieje też z przodu urządzenia.

MiniPC Intela można łatwo podłączyć do monitora lub telewizora. Wystarczy dodać bezprzewodową klawiaturę oraz mysz i można już spokojnie pracować lub świętować to, że „głupiutki” telewizor nagle stał się „smart”. Komputerek dobrze sprawdzi się także w roli

podstawowego komputera domowego czy niewielkiego serwera plików dla domu lub małego biura. Po podłączeniu mocnej zewnętrznej karty graficznej pozwoli zaś popracować na progra-



mach do obróbki zdjęć i wideo lub odprężyć się i odpalić nawet najnowsze gry (wbudowana karta Intel UHD jest niestety na to za słaba).

Testowany minikomputer Intel NUC 10 został wyposażony w wydajny sześciordzeniowy procesor IntelCore i7, 16 GB pamięci RAM, dysk SSD 256 GB oraz klasyczny, magnetyczny dysk o pojemności 1 TB. Zaletą MiniPC jest możliwość niemal dowolnej konfiguracji: w razie potrzeby można więc bez problemu zmienić dysk twardy czy kość pamięci RAM (maksymalnie do

64 GB). Nie da się jedynie zmienić procesora. Pod względem wydajności Intel NUC 10 wypada nieźle. Jego możliwości można porównywać do możliwości laptopów należących do tych najbardziej wydajnych. Przy dużym obciążeniu

minikomputer staje się jednak dość głośny, a przy okazji mocno gorący.

Intel NUC 10 daje też użytkownikowi do dyspozycji bardzo przyzwoity zestaw złączy. Na przednim panelu znajduje się po jednym złączu USB C, USB 3.0 oraz wyjście audio 3,5 mm na słuchawki oraz mikrofon. Z tyłu umieszczono

bardzo przydatne złącze Thunderbolt 3, dwa USB 3.1, pełnowymiarowe wyjście HDMI 2.0 oraz Gigabit Ethernet. Za obsługę łączności bezprzewodowej odpowiada układ Intel Wi-Fi 6. Z boku umieszczony jest z kolei slot na karty SD.

Mały stacjonarny komputer Intel NUC 10 w testowanej konfiguracji można kupić za ok. 4,2 tys. zł. W najtańszej wersji z procesorem IntelCore i3, 4 GB pamięci RAM oraz dysk HDD 1 TB zakup komputera w miniobudowie to koszt ok. 2,5 tys. zł. To nieźle jak na zastosowane podzespoły i niewielkie rozmiary. ©©

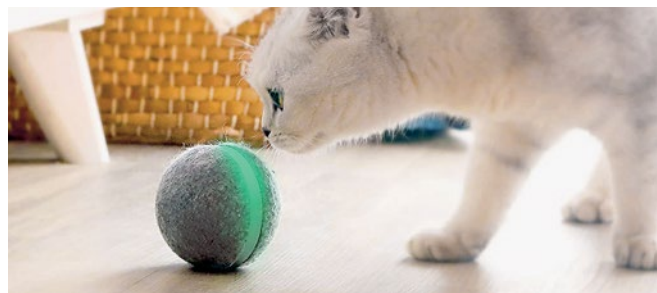
Jacek Przybylski



MASECZKA Z DIODAMI LED

– Przez tę maseczkę nie widać, ale uśmiecham się do pana – usłyszałem ostatnio od jednej z miłych ekspedientek w podwarszawskiej miejscowości. Już wkrótce wyrażanie emocji podczas pandemii może stać się łatwiejsze. Tyler Glaiel stworzył maskę na twarz z elastyczną matrycą LED z 16 światłami LED, które podczas mówienia odwzorowują ruch ust i mogą np. ułożyć się w kształt uśmiechu. Światła mogą się też zmieniać w zależności od wypowiedzianych przez użytkownika słów. Twórca maski nie zamierza jej sprzedawać, ale na platformie GitHub podał dokładną instrukcję jej wykonania. Komponenty do maski kosztują ok. 200 zł. Niestety, by okazywać emocje w maseczce, trzeba wszędzie nosić ze sobą m.in. akumulator 9V.

INTELEKTUALNA ZABAWKA DLA... KOTÓW



Każdy właściciel kota wie, że te miauczące istoty mocno się stresują, gdy właściciela zbyt długo nie ma w domu, co w najlepszym razie oznacza porysowane meble. Nawet jeśli w domu pan lub pani akurat jest, to futrzaki i tak najczęściej chcą się bawić właśnie wtedy, kiedy jest do napisania pilny e-mail, tekst lub gdy rozpoczyna się ważna telekonferencja. Aby zapewnić futrzakom rozrywkę, powstała interaktywna gra, która wykorzystuje inteligentną piłeczkę cheerble, która nie zatrzymuje się po natrafieniu na przeszkodę i potrafi zachęcić miauczących przyjaciół do spokojnej lub szaleńczej zabawy. Oczywiście zabawka może zainteresować nie tylko koty, lecz także psy. Cheerble można zamawiać na Indiegogo. Cena: 140 zł. Dostawa w sierpniu. ©©

Jacek Przybylski



IGOR ZALEWSKI

POD WĄS

Cienie w wirtualnej jaskini

Kampania wyborcza to jeden z tych momentów, kiedy media społecznościowe rozgrzewają się do czerwoności. Dlatego chciałbym przypomnieć – ludzie na Twitterze, Facebooku czy Instagramie nie są prawdziwi. Prawdziwych ludzi spotkamy, gdy się z nimi... spotkamy.

Ostatnio spędziłem kilka miłych godzin ze znajomą, której nie mogłem znieść na Facebooku. Na tymże ona prowadzi krucjatę antyklerykalną. Ma kompletnego hopla. I jest strasznie monotematyczna. Nawet gdybym miał poglądy jej bliskie, byłbym zmęczony obsesyjnym wrzucaniem obrazków, linków i filmików przedstawiających Kościół oraz religię w jak najgorszym świetle. Wojujący ateści są męczący, ale równie męczący mogą być wielbicieli kotów strzelający długimi seriami zdjęć swoich milusińskich. Czy młodzi rodzice epatujący miłością do własnych dzieci tak bardzo, że człowiek zaczyna rozumieć Heroda i jego niechęć do niemowlaków.

Spotkania z ową antyklerykalną znajomą w realu nie mają nic wspólnego z jej działalnością w mediach społecznościowych. To zupełnie inny człowiek, który nie przypomina swojego internetowego alter ego. Nie to, że ukrywa swe poglądy, broń Boże! Ale są one rozcieńczane przez setki jej innych cech, które w ogromnej większości są sympatyczne i urocze. A poza tym trudno ciągle gadać o tym,

jak szkodliwa jest religia, bo to jednak dosyć nudne. I jeśli o tym rozmawiamy, to głównie w ten sposób, że ja się trochę z niej nabijam, a ona się nie obraża, a nawet też troszkę śmieje. Zasadniczo mówimy jednak o innych rzeczach. I jest miło.

Zmierzam do tego, że za różnymi wpisami i oświadczeniami – głupimi, agresywnymi, irytującymi, niemądrymi, fałszywymi, namolnymi, absurdalnymi czy obsesjonackimi – stoją ludzie, których nie powinniśmy redukować do tych wpisów. Media społecznościowe mają to do siebie, że wyostwiają jedynie część obrazu człowieka. Jego reszta jest zamazana albo w ogóle jej nie widzimy. Nie ulegajmy złudzeniu, że znamy kogoś, bo czytamy jego społecznościowe wypociny. Nie, nie znamy go. Najbardziej wkurzający facebookowy aktywista, od którego wykrzykników lub prowokacji bolą nas zęby, może się okazać troskliwy, przyjacielski, lojalny czy szlachetny. Może być po prostu zacnym i wartościowym człowiekiem. Żeby się jednak o tym przekonać, musimy go naprawdę poznać.

Oczywiście, zdarza się i tak, że prawdziwy człowiek jest dokładnie taki sam jak jego socialmediowa emanacja. To rzadkie wypadki, które zastrzegają jedynie na współczucie i społeczny dystans. Zazwyczaj jednak jesteśmy lepsi niż nasze wirtualne wcielenia. Pamiętajmy o tym zwłaszcza podczas kampanii. ©©

MARCIN
MAKOWSKI

JAK MAKIEM ZASIAŁ

Wolnorynkowi „faszyści”

Sekundy po tym, gdy w niedzielny wieczór zaczęły spływać cząstkowe wyniki wyborów prezydenckich, dwie rzeczy okazały się jasne. Nie da się ich wygrać bez próby pozyskania elektoratu Szymona Hołowni, przy równoczesnym braku komplementowania prawie 7 proc. zwolenników Krzysztofa Bosaka. Tylko jak połączyć ideologiczny ogień z wodą? Jak porozkładać akcenty, aby docenić programy kandydata fajnopolskiego oraz narodowca w dobrze skrojonym garniturze? Szczególnie jeśli jest się Rafałem Trzaskowskim, który pierwszy ustawił się w kolejce poparcia Hanny Gronkiewicz-Waltz, w 2018 r. próbującej zablokować Marsz Niepodległości?

Można na przykład udawać, że nigdy nie sugerowało się „neofaszystowskich” poglądów całej Konfederacji, że nie przybijało się piątek z ludźmi, którzy wyborców Bosaka określali „neonazistami”. Można również na chwilę przymknąć lewe oko, a prawym dostrzec, że w sumie Konfederacja ma również odnogę wolnorynkową. A skoro tak, to na pewno uda się dogadać w kwestii niższych podatków, mniejszych obciążeń nakładanych na przedsiębiorców czy wyższej kwoty wolnej od podatku. Wszak Platforma Obywatelska z tego właśnie słynie.

Można również na chwilę zapomnieć, że w mediach liberalnych zapanował sezon na komplementowanie niedawnych brunatnych koszul,

które nagle stały się białymi kołnierzykami. „Wczoraj okazało się, że prawie 7% dorosłych przedstawicieli mojego narodu to faszyści, którzy czują potrzebę przeciwstawienia się »ślepej wierze w tzw. projekt europejski« (z programu Konfederacji) i którzy »propagandę LGBT« będą tępić wszystkimi sposobami, nawet siłą. Czy ktoś chciałby mi to wytłumaczyć?” – napisała np. na Instagramie Monika Zamachowska. Swoją wpis, ilustrowany obrazkiem przeróżnych flag ruchów LGBT, ubogaciła następującymi hashtagami: #przerażona #powyborach.

Niestety trudno było pani Zamachowskiej cokolwiek wytłumaczyć. Gdy napisałem, że określając wyborców Krzysztofa Bosaka mianem „faszystów”, niczego nie zyskała, obrażając jednocześnie setki tysięcy osób, zarobiłem pierwszego na Instagramie bana. Ewidentnie definicja walki o wolność, tolerancję i państwo wolne od nienawiści nie zawiera w sobie pierwiastka polemiki w mediach społecznościowych. Wielka szkoda, bo może przy okazji dowiedziałbym się, co w końcu o konfederatach myśli dziennikarsko-publicystyczny mainstream? Jednego dnia słyszę bowiem komplementy Jacka Żakowskiego, drugiego kpiny Marka Migalskiego. Raz wyborca Bosaka jest rozsądnym fanem Miltona Friedmana, innym razem pogrobowcem Mussoliniego. Chyba warto się zdecydować. ©©



JOANNA SIEDECKA

Z INNEJ PERSPEKTYWY

Figurant John Steinbeck

WPRL pisarzy z Zachodu zapraszano rzadko, i to wyłącznie lewicowych oraz „postępowych”, którzy odwiedzali Polskę, wracając z Moskwy, z „centrali”, jak np. w 1962 r. Jean-Paul Sartre. W listopadzie 1963 r. komunistyczne władze odniosły wielki sukces – z 10-dniową wizytą do Polski przybył „postępowy” według nich, 61-letni wtedy, wybitny amerykański pisarz John Steinbeck, noblista. On również wracał z Moskwy, wysłany przez prezydenta Kennedy’ego do krajów za żelazną kurtyną z misją kulturalno-dyplomatyczną.

konać go o istniejącej swobodzie twórczej i godnym poziomie życia Polaków. Miał więc zobaczyć tylko to, co zaplanowała mu SB, i rozmawiać głównie z tymi, których mu podsunęła. Aby nie zbliżył się do niego nikt niepożądany, otoczono go liczną agenturą, obwożono wołgą (a gdy się zepsuła – nowiutkim mercedesem). Zakwaterowano Steinbecków (przyjechał z żoną Elaine) w Bristolu, w apartamencie naszpikowanym „pluskwami”.

Steinbeck odmówił odwiedzenia obozu koncentracyjnego w Oświęcimiu („Byłem podczas wojny korespondentem, napatrzyłem się okrucieństwa” – tłumaczył). Chętnie natomiast zobaczył Kraków, Wrocław, Łódź, Kętrzyn, kwatery Hitlera. Marzył o polowaniu.

Zawieziono go więc na Mazury, do wsi Zgon, do letniego domu pisarza Igora Newerlego. Nieprzypadkowo – był najpewniejszym z pewnych członków partii, w 1958 r. nawet egzekutywy organizacji partyjnej literatów, wieloletnim prezesem oddziału warszawskiego ZLP, sygnatariuszem „Listu 600” (kontrlistu potępiającego odważnych autorów „Listu 34”, pierwszego protestu przeciw cenzurze i braku twórczej wolności). Był też autorem czołowych socrealistycznych produkcji: „Pamiętki z celulozy” i „Chłopca z Salskich Stepów”, przymusowych lektur, tłumaczonych na wszystkie socjalistyczne języki, wydawanych w milionowych nakładach, okadanych.

Należał więc Newerly do najlepiej zarabiających i jako pierwszy miał letni dom, motorówkę. Można go było więc pokazać Steinbeckowi jako przykład poziomu życia polskich pisarzy. Newerly był też prezesem „Pióra”, koła łowieckiego członków Związku Literatów, głównie partyjnych pupilów, m.in. Bohdana Czeszki, Romana Bratnego, Wojciecha Żukrow-

skiego, Henryka Gaworskiego, bo tylko oni dostawali pozwolenia na broń. Zapraszał na polowania zaprzyjaźnionych pisarzy sowieckich, np. Borysa Polewoja, autora „Opowieści o prawdziwym człowieku”. Zorganizował więc „safari” i dla Steinbecka, który od razu uprzedził, że do jelenia strzelać nie będzie, ale do dzików jak najbardziej. Chociaż jednak nagonka doprowadziła mu pod nos niemal cały ich rząd, to nie strzelił i do nich. „Złagodziłem na starość” – tłumaczył. Mimo to cieszył się z polowania, z suto zakrapianej kolacji wydanej na jego cześć w nadleśnictwie, z zarżniętego barana, gęsi, bigosu (najbardziej mu smakował). Pił ostro nie tylko whisky, lecz także żytnią i soplec.

Nazwa wsi Zgon okazała się prorocza. Po powrocie do Warszawy, 22 listopada, dopadła go straszna wiadomość – w Dallas zastrzelono prezydenta Kennedy’ego. „Figurantka płakała, figurant był wstrząśnięty” – notował podśluch reakcje Steinbecków. Sami sobie wyznaczyli żałobę, rezygnując z dalszych atrakcji – bankietu w Jabłonnie, koncertu w Żelazowej Woli.

Rwali się do powrotu, choć nie odwołali zaplanowanych oficjalnych spotkań. Byli już jednak bardzo przycisnieni. Mówili głównie o Kennedy’u, a wolny czas spędzali w amerykańskiej ambasadzie, asystując tłumom Polaków wpisujących się do księgi kondolencyjnej. „Ich reakcje, okazywana nam serdeczność, najbardziej nas w Polsce poruszyły” – mówił Steinbeck na pożegnanie. Skrócił pobyt tylko o jeden dzień, poleciał do Wiednia na mszę w intencji Kennedy’ego. „Wszystkie spotkania nie dostarczyły figurantowi najmniejszych argumentów przeciw Polsce” – pisali zadowoleni esbecy, zamykając operację „Problemy”. ©

RYSUJE: ANDRZEJ KRAUZE



Wszystkie wizyty zachodnich pisarzy były nie tylko przez Służbę Bezpieczeństwa inwigilowane, lecz także już wcześniej przez nią organizowane przy współudziale władz Związku Literatów – kierownika wydziału zagranicznego związku Henryka Malinowskiego, tajnego współpracownika SB o pseudonimie Kurier. Operacja dotycząca Steinbecka dostała nazwę „Problemy”. Kierował nią kapitan Czesław Niemczyk z Departamentu III MSW. Miała zapobiec docieraniu do gościa krytycznych uwag o Polsce, prze-

PRENUMERATA 2020 W CENIE 2019

TYGODNIK LISICKIEGO

**DO
RZECZY**

ROCZNA PRENUMERATA



**TYGODNIK „DO RZECZY”
I MIESIĘCZNIK
„HISTORIA DO RZECZY”**

WERSJE PAPIEROWE TYGODNIKA
I MIESIĘCZNIKA ORAZ DOSTĘP
DO E-WYDAŃ W APLIKACJI



**W PREZENCIE
KSIĄŻKA:**

**ANDRZEJ NOWAK
„ROK 1920. KŁĘSKA
IMPERIUM ZŁA”**

~~755~~ zł



282,00 zł



**OSZCZĘDNOŚĆ
473 zł**

ZOBACZ NASZE OFERTY: **PRENUMERATA.DORZECZY.PL**

CO ZYSKUJESZ W PRENUMERACIE?

Niższą cenę od ceny w kiosku (nawet o 40%) | Nie przegapisz żadnego wydania

| Atrakcyjne oferty z dodatkowymi produktami | Każde wydanie trafi do Ciebie pocztą bez dodatkowych opłat

| W cenie dostęp do e-wydania w aplikacji, dzięki temu możesz czytać tygodnik już w niedzielę

JAK ZAMAWIAĆ PRENUMERATĘ:

WEJDŹ NA PRENUMERATA.DORZECZY.PL, WYBIERZ I ZAMÓW W WYBRANEJ OFERCIE

WPŁATA NA KONTO: **UWAGA NOWY NR. 33 1600 1462 1816 5874 1000 0006**

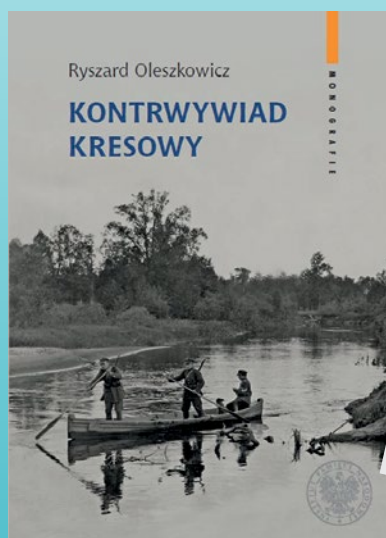
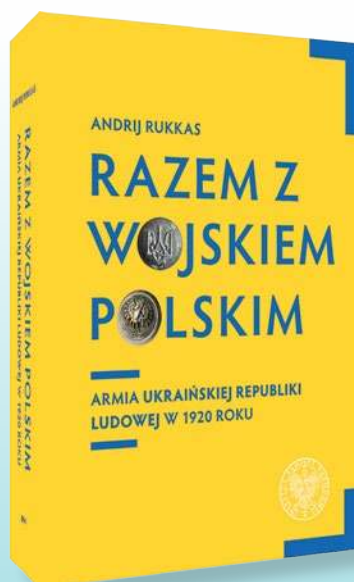
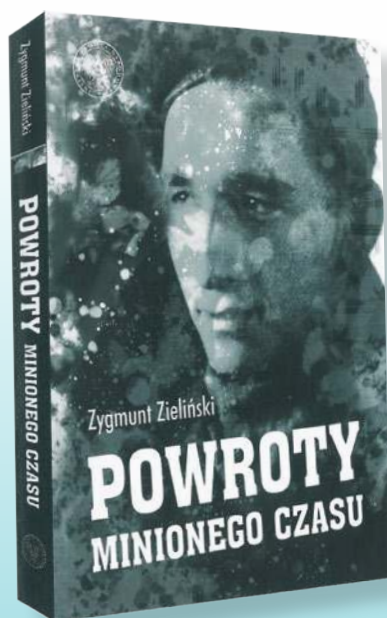
ORLE PIÓRO sp. z o.o., Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa

JEŻELI MASZ JUŻ PRENUMERATĘ:

Skorzystaj także z tej oferty, przedłużymy Ci obecnie trwającą prenumeratę, a prezent wyślemy kurierem.

WIĘCEJ INFORMACJI E-MAIL: prenumerata@pmpg.pl TELEFON: 22 529 12 10, 539 953 631 INTERNET: prenumerata.dorzeczy.pl

#LatoZKsiążkąIPN



Szukaj w księgarniach IPN i punktach sprzedaży w całej Polsce!
#ZostańWDomu kup na ipn.poczytaj.pl